

ROSA VENTRELLA

OGRÓD

OLEANDRÓW

*Pełna włoskich zapachów
opowieść o czterech
niezwykłych kobietach.*



Rosa Ventrella

Ogród oleandrów

Tłumaczenie: Małgorzata Potrzyszcz, Karolina Cywka



Tytuł oryginału: Il giardino degli oleandri

Outsourcing wydawniczy – Roboto Translation

Tłumaczenie: Małgorzata Potrzyszczyk, Karolina Cywka

Redakcja i korekta: Anita Widman-Drzewiecka

Skład: Jacek Goliatowski

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński

Copyright © 2013 Newton Compton editori s.r.l.

Zdjęcie na okładce © kstaty / Istockphoto.com, © tunart / Istockphoto.com, © hartemink / Istockphoto.com, © fotolinchen / Istockphoto.com

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal 2014

Wydanie I

Warszawa 2014



Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.

ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa

tel. 22 826 08 82, faks 22 380 18 01

e-mail: biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-7881-387-3

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

i Aleksandra Łapińska / Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Część I. Śmierć

1

2

3

4

5

6

7

Część II. Kuchnia

1

2

3

4

5

6

Część III. Przyjęcie

1

2

3

4

5

Część IV. Narodziny

1

2

3

4

5

6

Część V. Małżeństwo

1

2

3

4

5

6

Część VI. Wojna

1

2

3

4

5

6

7

Część VII. Tańce

1

2

3

4

5

6

Część VIII. Miłość

1

2

3

4

5

6

7

Część IX. Choroba

1

2

3

4

5

6

7

Część X. Odkupienie

1

2

3

4

Podziękowania

Przypisy

***Książkę tę dedykuję wszystkim kobietom z mojego dzieciństwa, które kochałam i które odeszły, oraz
mojej matce, która na szczęście wciąż jest przy mnie.***

Prolog

Sięgając do wspomnień i próbując przywołać jedno, które mogłoby zobrazować istotę mojego kobiecego wszechświata, od razu cofam się do okresu dzieciństwa. Wszystkie inne obrazy – te bardziej wyszukane, wymyślne oraz intelektualnie wyrafinowane – blakną w obliczu jednej wyjątkowej sceny, rozgrywającej się w domu mojej matki, której bohaterkami są kobiety z mojej rodziny zgromadzone na uroczystym przedświątecznym przygotowywaniu słodkości.

Moim obowiązkiem jest przedstawienie owych dam, za co z góry przepraszam czytelników. Tak więc babcia – niekoronowana głowa rodu, władczyni pozbawiona tronu. W dzieciństwie była moją podporą, całym moim światem. Matka – łagodna kobieta o niewielkich oczekiwaniach, druga w rodzinie po najmłodszej ciotce, prawdziwym talencie kulinarnym, niezastąpiona w przygotowywaniu czegokolwiek do jedzenia i nie tylko. Następnie cała rzesza przeciętnych ciot, o których pozwolono mi powiedzieć trochę więcej ze względu na ich pełne trosk i zgryzot życiorysy. Pamiętam przybycie mojej młodej cioci, którą pozdrawiały nawet aniołki z opakowań *Pane degli Angeli*¹. Euforia, radość, tryumfalne wejście. Zawsze przyjeżdżała ostatnia. Czekaliśmy na nią niczym na cudowne objawienie. Poza tym przywoziła ze sobą pewne „cuda techniki”, takie jak maszyna do ubijania piany z białek, do której moja babcia odczuwała głęboką niechęć. Jej zdaniem żadne piekielne narzędzie nie mogło zastąpić własnych dłoni. Dlatego też, pomimo przyrzędu lśniącego w całej swej okazałości, władczyni chwyciła dużą, białą miskę z niebieskim brzegiem i dokonywała cudu. Na moich oczach, sennych i zaropiałych od długiego wyczekiwania, masy białawego, lepkiego płynu zamieniały się w puszyste chmurki z kłaczek bawełny.

– Musisz ubijać pianę zawsze w tym samym kierunku – mówiła do mnie szeptem, podniosłym tonem, rozglądając się ukradkiem na lewo i prawo, jakby zdradzała wielką tajemnicę. Rozczarowałabym ją, ponieważ jako nowoczesna i wyzwolona kobieta zawsze korzystałam z elektrycznej trzepaczki.

Nie powiedziałam wam jeszcze, jaki był mój udział w tym całym bałaganie z mąki, jajek i cukru, okraszonym ciepłą, rodzinną atmosferą. Otóż żaden.

Pozwalano mi tylko patrzeć. To właśnie była pierwsza zasada, zresztą zgodna z panującą wizją tego, co przystoi kobiecie. Najlepszym dla mnie wyjściem było jak najszybsze opanowanie roli statystki. Każda próba wkroczenia w skomplikowany świat dorosłych, nawet jeśli stąpałam w nim na paluszkach, kończyła się niepowodzeniem i niekwestionowaną porażką, a złudzeniami kilkuletniej dziewczynki, że udało jej się stworzyć małe arcydzieło, nikt się nie przejmował. Młoda ciotka stała za moimi plecami, zawsze w pogotowiu, aby powiedzieć, że brak mi jeszcze doświadczenia i wszystkie uformowane przeze mnie ciastka należy zrobić od nowa.

– Nie umiesz – powtarzała z wyraźnie słyszalną nutką sadyzmu w głosie.

– Gdy dorośniesz, wyjdą ci takie jak te – upominała mnie drwiącym głosem i wymachiwała przed moimi oczami ciastkami z ricottą, cartellate oraz herbatnikami maślanymi, które wyglądały, jakby wyszły spod maszyny.

Kryła się w tym druga żelazna zasada kobiety idealnej – naśladownictwo. Gdy jednak byłam już na tyle duża, by móc się przyglądać ich przygotowaniom bez wspinania się na palce, zdałam sobie sprawę, że nie patrzyłam wystarczająco uważnie. Zbyt pochłonięta aromatem świeżych wypieków nie słuchałam i nie obserwowałam tego, co faktycznie działo się przed moimi dziecięcymi oczami i było najbardziej przerażającą formą wtajemniczenia.

Tysiące szeptów, ukradkowych spojrzeń, potok słów, a pośród nich zręczne i pracowite dłonie. Kobiety z mojej rodziny ucinały sobie pogaduszki, uśmiechając się szyderczo i chichocząc niczym opętane beginki. I w tym całym zamieszaniu nigdy nie zorientowałam się, że w nieustających dyskusjach ofiarą, w pewnym stopniu nawet szczęśliwą, był zawsze mężczyzna.

– Faceci, wszyscy są tacy sami – wymamrotała z rezygnacją w głosie babcia.

Reguła numer trzy.

– Trzeba żartować z nich tak, żeby jeszcze byli z tego zadowoleni – potwierdziła moja matka.

Reguła numer cztery.

Młoda ciotka pokiwała głową, patrząc ze współczuciem na wyżej wymienioną, która wraz z lekcjami przygotowywania słodkości godnych najlepszej cukierni połykała pigułki małżeńskiego życia.

– Facet jest niczym myśliwy – to jedno z ulubionych porównań władczyni, a zarazem reguła numer pięć, którą moja matka podsumowała słowami:

– Mężczyznom nie można mówić prawdy. Nie zrozumieliby jej.

Reguła numer sześć.

Uświadomiłam sobie wówczas, że te spotkania były ich sposobem na to, aby nauczyć mnie, jak mam postępować w przyszłości, gdy będę dojrzałą kobietą, żoną i władczynią mojego prywatnego królestwa. A mój dziadek, ojciec czy wujek nie wiedzieli, że spiskowałyśmy przeciwko płci męskiej. To było niczym wewnętrzne wyzwolenie, które trwało wystarczająco długo, abym mogła poczuć się panią własnych uczuć i własnego losu, i które zniknęło wraz z odgłosem otwieranych przez mojego ojca drzwi wejściowych i jego wkroczeniem do kuchni. Wtedy moja matka z bladością na twarzy próbowała opanować sytuację.

– Cicho, cicho – szeptała, znacząco zerkając na wchodzącego tatę. – Idzie.

W tym momencie zapadała cisza. Ojciec rzucał okiem na słodkości, wdychał zapachy unoszące się w powietrzu i głaskał mnie po policzku nieświadom, że otaczające go święte przebierały się za diablące, gdy tylko zniknął za rogiem.

Wtedy rozpoczynała się ulubiona część rodzinnych spotkań i nadchodziła chwila, na którą czekałam od samego początku – melancholijna opowieść mojej cioci, Diamante. Historii było wiele. Czasem znacznie się od siebie różniły, a innym razem były do siebie łudzaco podobne, jednak wszystkie zaczynały się w odległym 1938 roku. Wszystkie opowiadały o domu, ogrodzie i kwitnącym oleandrze.

CZĘŚĆ I

ŚMIERĆ

Wiosna 1938 roku

Zapowiadały się upalne, wiosenne dni. To czas, kiedy marzy się o tym, by godzinami pędzić bez tchu przez kolorowe pola i wracać do domu dopiero o zachodzie słońca, nie zważając na umorusaną buzię czy zmęczenie.

Jest to również pora, gdy z nieba leje się żar, pot tworzy na ciele coś na kształt cuchnącego całunu, a pyłki osiadają na skórze, wywołując uciążliwe swędzenie. Dla mnie był to jednak najpiękniejszy czas w roku, przepiękny atmosferą oczekiwania i pragnieniem rozpoczęcia nowego życia. Żegnaliśmy zimę jak zmęczonego staruszka, który klnąc pod nosem, narzekał, że wcale nie ma ochoty wracać tu za rok. Nikt jednak na niego nie zważał, bowiem wiosna wszystkim już zawróciła w głowie. U pana Bertoniego odprawiono w tym celu specjalny rytuał. Całe wydarzenie miało miejsce pod koniec lutego, kiedy zima na szczęście wydawała się już tylko mglistym wspomnieniem, a pierwsze promienie palącego słońca ogrzewały popołudniowe powietrze.

Stary Uberto gromadził nas wszystkich pod wielkim figowcem znajdującym się przed jego domem. Aby zobaczyć to majestatyczne drzewo w całej okazałości, musiałam unieść głowę tak wysoko, aż rozbolała mnie szyja. Sękaty pień figowca skręcał się w niezliczone zwoje, których liczba mogła się równać liczbie lat spędzonych na straży domu pana Bertoniego i wszystkich osób mieszkających w nim od pokoleń.

Nie rozumiem, dlaczego właśnie ten rytuał, z którym wiązano tak wielkie nadzieje, musiał odbywać się co roku akurat pod figowcem tego starego zrzędy. „Drzewo figowe to drzewo figowe” – powtarzałam sobie, uznając, że każde jest przecież takie samo. Dla mnie równie dobrze mógł to być figowiec z naszego ogrodu. Jednak w tej okolicy nie tylko ludzie, ale i rzeczy odgrywały swoją rolę w teatrze życia, a rolą starego Bertoniego i jego drzewa było przepędzić zimę. Koniec i kropka.

Tak więc gderliwy diabeł, wymachując wielkim kijem, zaczął smagać biedny figowiec. Każdemu uderzeniu towarzyszył przejmujący świst i szelest liści, jakby nieszczęsne drzewo naprawdę mruczało coś w odpowiedzi na zadawane mu cierpienie.

Razem z Pietrem, moim towarzyszem zabaw i przygód, uważnie śledziliśmy okolicę, ponieważ stary Uberto twierdził, że wychłostany duch zimy wznosi się w powietrze. Rzucaliśmy płochliwe spojrzenia w stronę figowca i z całego serca współczuliśmy biednemu drzewu. Spodziewaliśmy się, że w każdej chwili możemy ujrzeć jakąś nadprzyrodzoną istotę, która składałaby się z wiatru, pachniałaby jabłkami i mchem oraz byłaby gotowa wzbić się w przestworza, ustępując miejsca radosnemu duchowi wiosny. Niektóre kobiety kreśliły nawet znak krzyża, a Uberto dokonywał cudu i wypowiadał słowo „amen” – przecież ta odrobina pogańskiej religijności nie mogła nikomu zaszkodzić. W tym roku uderzenia kuma Bertoniego poskutkowały, ponieważ mroźne dni rychło się skończyły, a zamiast nich nastąpiła zuchwała, upalna wiosna. Jej nadejście sprawiło, że mój ojciec zaczął narzekać od rana do nocy i przeklinać słońce, a nawet księżyc za to, że rzucają blask na świat swymi parzącymi językami.

Ja natomiast byłam spokojna i rozkoszowałam się porankami, popołudniami oraz zachodami słońca w towarzystwie Pietra. Obydwoje mieliśmy ciemną, bursztynową skórę, która – jak mi mówili – wyróżniała dzieci wieśniaków. Ludzie ze wsi, to właśnie nimi byliśmy. Nie wstydziłam się tego, wręcz przeciwnie – rozpierała mnie duma.

W takie dni po powrocie do domu marzyło się tylko o tym, by zanurzyć ręce w misce z chłodną wodą, którą mama zawsze stawiała tuż za progiem. Przesuwałam rękoma po twarzy, dopóki nie

poczułam dreszczu biegnącego wzdłuż pleców, podczas gdy krople spadały mi na szyję i piersi. Wtedy wzdychałam z zadowoleniem.

Kwestia przeciwieństw od dziecka wzbudzała moją ciekawość. Miłość do jaskrawych i przygaszonych barw, gorących i zimnych pór roku, do czerni i bieli – jakby miriady pośrednich odcieni nie były w stanie pobudzić moich zmysłów.

– Jesteś dziwnym dzieckiem – mówiła moja mama.

W ten sposób komentowała fakt, że w odróżnieniu od rówieśników potrafiłam od razu powiedzieć, czy mi się coś podoba, czy nie, czy coś lubię, czy wręcz przeciwnie. Tak było na przykład z marmoladą. Uwielbiałam taką, która przypominała czarną, styczniową ziemię, czyli zrobioną z fiołkowych slipek i dzikich jagód. Zazwyczaj zbieraliśmy je z Pietrem tuż obok wielkiego figowca poddawanego chłóście. Ubóstwiałam te owoce i nie było sposobu, by zmusić mnie do jedzenia innych, nad czym ubolewała moja mama. Jednak jej cytrynowa marmolada, przywołująca smak lata i słońce, w pewien sposób równoważyła tę styczniową ponurość.

Margiala – jak zwracano się do mamy – moczyła cytryny przez kilka dni, aby ich skórka zmiękła. Następnie dokładnie oczyszczała owoc z białych części i gotowała skórki w wodzie. Proces ten powtarzała kilka razy, aż do momentu, w którym straciły swój gorzkawy smak. Wtedy były już gotowe, by połączyć je z miąższem i cukrem i stworzyć smaczny dżem. Wkładała go do słoików, dzięki czemu mógł przetrwać nawet do zimy. Mawiała także, że za każdym razem, gdy się go skosztuje, powrócą smaki lata. Przyrządzała go w dużych ilościach, ponieważ ludzie z całej okolicy wprost szaleli na jego punkcie.

Musicie wiedzieć, że w moich stronach każdy miał jakiś przydomek, który określał najbardziej wyraziste cechy jego charakteru. Jak wiadomo, cechy te uwydatniają się dopiero w pewnym wieku, dlatego gdy ktoś został już obdarowany przezwiskiem, mógł uznać je za pewnego rodzaju trofeum i symbol dorosłości.

Moją matkę nazywano Margialą. W miejscowej gwarze słowo „margiala” oznacza „tę, która ma czarodziejską moc”. Tak więc margiala zna właściwości ziół, potrafi odczytać uroki, przewidzieć płeć dziecka, pomaga w leczeniu najmłodszych oraz stosuje wiele innych diabelskich sztuczek. Te wyjątkowe talenty odziedziczyła po swojej matce, Diamante, słynnej niegdyś i cenionej czarownicy z Cerignoli. Dzięki nim wszyscy w okolicy dobrze ją znali.

Uwielbialiśmy z Pietrem chodzić na ryby. Znaliśmy pewien skrót – biegł przez pola, wzdłuż wąwozu, który powstał, gdy do władzy doszli faszyci, i prowadził aż do morza. Wielki jar pozbawiony roślinności, długi na kilka kilometrów. Gdy się tak szło wzdłuż niego, można było się poczuć trochę jak dzikus, a trochę jak poszukiwacz przygód. Mówiono, że duce przeprowadzi wodę z morza przez ten głęboki tunel, więc my, dzieci, zaczęliśmy sobie wyobrażać, że będziemy mogli się w niej pluskać. Morze w moim miasteczku – byłoby wspaniale!

Chwaliliśmy się odkryciem tego skrót, mimo że tak naprawdę nie była to nasza zasługa. Po prostu pewnego razu, gdy goniliśmy Tommasa, znaleźliśmy się tuż obok słonawych wód przystani, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Tommaso był moim kotem, a właściwie kotem wszystkich ludzi mieszkających niedaleko mnie. Nie należał do tych zwierząt, które dało się zakwalifikować jako czyjaś własność. Ten przebiegły włóczęga zdobywał serca domowników, oczywiście kiedy częstowali go jedzeniem, ale potrafił ich także zdradzić, gdy nieznajomy oferował mu bardziej smakowite kąski.

– Koty są jak kobiety – krzyczał ze wstrętem mój ojciec. – Nie można wierzyć w ich lojalność.

Odnutowywałam w mojej głowie wszystkie upomnienia i przestrogi ojca. Byłam przekonana, że te mądre rady okażą się przydatne w życiu i dzięki nim lepiej będę sobie radziła z przeciwnościami losu.

Kwestia lojalności ciekawiła mnie w równym stopniu co zagadnienie kontrastów. O ile łatwo mogłam się pogodzić ze stwierdzeniem taty dotyczącym kotów, o tyle nie byłam w stanie zaakceptować go w stosunku do kobiet, które znałam, zwłaszcza do mamy. Jednakże w mojej pamięci rzeczywiście utrwalił się obraz Tommasa, który dumnym krokiem z wygiętym w łuk grzbietem i napiętymi jak struny wężami przechadza się przed naszym domem i miauczy, dopraszając się uwagi lub reagując na każdą nieuchwytną emocję.

On dobrze wiedział, co zrobić, gdy chciał jeść, i nie miało to nic wspólnego z faktem, że był... kotką, o czym dowiedziałam się znacznie później, a co według mojego ojca nie pozostawało bez znaczenia. Moim zdaniem wynikało to z jej dzikiej natury i instynktu przetrwania.

Dlatego też ojciec mówił, że to nieustanne przewrotne kokietowanie i „miauczenie”, gdy czegoś potrzebują, było u kobiet cechą wrodzoną.

– To zły znak, synku, jeżeli kobiety zaszczycą cię swoją uwagą. Może to oznaczać tylko dwie rzeczy: albo czegoś chcą, zazwyczaj pomocy w załatwieniu jakiejś ważnej i kosztownej sprawy, albo szykują się, by wbić ci nóż w plecy – powtarzał mojemu bratu, Giuseppe.

Słuchałam ojca w napięciu, z szeroko otwartymi oczami. Kiedy tata udzielał życiowych porad, tak bardzo chłonełam każde jego słowo, że najwyraźniej nie tylko moje oczy były szeroko otwarte, ale również usta, ponieważ kilka razy mucha wpadła mi do buzi. On, dumny z siebie po wygłoszeniu mowy, wracał na swoje stanowisko w wiklinowym fotelu, z którego przez wiele lat obserwował zachowania, gesty i emocje obcych ludzi, by na ich podstawie formułować własne wnioski dotyczące świata i ludzkiej egzystencji.

Zwykle jednakże bywa tak, że gdy dorośli ostrzegają przed czymś dziecku, one nie stosują się do poleceń. Oczywiście sprawdziło się to również w moim przypadku. Jestem pewna, że także ojciec Pietra, który był wieśniakiem, podobnie jak jego matka, przestrzegał go przed niebezpieczeństwami życia. Lecz mój przyjaciel, tak samo jak ja, chował dobre rady do kieszeni i szedł dalej własną ścieżką w przekonaniu, że fakt bycia dzieckiem uchroni go przed podłością świata i wszelkimi zagrożeniami, o których istnieniu dorośli nie byli w stanie zapomnieć.

Morze było wzburzone i złowrogie, a piasek – pokryty licznymi wgłębieniami i zielonkawym mułem.

– To miejsce idealne dla wędkarzy – powiedział Pietro z entuzjazmem w głosie, wywijając swoją prymitywną wędką.

Zabraliśmy ją po kryjomu, dobrze wiedząc, że nasi ojcowie by na to nie pozwolili. Jak mogliśmy postąpić inaczej? Ryby radośnie pluskały się w ożywionych nową energią wodach. Tej pokusie po prostu nie można było się oprzeć. Mój przyjaciel wskazał palcem na małą mieliznę utworzoną pomiędzy dwoma wałami piasku ciągnącymi się w kierunku morza. Okolice porastały jedynie krzewy – część z nich schodziła w dół tak daleko, że prawie dotykała morskiej wody. Wydawało się, że stanowiły dobry punkt oparcia i bezpieczne schronienie dla naszych narzędzi. Umbrynę można było złowić dość łatwo. Jeśli stosowało się najlepszą metodę polegającą na umieszczeniu przynęty na dużej głębokości, dzięki czemu ryby nie były spychane przez fale na powierzchni, szanse na osiągnięcie celu znacznie rosły.

Pietro podniósł kilka oślizgłych kamyków. Gdy tylko odwrócił pierwszy z nich, poczuliśmy straszliwy odór jakby gnijącego mięsa zmieszanego ze sfermentowanymi owocami. Istny raj dla robaków. Pietro chwycił jednego z nich. Był wystarczająco długi, by zacząć wić się na znak sprzeciwu wobec swego okrutnego losu. Wzięłam do ręki całkiem suchy kamyk o ostrym brzegu i użyłam go jako scyzoryka, którym pocięłam biednego robaka na kawałki.

Mimo że jego ciało zostało rozczłonkowane, on nadal buntował się przeciwko swojemu przeznaczeniu. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego dzielni wojownicy zwykli mówić do swoich wrogów: „Zdychaj jak robak”. Nie uważałam owego porównania za strasliwą zniewagę, ponieważ było coś skomplikowanego i odważnego w sposobie, w jaki te małe żyjątka opuszczały świat.

Jednak gdy masz dziewięć lat i myślisz tylko o tym, by przynieść do domu jak najwięcej ryb, nie zastanawiasz się zbyt długo, jaki koniec czeka robaki na przynętę. To refleksje, które przychodzą dopiero w dorosłym życiu, kiedy już lepiej pozna się oblicze śmierci.

Dookoła panował dziwny spokój, kojący i niepokojący zarazem. Dwoje dziewięcioletnich dzieci, zajętych czymś na niewielkiej plaży, z dala od reszty świata. Mieliliśmy pewność, że nie było nikogo, kto mógłby nam przeszkodzić, ale również nikogo, kto sprawowałby nad nami opiekę.

– No dalej, przymocuj dobrze przynętę do haczyka – tłumaczył Pietro, który lubił wcielać się w rolę mojego starszego brata, mimo że to ja urodziłam się dwa miesiące wcześniej. – Musisz rozciągnąć ją na całą jego długość, żeby ryby dobrze ją widziały – kontynuował.

Słuchałam jego poleceń, nie zgłaszając sprzeciwu, ponieważ mój przyjaciel był osobą obdarowaną charyzmą prawdziwych przywódców – jednym z tych, których przeznaczeniem, po wkroczeniu w dorosłość, było dokonanie wielkich rzeczy i posiadanie rzeszy zwolenników. Ja prawdopodobnie zasiliłabym ich szeregi.

– Teraz zarzuć wędkę na dno zdecydowanym ruchem, nie czekając zbyt długo. Inaczej ryby zwęszą zastawioną na nie pułapkę.

Co ciekawe, moja mama nigdy nie wybrała się nad morze, jakby to było najdalsze miejsce na ziemi.

– Morze jest jak rzeka, tylko trochę większe – podsumowywała za każdym razem, gdy pytałam, czy nie chce się przekonać, jak ono wygląda. Lecz nie obchodziły jej zbyt filozoficzne rozważania

o znaczeniu wielkości i małości, którym oddawały się wrażliwe dusze obcujące z tym cudownym przestworem wody.

Margiala nie była typem kobiety, która pozwalała, aby beużyteczne, bezsensowne rozmowy męciły jej w głowie. Mocno stąpała po ziemi.

Ziemia, pieniądze i rodzina – oto najważniejsze rzeczy w jej życiu. Wszystko inne uznawała za żarty, czasem niebezpieczne, które zaszczepiały w nas niezadowolenie. A to mogło z kolei przekształcić się w bunt.

Ja i Pietro staliśmy pochyleni, na lekko ugiętych kolanach, i trzymaliśmy wędkę zawieszoną w powietrzu.

– Musisz zgiąć nogi i delikatnie naprężyć ramię. Jeśli dolna część ciała będzie zbyt sztywna, nie utrzymasz ręki w bezruchu – tłumaczył.

Tę sztukę Pietro opanował do perfekcji dzięki licznym wyprawom, na które ojciec zabierał go, aby dokładnie wyjaśnić mu techniki połowu. Teraz chłopak był w tym na tyle dobry, że miał nawet swoich uczniów. Chęci do nauki mi nie brakowało. Towarzyszył jej upór, który najprawdopodobniej zawdzięczałam moim wiejskim korzeniom.

Widziałam, jak drucik drgał lekko, kołysany przez morski prąd.

– Otóż to, tak jest idealnie – powiedział Pietro, patrząc na mnie oczami pełnymi radości.

Nikt nie sprawi nauczycielowi większej uciechy niż uczeń, który zaczął dorównywać mu umiejętnościami. Nie wiem, jak długo stałam na ugiętych nogach, napinając ramiona, zanim pojawiła się umbryna i chwyciła przynętę. Tego dnia to ja złowiłam pierwszą rybę i nawet nie wiecie, jaką poczułam satysfakcję, że okazałam się lepsza od swojego mistrza. Potem przyszła kolej na Pietra. Łowiliśmy jedną po drugiej. Można było odnieść wrażenie, że wszystkie ryby morskie podążyły szlakiem nieuchronnie prowadzącym ku śmierci. Nie przynieśliśmy ze sobą wiader, w których moglibyśmy zabrać połów do domu, ale Pietro miał swoje metody – brutalne i skuteczne. Z zimną krwią mocno chwycił jeszcze żywą rybę, pomimo że była kleista i wiła się jak piskorz. Wzdłuż brzegu sterczały spiczaste korzenie drzew, ostre jak brzytwa, które idealnie nadawały się do nabicia na nie ryb. Pietro przytrzymał łeb ofiary obydwoma rękami i zdecydowanym ruchem nadziewał ją na wystającą część korzenia. W krótkim czasie zwisało już z niego kilkanaście giętkich rybich ciał.

Za każdym razem, gdy Pietro przebijał jedną z nich, przelykałam ślinę, obawiając się, że prędzej czy później nadejdzie moja kolej, aby odprawić ten rytuał. Nie byłam pewna, czy zdołam to zrobić. Ale Pietro uznawał ten obrzęd za pewnego rodzaju inicjację i twierdził – na moje szczęście – że nie stanęłabym na wysokości zadania.

Za każdym razem, gdy Pietro przebijał rybę, spluwał na ziemię, jakby zakończenie owej czynności tym śmiałym gestem prawdziwych mężczyzn było całkowicie naturalne. Naśladowałam go, próbując pomóc wypełnić ten skrawek plaży budzącymi obrzydzenie plwocinami.

W pewnym momencie poczułam, że opanowuje mnie zmęczenie. Mogło ono wynikać z tego, że staliśmy tu już jakiś czas, a moje nogi nie były przyzwyczajone do tej nienaturalnej pozycji.

Minęła godzina, może dwie. Kiedy łowisz ryby, czas zawsze biegnie za szybko lub za wolno. Zazwyczaj wrażenie to wywołuje woda, stwarzając pozory, że wyrok opatrzości został chwilowo zawieszony.

Dopiero jednak gdy opuchnięte nogi zaczęły mocno dawać mi się we znaki, poczułam, że opadłam z sił. Byłam głodna, a moje zainteresowanie rybami znacznie zmalało. Nie mogłam się skupić, przestałam zwracać uwagę na to, jak trzymam ręce i pochylam tułów. Miałam nadzieję, że w związku z tym ryby okażą się sprytniejsze, zauważą opóźnienie drapieżnika i odpłyną najdalej, jak się da. Moja taktyka faktycznie zadziałała, bo niczego już nie złowiłam. Jednak Pietro stał jeszcze nieruchomo jak posąg, a jego nogi nie wykazywały żadnych oznak słabości.

– Pietro, jestem zmęczona. Możemy już iść do domu? – spytałam, narzekając jak małe dziecko. Później wielokrotnie rozmyślałam nad tym, co by się stało, gdybym nie wypowiedziała tych słów, gdybym jeszcze trochę wytrzymała.

W naszym życiu zawsze pojawia się taki moment, który zmienia jego bieg. Przychodzi nieoczekiwanie i nie uprzedza o konsekwencjach swojego istnienia, a potrafi sprawić, że nic już nie będzie takie samo.

Pietro nie pozostał obojętny na moje skargi i wyjął wędkę z wody. Rozpoczęliśmy makabryczny rytuał, tym razem odrywając rybie łby od reszty ciała. Owijaliśmy je w płótno z konopi, a fetor wydobywający się z ich już gnijących korpusów przyprawiał nas o mdłości. Oboje dzielnie znosiliśmy tę obrzydliwą woń, bo tylko mięczaki zaczęłyby się na nią skarżyć.

Przez kilka minut patrzyliśmy na siebie z uśmiechem na twarzy. Czuliśmy, że jesteśmy panami swojego losu i że mamy przed sobą całe życie. Mój przyjaciel wziął ode mnie wędkę. Ten drobny gest świadczył o tym, że Pietro powoli zmieniał się z chłopca w dojrzałego młodzieńca. Potem znowu na mnie spojrzał i uśmiechnął się, a robił to w cudowny sposób. Ja też się uśmiechnęłam, ale odruchowo, bo myślami byłam już gdzie indziej. Poza tym męskie sprawy – takie jak wędkowanie – pociągały mnie tylko do pewnego momentu i przede wszystkim dlatego, że stanowiły dla kobiety niezwykle wyzwanie. Gdybym wiedziała, co się stanie potem, dłużej zatrzymałabym się na jego uśmiechu i spróbowałabym wziąć sobie bardziej do serca jego nauki z zakresu wędkarstwa. Ale może również moje wahania nastroju były już zapowiedzią tego, że zaczynam dorastać. Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie Pietro się poślizgnął. Nie wiem, jak to się stało – może potknął się o jeden z wystających korzeni. Faktem jest, że mój przyjaciel znalazł się w wodzie, zdany na łaskę groźnych fal. Nie od razu dotarło do mnie, że mogło to być niebezpieczne. Byłam pewna, że przytrzyma się jednej ze skał lub złapie mnie za rękę, którą do niego wyciągałam, i że, co najwyżej, wróci do domu przemoczony do suchej nitki, po czym dostanie solidną burę od ojca.

Może moje przekonanie, że z każdej niebezpiecznej sytuacji na pewno da się znaleźć wyjście, że zawsze dobrze się one kończą, że wszystko w życiu można po prostu naprawić jak zepsutą zabawkę, było tylko tworem dziecięcej wyobraźni.

Przemknęły mi przez głowę niezliczone opowieści o nieszczęśnikach pochłoniętych przez morze. Historie utonięć, ciał porwanych przez prąd lub zaplątanych w rośliny wodne, niewidocznych, bo przykrytych mułem, lub połkniętych przez mitologiczne morskie stworzenia, których nikt nigdy nie widział, ale o których każdy śnił chociaż raz.

Jako dziecko miałam skłonność do dostrzegania przede wszystkim przyjemnych aspektów życia. Natychmiast potrząsnęłam głową, aby pozbyć się czarnych myśli, które groziły wyparciem tych pozytywnych. „Opowieści starych ludzi” – myślałam, przekonując samą siebie, że te katastroficzne wizje przynależały do minionych pokoleń i ich sposobu postrzegania świata.

Ze zdwojonym wysiłkiem pochyliłam się do przodu. Fakt, że Pietro nie mógł nawet się do mnie zbliżyć, nie wróżył nic dobrego. Widziałam, jak się szamotoł – smukłe rączki dziewięciolatka były zbyt małe, by przeciwstawić się potężnemu morzu. Poczułam, że moją twarz wykrzywia grymas przerażenia. Jednocześnie obsesyjnie rozglądałam się na prawo i lewo, mając nadzieję, że ktoś nadejdzie, ale głos uwiązł mi w gardle, jakby znajdowały się w nim garści suchego piasku uniemożliwiającego nawet oddychanie.

Kiedy zrozumiałam, że nikt nie przyjdzie, próbowałam bardziej wychylić się w jego stronę. Chwyciłam korzeń, docisnęłam go prawą nogą, starając się jeszcze dalej wyciągnąć rękę i złapać jego dłoń. Pietro również podjął ostatnią próbę, aby podплыnąć w moim kierunku, ale już opadał z sił.

Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że prąd był zbyt silny, fale zbyt duże, a jego ciało zbyt drobne, by z nimi wygrać. Woda kilka razy przykryła jego głowę, która, na szczęście, za chwilę wynurzyła się na powierzchnię, jednak ja już wiedziałam, że stanie się coś strasznego. Zaczęłam krzyczeć – tak głośno, jak tylko mogłam. Suchy piasek w gardle rozpuścił się w mgnieniu oka. Na zmianę krzyczałam jego imię, a potem wołałam o pomoc. Nagle przed oczami stanął mi Pietro z wprawą zarzucający wędkę, Pietro i ja...

Krzyczałam nieprzerwanie, coraz głośniej, aż w końcu wrzask i płacz zlały się w jedno. Poczułam, że moje nagie stopy zapadają się coraz głębiej w grząski piasek. Gdybym natychmiast wskoczyła do wody, może razem udałoby nam się wygrać z rwącym prądem i dopłynąć do brzegu. Gdybym nie uwierzyła, że Pietro jest niezwyciężony, może nie musiałabym patrzeć, jak tonie. Jednak takie rozważania przychodzą dopiero z czasem.

– Pietro! – krzyczałam zrozpaczona, gdy zobaczyłam, że w miejscu, w którym widziałam go po raz ostatni, pływały tylko gałązki, w szalonym pędzie zabrane z plaży przez morskie fale.

Myśląc z perspektywy czasu o tym, co się stało, za każdym razem wyrzucałam sobie, że mogłam coś zrobić, aby uratować przyjaciela. Wtedy jednak wszystko działało się zbyt szybko, a ja wierzyłam, że wszystkie historie muszą kończyć się szczęśliwie.

Stałam tak w milczeniu przez pewien czas. Moje stopy coraz głębiej zapadały się w piasek, a zdętwiałe ręce ciężko opadły wzdłuż ciała.

– Pietro... – odezwałam się słabym głosem, kiedy uświadomiłam sobie, że mój przyjaciel już nie wróci.

Nasze ryby dyndały nieżywe, nawet te złowione jako ostatnie, które owinęliśmy w płótno, chcąc przynajmniej im oszczędzić nabicia na drewniany szpikulec.

Rozejrzałam się wokoło, aby dobrze zapamiętać to, co wydarzyło się tego popołudnia – ostatniego, które spędziłam z moim przyjacielem. Chciałam, żeby stało się jednym ze wspomnień powracających do mnie, gdy nikogo nie będzie w pobliżu.

Spojrzałam na morze, które kontynuowało swój szalony pokaz sił, a potem na ryby, mając nadzieję, że odnajdę jakiegokolwiek ślady obecności Pietra. Ogarnęło mnie dziwne, trudne do

zdefiniowania uczucie – jakby otworzyła się przede mną bezdena otchłań. Ostry, przenikliwy ból żołądka zaczął przeszywać moje ciało. Niedługo potem dowiedziałam się, że to ból, który towarzyszy utracie bliskich. W moim przypadku był on spowodowany czymś jeszcze – odkryciem, że nic nie trwa wiecznie.

Skoro Pietro umarł, to ja też mogłam umrzeć, moja mama mogła umrzeć i każdego dnia mogłam spotykać ludzi, którzy kiedyś umrą.

To był pierwszy, niezwykle bolesny cios, jaki zadało mi życie, a Pietro był moim pierwszym, niekwestionowanym bohaterem, którego straciłam.

Margiala i moja starsza siostra, Rosetta, zostały poproszone, by uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych Pietra. Przez trzy dni miały czuwać przy trumnie i oplakiwać zmarłego, dodając w ten sposób otuchy matce chłopca i członkom jego rodziny. Czuwanie przy zmarłych należało do obowiązków Margiali. W takich sytuacjach obowiązywał ją specjalny strój – czarny, zakrywający całe ciało.

Latem mama wkładała bawełnianą koszulę i obcisłą spódnicę z nieregularnym brzegiem, uwydatniającą jej gibką kibić, którą zachowała mimo urodzenia czworga dzieci. Był to dla niej prawdziwy powód do dumy. Zimą ubierała się w spódnicę z barchanu i wełniany sweter, który starannie otulała szalem z koronkowym wykończeniem. Włosy okrywała elegancką chustą ze ślubnej wyprawy. Uroczystości pogrzebowe były sprawą jedynie dorosłych, ponieważ używano podczas nich darów otrzymanych w posagu.

Rosetta miała dwadzieścia jeden lat. Był to już odpowiedni wiek, by wyjść za mąż. Margiala od dawna przygotowywała się do tej chwili, ponieważ chciała, by wszystko odbyło się, jak należy. Tak więc wyprawa ślubna Rosetty, poskładana i przesypana naftaliną, aby odstraszyć mole, już na nią czekała. Spoczywała w dużej skrzyni z drzewa orzechowego, która stała dostojnie w nogach małżeńskiego łóża, zabezpieczona przed wścibskimi oczami i ciekawskimi dłońmi. Chroniła ją przed nimi kłódka, o którą mama poprosiła ojca. Tylko Margiala mogła ją otworzyć. Nalegała, aby wszystkie przedmioty zostały przyozdobione haftami. Miały one bowiem symboliczne znaczenie, daleko wykraczające poza zwykłą estetykę.

Tam, skąd pochodziła Margiala – ze wsi w głębi Foggii – tylko właściciele ziemscy mogli obdarować swoje córki haftowaną wyprawą. Wyszywane ornamenty oznaczały pewien status społeczny i to właśnie one przykuwały największą uwagę. Każdy element był starannie rozplanowywany i eksponowany na jakimś meblu w sypialni rodziców panny młodej: ręczniki na krzesłach i toaletce, złożona pościel na narzucie, a wraz z nią bielizna rozłożona na poduszkach. Należało dobrze uwidocznić koronkowe wykończenie, zdobiony brzeg i frędzle zwisające z lnianych ręczników kąpielowych – tych ręczników, które nigdy nie były używane do wycierania dłoni lub twarzy, a zawsze nakrochmalone i w nienaruszonym stanie miały dumnie prezentować się w łazience. Co najwyżej wyciągano je w dniu porodu, ale tylko po to, żeby zobaczyło je jak najwięcej osób.

Margiala nie pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Jej rodzice byli zwykłymi dzierżawcami uprawiającymi ziemię kogoś w rodzaju barona, który popadł w niełaskę jeszcze przed nadejściem reżimu. Ojciec Margiali urodził się rolnikiem i umarł jako rolnik, mimo że przez całe życie mawiał, że kiedyś odkupi kawałek ziemi barona i wtedy podaruje swojej córce haftowane wiano.

– Pewnego dnia weźmiesz ślub jak prawdziwa dama – powiadał, gdy jeszcze była dzieckiem. – Do kościoła pojedziesz bryczką, a twoja matka odprowadzi gości pieszo, dumna jak paw, ponieważ jej mąż został właścicielem majątku ziemskiego. Twoje wiano będzie bogato ozdobione, pełne koronek i – fiu, fiu – wszyscy będą cię szanować.

Mama często opowiadała nam o swoim ojcu marzycielu, o pragnieniu chwały i uznania, których ten biedny człowiek nigdy się nie doczekał. Życie nie potoczyło się po jego myśli. Nie został ziemianinem i nie wydał swojej córki za mąż tak, jak na ziemianina przystało. Odszedł dość niespodziewanie i może dzięki temu nie przepelił go żal wynikający z niezrealizowanych marzeń.

Zmarł na zapalenie oskrzeli lub płuc. Przynajmniej tak mówiono o tych nieszczęśnikach, których przez wiele miesięcy dręczył flegmista, uporczywy kaszel, zanim ich oblicze zbladło jak płótno, a wysoka gorączka zabrała z tego świata.

Pewnego dnia, gdy Margiala opłakiwała jeszcze stratę ojca, Agostino Ventrella, młodzieniec obdarzony urodą, ale bez majątku, ujrzał ją przechadzającą się ulicami Cerignoli. Agostino przybył z daleka i nic nie wiedział o jej żalobie. Faktem jest, że wraz z kuzynem postanowili udać się na przejażdżkę po okolicy. Jego daleki krewny mieszkał w Cerignoli, więc dwaj młodzi mężczyźni wypełnili bryczkę po brzegi zapasami jedzenia, gdyż nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać w podróży, i wyruszyli, przemierzając jałową ziemię.

Agostino zakochał się w Margiali od pierwszego wejrzenia.

Margiala była piękna, ale jej uroda nie brała się z delikatności rysów, lecz z wyjątkowego koloru oczu, który czynił z nich dwa klejnoty. Było coś także w jej zachowaniu, jakaś szlachetność, wyniosłość spojrzenia, która może nie czyniła z niej kobiety, w której żyłach płynie błękitna krew, ale sprawiała, że inni za taką ją uważali.

Kiedy mężczyźni zatrzymali swój pojazd na środku ulicy, aby zapytać, jak ma na imię, Margiala obrzuciła ich posepnym spojrzeniem. Wyglądniałe oczy drapieżnika zmroziły łagodnego Agostina.

– Jak ci na imię? – ośmielił się zapytać młodzieniec.

Matka popatrzyła na niego surowo. Rozgniewał ją swoim lekkomyślnym pytaniem. Nie mogła pojąć, jak śmiał zaczepić dziewczynę w żalobie. Odpowiedziała mu przyjaciółka mojej matki – zalotna panna z dużym biustem i szerokimi biodrami. Wielu wróżyło, że zajdzie w ciążę w wieku osiemnastu lat, a potem poświęci się niańczeniu gromady bachorów, które będą równie źle wychowane jak ich ojciec. Do tego roztyje się niemiłosiernie, a jej mąż skończy marnie – jak wszyscy pijacy ożywiający tawerny głośnym bekaniem wywołanym przez skwaśniałe wino, które leje się tam strumieniami, i szukający pocieszenia między udami jakiejś przyjaźnie usposobionej, rozwiązłej dziewczki.

– Mam na imię Anna, a ona Anita. Ale wszyscy wołają na nią Diamante – odparła.

– Diamante... Nie wyobrażam sobie bardziej odpowiedniego imienia – odrzekł mój ojciec, drapiąc się po podbródku, zdjął kapelusz, słynął bowiem z tego, że choć był bez grosza, nie brakowało mu dobrych manier.

– Diamante to imię mojej matki. Czy jej także zacznie się pan naprzykrzać? Wie pan, dopiero co została wdową – odparła Margiala oburzonym tonem.

Tych dwóch chłopców wprowadziło ją w stan rozdrażnienia i nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ zawsze, gdy przebywała w towarzystwie mężczyzn, reagowała w podobny sposób.

Gdyby Margiala mieszkała gdzie indziej, na przykład w Anglii lub w jakimś wyzwolonym francuskim mieście, może zostałaby feministką. Może wystarczyłoby pojechać tylko do Mediolanu lub Rzymu, aby ujrzeć pewne rzeczy z innej perspektywy. Ale w miasteczku, gdzie się urodziła i wychowała, niektóre sprawy nigdy się nie zmieniały. Życiowe prawdy i pewną wiedzę, na przykład tę o posagu, przekazywano sobie z ust do ust i nikt nigdy nie odważył się im przeciwstawić, nie mówiąc już o kobietach, którym przydzielano epizodyczną rolę i które klasyfikowano jako bierne obserwatorki, kwoki lub żmije – w zależności od zaistniałej sytuacji.

Margiala od zawsze czuła, że jest inna. To kłopotliwe i trudne do zrozumienia dla prostych kobiet z jej miasteczka uczucie towarzyszyło jej nieustannie. Było podobne do podstępnej, swędzącej wysypki, która czasami rozlewała się na jej ciele od brzucha aż po gardło, gdzie z kolei osadzała się jak wielka, twarda gula. Wtedy chciało jej się krzyczeć, wydać donośny, dziki wrzask, by w ten sposób uwolnić całą frustrację związaną z takim stanem rzeczy, niezmiennym od stuleci.

I niekiedy Margiala tak robiła – wówczas gdy miała pewność, że nie było nikogo w pobliżu. W upalne, letnie popołudnia, kiedy wokoło rozlegało się jedynie ćwierkanie ptaków i żaden, nawet najmniejszy powiew wiatru nie zakłócał śpiewu tych skrzydlatych stworzeń, rozglądała się uważnie, podwijając rękawy aż do łokci, rozkładała szeroko ręce i zaczynała krzyczeć. Spoglądała w niebo, stawała w rozkroku i krzyczała, ile tchu w piersiach. Pozostawała w tej pozycji przez pewien czas, rozkoszując się chwilą, w której dawała upust nagromadzonemu napięciu.

Na ustach Margiali pojawiał się szydrczy uśmiech. Niespodziewanie zaczynała postrzegać siebie inaczej – jako osobę żyjącą w zgodzie ze światem.

Gdy dotarłam do domu z wiadomością o śmierci Pietra, tonęłam we łzach. Moje powieki spuchły od płaczu, a ręce drżały ze zdenerwowania. Chwilę później wpadła kuma Antonietta, która zawsze dowiadywała się o wszystkim jako pierwsza. Była zwiastunem dobrych albo złych wieści. Mama zawsze witała ją serdecznie, ale wszyscy, poza samą zainteresowaną, wiedzieli, że jej nie znosiła. Przeżywała ją „starą pleciugą”, bo gadała trzy po trzy, nie zastanawiając się nad tym, co mówi, i często mijała się z prawdą.

– Mały Pietro nie żyje – mamrotała i jednocześnie dobijała się do naszych drzwi. – Pochłonęło go czarne morze – dodała, okraszając swoje słowa patosem jak dobry narrator. – Może połknęła go wielka ryba? Tak twierdzili rybacy – mówiąc to, odkryła swoją prawdziwą naturę – naturę papli, zawsze gotowej do upiększenia przekazywanej wieści zmyślonymi szczegółami, bo jej zdaniem prawda sama w sobie nie zasługiwała na zbyt wiele uwagi.

Oczywiście żadne ogromne monstrum o przepastnej gardzieli nie istniało, choć czasem – gdy obserwowało się rozszalałe morze – mogło się zdawać, że wynurza się z niego zarys jakiegoś przerażającego stwora.

Rosetta szybko podeszła, by otworzyć drzwi, a Margiala wraz z moją drugą siostrą, Cornelią, wcięż próbowała mnie uspokoić.

Moja siostra Cornelia jako jedyna nie odziedziczyła ostrych rysów Margiali. Jej uroda była bardziej wyrafinowana, podobnie jak ojca. Wszyscy w naszym miasteczku mówili, że gdyby tylko urodził się gdzie indziej, z pewnością zostałby aktorem i wcieliłby się w rolę jednego z tych romantycznych patriotów podziwianych przez nas w różnych filmach. Ktoś dodał, że przypominał Osvalda Valentiego², ale przewyższał go urodą i uprzejmością, zważywszy na gburowaty i wyniosły charakter tego słynnego aktora. Kiedy do centrum miasta przyjechało kino objazdowe, ojciec dumnie stał wśród tłumu prostaków, którym bogini Wenus najwyraźniej nie poświęciła zbyt wiele uwagi, i pozował jak gwiazda filmowa. Czuł, że różnił się od tych obdartusów, był bardziej wytworny. Mamrotał niezrozumiałe słowa w języku włoskim – który chciał podszlifować – przerzucając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi. Oparty o ścianę jakiegoś niskiego domu, jednego z tych, które wychodziły na plac, z zadowoleniem oglądał film, trzymając ręce w kieszeniach i przyjmując postawę niegrzecznego chłopca.

Stał tak ze skrzyżowanymi nogami, nieco zgarbiony. Przybierał artystyczną pozę – jak mówiła Margiala – którą właśnie ściągnął od Valentiego. Był to człowiek wiecznie młody i najwyraźniej bardzo podobał się kobietom, ponieważ na jego widok młode panny z miasteczka uśmiechały się do siebie, szepcząc coś pod nosem.

Margiala wiedziała, że dziewczyny traciły dla niego głowę. Był typowym przystojniakiem, ale nie przeszkadzało jej to, ponieważ miała świadomość, że ojciec chłonał każde jej słowo i ubóstwiał tylko ją.

Kiedy do drzwi zapukała kuma Antonietta, Cornelia właśnie mnie czesała. Robiła to powoli i delikatnie, jakby pieściła skórę niemowlęcia. Nauczyła się tego od Margiali. Wszystkie byłyśmy jej uczennicami. Poznawałyśmy technikę leczenia dotykem, tajniki sporządzania mieszanek ziołowych i opracowywania przepisów o cudownej mocy. Łagodzenie dolegliwości ciała i ducha za pomocą rąk uznawano za sztukę, jedną z tych, z których mama była najbardziej dumna. Można ją określić

również jako pewnego rodzaju nowatorską pranoterapię, którą Margiala nazywała magią.

– Wpuść ją, Cornelio. To ta stara pleciuga – rzuciła cicho, wznosząc oczy ku niebu i pomstując na ten przekłety dzień.

Antonietta wpadła jak burza do sypialni rodziców, gdzie siedziałam na krześle z wikliny i patrzyłam w oszołomieniu na swoje odbicie w lustrze zdobiącym drzwi szafy.

Kosmyk potarganych włosów opadał niesfornie na moje lewe ramię, a reszta pasemek została zapleciona w gruby warkocz, z którego zbuntowane sprężynki wystawały niczym cierniste kolce.

Nie było sposobu, aby je opanować. Stanowiły utrapienie także dla Margiali. Wypróbowała na nich każdą oleistą miksturę, którą sporządziła w celu wygładzenia puszących się loków. Bez skutku.

– Musi się za tym kryć coś głębszego – mruzczała pod nosem, gdy po raz kolejny zawiódł domowy balsam. – Tu nie chodzi tylko o włosy... ale o twoją naturę, o coś, co kryje się w duszy, czego nikt nie zdoła poskromić.

Kiedy rozmawiała ze mną w ten sposób, prawie się jej bałam, bo zimne, niebieskie oczy Margiali wpatrywały się uporczywie w jakiś punkt w przestrzeni, jakby ukazywał się jej inny wymiar. Może takie wrażenie wywoływał kolor jej tęczywek, rzadko spotykany jaśniuteńki odcień niebieskiego, prawie przezroczysty, który sprawiał, że bardziej przypominała anioła niż ziemską istotę. Cały ten krystaliczny blask równoważyły jednak jej kruczoczarne, długie, poskręcane włosy. Rozpuszczała je tylko w naszej obecności, przy innych zaś nosiła upięte w schludny kok na wysokości karku.

Moja matka była czarnym aniołem.

– Znaleźli go jacyś rybacy w porcie. Kto to wie, od jak dawna już nie żył – opowiadała stara kumoszka z przejęciem.

– Od godziny – odparła Margiala z nutką żalu.

– Od godziny? Kto ci tak powiedział? – spytała zawiedziona, ponieważ ktoś ją uprzedził. Szlochałam przez kilka chwil, a potem znowu wybuchłam niepohamowanym płaczem. Zlizywałam gęste łzy koniuszkiem języka. Patrzyłam zrozpaczona, jak spadały na moje włosy, koszulkę, przesiąkały ubranie i osiadały na moich drżących dłoniach.

Kuma Antonietta spojrzała na mnie pytająco.

– Diamante z nim była i wszystko widziała – powiedziała na sam koniec Margiala, odwracając się w stronę otwartych drzwi, które wychodziły na dziedziniec.

Gdy mama i Rosetta czuwały przy Pietrze, ja wraz z Cornelią zajmowałyśmy się domem i przygotowywaniem posiłków.

Margiala nie chciała, abym zobaczyła mojego przyjaciela ułożonego w białej trumnie.

– Śmierć nie jest dla dzieci – oświadczała kategorycznie, nie słuchając moich próśb.

Ale to było silniejsze ode mnie. Myślę, że nie kierowała mną chęć, by oddać mu hołd, lecz pewna przewrotna forma okrucieństwa. Kiedy człowiek staje w obliczu śmierci, budzi się w nim jakaś ciekawość tego, ile bólu jest w stanie znieść.

Byłam krnąbrną córką. Często – może właśnie z powodu mojej buntowniczej natury, którą podobno odzwierciedlały moje niesforne loki – nie słuchałam mamy. Również tym razem wyszłam z domu pod byle pretekstem i zaczęłam biec na złamanie karku, nie zatrzymując się nawet na chwilę, aby zastanowić się nad tym, co zamierzałam zrobić i jak mama zareaguje na kolejny akt niesubordynacji.

Dotarłam na miejsce zmęczona, z pustką w głowie i przede wszystkim głodna, ponieważ cały dzień nie tknęłam jedzenia.

Dom Pietra wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Drzwi były otwarte na oścież i przesłonięte purpurowym aksamitem niczym wrota jakiegoś średniowiecznego zamku, które przyozdobiono na znak triumfu. Na zewnątrz stało dwóch policjantów, kontrolowali wchodzących i wychodzących, ciekawskich, przyjaciół, krewnych oraz zwykłych przechodniów. Pomiędzy jednym pozdrowieniem a drugim palili papierosy lub rozmawiali o swoich sprawach. Przed drzwiami stała gromadka rozgadanych kum.

Podeszłam bliżej, bo chciałam stanąć na palcach i zobaczyć, kto jest w środku. Zdałam sobie sprawę, że pogaduszki tych bigotek niewiele miały wspólnego ze śmiercią Pietra. Obgadywały po prostu inne kobiety – z zazdrości lub dla zabicia czasu.

Wychylając się zza tkaniny, zobaczyłam wiązankę kwiatów leżącą na stole w otoczeniu innych wieńców. Ich zapach był tak intensywny, że bałam się, iż zemdleję lub zwymiotuję – albo jedno i drugie.

Margiala i Rosetta stały z pochylonymi głowami. Widziałam tylko ich kręcone włosy osłonięte koronkowymi chustami i haftowane chusteczki, które ścisnęły w dłoniach lub przykładają do twarzy, jak to zazwyczaj bywa w trakcie uroczystości pogrzebowych.

Po drugiej stronie trumny dostrzegłam mamę Pietra.

Nie zdołałam się oprzeć. Moje serce biło jak oszalone, w uszach bez przerwy dudniło, a spuchnięte nozdrza rozsadzała woń kwiatów. Byłam pewna, że za moment któraś z tych części mojego ciała eksploduje.

Odwróciłam się w drugą stronę i zaczęłam biec. Pędziłam tak bez ustanku aż do samego domu, podczas gdy ciepły, wiosenny wiatr osuszał moje łzy.

Cornelia zaczęła już przygotowywać kolację.

Wytarłam zasmarkany nos, zachlipałam kilka razy i usiadłam obok siostry, aby jej pomóc. Faszrowała właśnie roladki cielece szałwią i pecorino³. Szałwia pochodziła z naszego ogrodu. Rozrosła się obficie w cieniu wielkiego oleandra wraz z krzewami rozmarynu i majeranku. Sos gotował się w garnku na palenisku. Po przygotowaniu sznycli należało je zawinąć i przewiązać sznurkiem. Margiala знаła sekret, dzięki któremu potrawa zyskiwała jeszcze lepszy smak.

Wystarczyło dodać do nadzienia kawałek ostrej papryczki. Także to warzywo rosło w naszym ogrodzie. Mama wyrzucała nasionka – najbardziej ostrą i ciężkostrawną część – i kroїła papryczkę na malusieńkie kawałeczki. Ręce przechodziły jej zapachem i przybierały czerwony kolor. Kiedy roladki były gotowe, przekładała je do sosu i po osiągnięciu stanu wrzenia dusiła przez co najmniej dwie godziny. Od czasu do czasu, gdy sos za bardzo gęstniał, dodawała odrobinę wody i mieszała go energicznie łyżką, aby ser pecorino, który wypłynął z roladek, nie przykleił się do dna i ścianek naczynia.

W mojej okolicy te pyszne ruloniki nazywano braciolo. Zazwyczaj stanowiły one podstawowy niedzielny posiłek. Podawano je jako smaczne i sycące drugie danie, podczas gdy sos wykorzystywano do zaprawienia orecchiette⁴. Nawet makaron był domowej roboty. Orecchiette cieszyły się bardzo dużą popularnością w mojej miejscowości – maluteńkim skupisku białych i żółtych domków – znajdującej się w odległości około dwóch kilometrów od Bari. Miasteczko nosiło nazwę Carbonara. Być może dlatego, że kiedyś pracowała tu duża kolonia węglarzy. Tak mówił mi ojciec, który mieszkał tutaj od kilku pokoleń i za nic w świecie nie zamieniłby tego miejsca na żadne inne.

Inaczej było w przypadku Margiali, która zostawiła Cerignolę i wiejskie tereny, aby przenieść się bliżej morza i korzystać z jego dobrodziejstw. Tak przynajmniej mawiała, pomimo że – jak już wspomniałam – nigdy nie chciała się przekonać, jak ono wygląda.

Na przygotowanie posiłku miałyśmy z Cornelią dwie godziny. Ponieważ była niedziela, moja siostra postanowiła, że spróbujemy przyrządzić ów przysmak, aby sprawić Margiali radość.

Tata i Giuseppe jeszcze nie wrócili do domu. Stanowiliśmy liczne grono, więc makaronu należało naszykować dużo. Podczas gdy moje ręce uwijały się przy pracy, umysł zapadł w dziwny letarg – coś na kształt przyjemnej obojętności. Przez jakiś czas wydawało mi się, że jestem całkowicie skupiona na tym, by z odpowiednią siłą przyciskać do blatu porcje ciasta i formować makaronowe uszka.

W mojej rodzinie kobiety zawsze przygotowywały orecchiette – prawdziwy przedmiot dumy wszystkich gospodyń – na swój sposób: Cornelia i Rosetta używały widelca, a moja mama i ja palców. Podobało mi się, że każda z nas mogła dowolnie interpretować metodę przodków i kształtować uszka tak, jak lubiła, chociaż tata zawsze mawiał, że jego matka była w tym najlepsza. A ona nadawała orecchiette kształt za pomocą widelca.

Skupiłam całą uwagę na szybkości wykonywanych ruchów, wypierając z umysłu wszelkie inne refleksje. Ból jednak nie zniknął. Nie pozbyłam się również wspomnień związanych z Pietrem. Po prostu zakopałam je gdzieś głęboko, w najdalszym zakątku mojego umysłu, czekając, aż niespodziewanie powrócą.

Tymczasem, korzystając z chwilowego zawieszenia wyroku, skoncentrowałam swoje myśli na przygotowaniu kolacji.

Już jako dziecko zrozumiałam, że w przyrządzaniu posiłków tkwi ogromna uzdrawiająca moc, i to właśnie w dzieciństwie narodziła się moja miłość do domowych specjałów.

Podczas kolacji prawie nikt się nie odzywał. Jedyne Giuseppe pozwolił sobie pochwalić sos, a tata skwapliwie mu przytaknął. Kobiety nie zamieniły ze sobą ani słowa. Trwały w obojętnym milczeniu.

Margiala siedziała przy stole z zaciśniętymi zębami. Lewą dłoń zwinęła w pięść, a w prawej ścisnęła widelec, którym rozgrzebywała jedzenie na talerzu. Nikt nie miał wątpliwości, że była w wyjątkowo bojowym nastroju.

Nawet jej mąż nie podjął się próby rozładowania tej napiętej atmosfery. Wiedzieliśmy, że mama była trochę „dziwna”, ale wierzyliśmy, że owa dziwność wynikała ze szczególnej natury jej mocy.

Czasami mówiła, że chwycił ją ostry ból głowy, więc musi wstać od stołu i pobyć chwilę w swoim pokoju. Siedziała tam kilka minut, przygotowując specjalną maść. Wkrótce wracała do nas w pełni sił – niczym jakaś nieśmiertelna i niezniszczalna istota.

Tego wieczoru jednak zdawało się, że dręczył ją ból niefizyczny, że nękała ją jakaś niewypowiedziana boleść, która przypominała o innych cierpieniach skrywających się w zakamarkach duszy.

Nie wiedziałam, czy cierpiała z powodu śmierci Pietra, mojej popędliwości, czy dlatego, że poszłam nad morze, wiedząc o jej lęku przed tym odmęttem.

A może kryło się za tym coś bardziej skomplikowanego?

Babcia Diamante – jak powiadano w Cerignoli – umiała przewidywać nieszczęścia. Nie posiadała daru przepowiadania przyszłości, którą znał tylko Bóg, ale opanowały ją złowróżbne przecucia, gdy miało stać się coś strasznego. Babcia mawiała również, że dar ten nasilał się w czasie ciąży, a mama była w siódmym miesiącu.

Ale co mogło być bardziej przerażającego niż śmierć biednego Pietra i przytłaczające poczucie winy? Być może, gdybym nie narzekała... Gdybym pozwoliła, aby to on podjął decyzję. Wszyscy wiedzieli, że byłam w gorącej wodzie kąpana. Słyszałam z ciągłego marudzenia, pośpiechu oraz tego, że nie znosiłam czekać – na nikogo ani na nic. Rosetta zawsze to podkreślała, wytykała mi to także Cornelia, ale Margiala nigdy tego nie robiła – jakby każde moje zachowanie w jej oczach zawsze było usprawiedliwione. Wiedziałam, że to mnie wybrała na swoją ulubienicę, ale fakt, iż obdarzała mnie szczególnymi względami, sprawiał, że często towarzyszyło mi poczucie niesprawiedliwego zwycięstwa.

– Nie smakuje ci, mamusiu? – odezwała się Cornelia.

Margiala skierowała na nią swój nieobecny wzrok.

– Zdejmij łokcie ze stołu – powiedziała oschle, nie zważając na jej pytanie. Siostra rzuciła nam szybkie spojrzenie. Zauważyła z żalem, że Rosetta siedziała wyprostowana i trzymała łokcie w prawidłowy sposób, tak jak podobało się mamie.

Cornelia nie robiła tego umyślnie. Ona także usiłowała stosować się do nauk Margiali. Na którejsz ze stron gorzkiej księgi życia zapisane było, że miała zająć ostatnie miejsce w sercu naszej matki. Wszyscy wiedzieli też, że Margiala wymagała od niej więcej niż od innych.

Później zdałam sobie sprawę z tego, że prowokowanie kłótni wynikało z wojowniczej natury mojej matki. Nie robiła tego złośliwie, prawdopodobnie nie mogła nic na to poradzić. Jej gniew był wszechobecny i z wielką łatwością dopadał biedną Cornelie.

Tata wstał pierwszy od stołu, zmęczony ciężką atmosferą. Giuseppe poszedł za nim. Wyszli na podwórko, by zapalić. Czasami zazdrościłam bratu, bo nigdy nikt z rodziny nie odważył się

powiedzieć mu, co powinien robić, a czego nie. Gdy skończył osiemnaście lat, uznano go za dorosłego, odpowiedzialnego za swoje czyny człowieka, który musi dzielnie znosić ciosy, jakie czasem zadaje życie.

W przypadku kobiet wyglądało to zupełnie inaczej – za nie zawsze ktoś decydował. Wolna wola? To wyłącznie przywilej mężczyzn.

Rosetta podniosła się, aby posprzątać ze stołu. Należało to do jej obowiązków, ponieważ była najstarszą córką. Mama nie ruszyła się z miejsca i jeszcze przez chwilę przesuwiała widelcem po talerzu, grzebiąc w sosie i makaronie, który ostygł i zamienił się w rozgotowaną papkę, jakby szukała w nim jakichś wskazówek. Kiedy była bardzo zdenerwowana, powieka jej prawego oka zaczynała lekko drgać, nadając jej wygląd diabolicznej istoty. W takich chwilach bałam się jej, ponieważ tłumiona natura czarnego anioła przejmowała nad nią kontrolę.

– Zabierz wszystko – jęknęła, zwracając się do Rosetty i usuwając talerz przed oczu, jakby rzeczywiście dzięki niemu rozwikłała jakąś zagadkę.

Margiala potrafiła wróżyć z fusów. Wiele kobiet korzystało z tego dziwnego talentu mamy. Aromatyczna kawa, wypijana we wczesnych godzinach popołudniowych, stawała się więc dobrym pretekstem do uzyskania informacji o małżeństwie lub podupadłych finansach.

Kiedyś przysłała do nas kuma Antonietta. Nie zrozumcie mnie źle – nie było to zdarzenie jednorazowe. Spędzała w naszym domu znacznie więcej czasu niż we własnym, aż w końcu jej obecność stała się tak oczywista, że przestałyśmy w ogóle zwracać na nią uwagę, jak przestaje się zwracać uwagę na stary, wyblakły mebel, stojący gdzieś w kącie pokoju.

Odkąd Margiala powróżyła Antonietcie, stara pleciuga jak ognia wystrzegła się zerkania na dno filiżanki.

Aby uniknąć niebezpieczeństwa, wstawiała od stołu i wylewała fusy do zlewu. Następnie dokładnie płukała naczynie, aby nie pozostał w nim nawet ślad tej brązowej cieczy.

– Widzę statek – powiedziała jej mama. – Widzę podróż, podróż do dalekiego kraju.

Na początku plotkara nie przywiązywała wagi do słów Margiali. Żyła tak jak zwykle, z dnia na dzień, karmiąc innych zasłyszczanymi pogłoskami.

Nie trzeba było długo czekać, aż obłudnicy – których w miasteczku nie brakowało – zaczęli rozpowiadać, że poczciwiec Tanino, który zniknął jakiś czas temu bez śladu, znalazł sobie inną kobietę i mieszka teraz hen za wielką wodą, w Ameryce.

– Biedna Antonietta... sama, bez dzieci. Ma szczęście, że jej rodzice jeszcze żyją, przynajmniej mogą jej jakoś pomóc – mówili ze współczuciem.

Mimo że w tych komentarzach nie było sarkazmu, Antonietta, słysząc je, nie czuła się lepiej.

– Zdradzona kobieta to zawsze zdradzona kobieta – skwitowała Margiala, która nigdy nie owijała w bawełnę, a słowa mające złagodzić prawdę, nie robiły na niej żadnego wrażenia.

Moja matka nie mówiła dużo, ale potrafiła celnie podsumować sytuację jedną uszczypliwą uwagą.

CZĘŚĆ II
KUCHNIA

Na początku miesiąca poczułam się lepiej. Nie przestałam wprowadzić roztrząsać śmierci Pietra, ale powoli owo wspomnienie traciło swą intensywność, zagubione pośród innych myśli, które codziennie zaprzętały moją głowę.

Ostatnio w naszej rodzinie wiele się działo, a w domu od kilku dni panował chaos, który całkowicie mnie zaabsorbował. Najbardziej jednak martwiłam się o zdrowie Margiali.

Niespodziewana ciąża w wieku czterdziestu lat zmuszała ją do dużego wysiłku. Odczuwała ciężar rosnącego brzucha, ale gdy patrzyło się z tyłu na jej sylwetkę, trudno by odgadnąć, że była w błogosławionym stanie. Z oczywistych względów nie mogła się już pochwalić talią osy, ale wszystko inne pozostało w doskonałych proporcjach. Jej smukła sylwetka nie zmieniła się mimo kilku ciąż. Wydawało się, że dobry Bóg nie chciał, aby przestała rodzić dzieci.

Nie sypiała dobrze w nocy i nie mogła odpocząć w ciągu dnia. Nieznośne upały, które towarzyszyły początkom lata, dawały jej się bardzo we znaki i z pewnością nie łagodziły dolegliwości związanych z dużym brzuchem. Mama była już w ósmym miesiącu.

Kiedy miała zły dzień, zaczynała przeklinać. Wymyślała wszystkim świętym, Bogu, a na końcu mojemu ojcu, pod którego adresem kierowała najbardziej nieprzyjemne epitety. Nie przejmowała się tym, że mogłyśmy ją usłyszeć, ani tym, że byłam tylko dzieckiem.

– Tylko spróbuj powtarzać takie słowa, a będziesz głodować cały tydzień – ostrzegala mnie.

Nigdy nie odważyłabym się przeklinać w obecności Margiali ani nikogo innego z dwóch powodów: po pierwsze, matka z pewnością by mnie zabiła, gdyby dowiedziała się, że używam brzydkich słów; po drugie, obawiałam się gniewu świętych i Pana Jezusa.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było zakończenie prac w naszym domu. Minęło dwadzieścia lat, odkąd w 1918 roku ojciec położył pierwszy kamień pod jego budowę, gdy sprowadził tu mamę, która była w ciąży z Rosettą.

W Cerignoli nikt nie zgodził się udzielić im schronienia po tym, jak „chłopak znikąd” zabrał ze sobą piękną Anitę będącą jeszcze w żałobie po śmierci ojca. Z pewnością nie pomyślała o tym babcia Diamante, która obraziła się na córkę na ponad dziesięć lat. Gdy w końcu zdecydowała się przerwać milczenie, prawdopodobnie przeczuwała, że niedługo odejdzie z tego świata, bo umarła kilka miesięcy później.

Nikt nie przebaczył Margiali, że dała się omotać temu przystojnemu, nieznajomemu dandysowi, i nikt nie mógł przypuszczać, że mama uciekła z nim nie z miłości, lecz ze strachu.

Jedynaczka, z owdowiałą matką – już sobie wyobrażała, że będzie musiała się nią opiekować aż do śmierci, że zestarzeje się i zgorzknieje, nie poznawszy nigdy, czym jest dotyk mężczyzny. Agostino, mój ojciec, jako pierwszy odważył się zaproponować jej takie szaleństwo – ucieczkę kochanków. Oczywiście Margiala roniła fałszywe łzy i stawiała udawany opór.

Dobrze wiedziała, że dziewczyna, która spędziła noc poza domem w towarzystwie mężczyzny, zostawała uznana za zhańbioną i traciła prawo do mieszkania z rodziną. Zazwyczaj chłopak prosił wtedy o jej rękę. Kochanków należało ukarać za popełnienie tego występku, więc młoda para nie mogła świętować swojego ślubu na oczach wszystkich.

Dla tych, którzy splamili się owym grzechem, zarezerwowano cichą mszę o piątej rano, celebrowaną tylko w obecności świadków i rodziców. Oczywiście nie było mowy o białej sukni.

W rzeczywistości takie pozorowane ucieczki nie należały do rzadkości, gdyż dla wielu były

pretekstem, aby zaoszczędzić na weselu lub wystawnym obiedzie i wszystkich innych przygotowaniach związanych z tym wielkim dniem. Z takiego rozwiązania najchętniej korzystały dzieci robotników rolnych lub dzierżawców.

Rodzina panny młodej udawała złość i wyrzuty sumienia z powodu lekkomyślności córki, zaś bliscy pana młodego narzekali, tak na wszelki wypadek, na rozwiązłość przyszłej synowej. Zaraz potem odbywał się skromny ślub.

– Zobaczysz, wybuduję ci dom godny prawdziwej damy – powiedział wtedy mój ojciec, który uwielbiał wyzwania i pragnął zawsze widzieć uśmiech na twarzach swych bliskich.

Trudno powiedzieć, czy zakochał się w mamie od pierwszego wejrzenia i czy to, co do niej czuł, było prawdziwą miłością. Ale dla człowieka jego pokroju – zawsze dotrzymującego danego słowa – przyrzeczenie, że uczyni z niej wielką panią, stało się jednym z najbardziej uroczystych zobowiązań.

Mój ojciec nie poprzestał więc na małej, skromnej chacie dla robotników rolnych ani na jednym z tych niskich, bielonych domków, w jakim sam spędził dzieciństwo. Wybudował dla niej dwupiętrowy dom z efektownymi schodami z szarego marmuru. Na piętrze mieściły się dwa pokoje.

– Dla naszych dzieci – powiedział jej, być może przeczuwając, podobnie jak Margiala, że będą mieli ich wiele.

Do drzwi wejściowych prowadził rozległy, kwadratowy korytarz pełniący funkcję pokoju rozrywkowego dla gości. Przy ścianie ustawiono niską szafkę o nieokreślonej, brązowo-amarantowej barwie, którą mój ojciec stworzył, mieszając różne farby. Mama przechowywała w niej szklanki i kieliszki dla gości oraz kilka porcelanowych naczyń podarowanych jej przez babcię Diamante. Poustawiano tu także wiklinowe krzesła, jedno obok drugiego, dla gości – a ściślej dla kobiet, które codziennie przychodziły w odwiedziny do Margiali.

Po prawej stronie znajdowała się sypialnia, najpiękniejszy pokój w domu – był największy i miał drzwi wychodzące na podwórko, ponieważ mama często budziła się wcześniej rano i musiała zaczerpnąć świeżego powietrza. Kuchnia znajdowała się na zewnątrz, pośrodku krytej przybudówki. Była prawdziwym królestwem Margiali. Być może, mając to na względzie, nasz ojciec zadbał o to, by stanowiła odrębną część – jak gniazdo wewnątrz twierdzy, dobrze chronione przed jakimkolwiek niebezpieczeństwem z zewnątrz. Moim ulubionym miejscem był jednak ogród, a raczej dwa ogrody przedzielone wąską ścieżką, która urywała się przy toalecie.

Moje królestwo z pewnością znajdowało się poza domem. Było to doskonałe miejsce dla chłopczycy, zbuntowanej dziewczynki o kręconych włosach, lubiącej zagłębiać dłonie w ziemi i czuć na skórze te maluteńkie ziarenka, które powoli uciekały przez palce, aby w końcu złączyć się z jej pozostałą masą.

Tak więc „pałac” mojego ojca i Margiali został ukończony i należało uczcić to wydarzenie.

Mama zaczęła przygotowywać się do uroczystości już kilka dni wcześniej.

Zaproszono niewielu krewnych – rodziców taty i starszą ciotkę, głuchą jak pień, która wzbudziła ogromne zainteresowanie gości, ponieważ była jedyną przedstawicielką rodu mojej surowej babci. Pozostali bracia mojego ojca wyjechali z Włoch i osiedlili się daleko – jeden w Wenezueli, drugi w Stanach Zjednoczonych. Odtąd słuch po nich zaginął. Tata jako jedyny nie podążył ich śladem, ale tylko przez wzgląd na Margialę, która nienawidziła obcych krajów niemal tak mocno, jak nie znosiła swojej teściowej.

Prawdę mówiąc, ta ostatnia powinna wielbić Anitę do końca swoich dni, ponieważ to ona namówiła jej najmłodszego syna, aby nie opuszczał swoich schorowanych rodziców. Jednak moja babcia nie chciała przyznać, że stało się tak dzięki Margiali. Nie darzyła jej sympatią trochę dla zasady, bo która teściowa lubi swoją synową; trochę dlatego, że przewyższała mojego ojca inteligencją. Poza tym ten jedyny syn, który nie porzucił ojczyzny, uniemożliwił jej odgrywanie roli opuszczonej, samotnej matki, w której niewątpliwie czułaby się doskonale.

Zdaniem części kobiet z moich stron istniała nawet wymyślona hierarchia nieszczęść, jakkolwiek absurdalnie to brzmiało. Te z nich, które doświadczyły wielu niepomyślnych zdarzeń, mogły przechwalać się nimi i nieustannie opowiadać o nich krewnym oraz przyjaciółom. Nie wiem, czy wynikało to z faktu, że cierpiały głód i borykały się z nędzą, ale prześcigały się w wyliczaniu kłopotów, jakby stały się one pewnego rodzaju zasługą.

Oprócz krewnych zaproszeni zostali także znajomi i sąsiedzi, gdyż byliśmy jak jedna wielka rodzina.

Wraz z moimi siostrami w skupieniu przysłuchiwałam się, jak mama krząta się po swoim królestwie. Brzękanie garnków i naczyń kuchennych rozlegało się pośród melodyjnego śpiewu. To Margiala, która będąc w dobrym humorze, co zdarzało się tylko przy szczególnych okazjach, nuciła piosenkę podobną do kołysanki. Wtedy – zapewne dzięki pogodnemu nastrojowi – zanikały wszystkie zmarszczki z jej twarzy, co nadawało jej znowu wygląd czarnego anioła.

Powietrze przesiąknięte było przyjemnym zapachem prażonych migdałów i słodko-kwaśną wonią karmelizowanych cytryn, którymi mama nadziewała smaczne, maślane ciasteczka. Po uprażeniu ucierano migdały w młynku na miazgę, następnie łączono go z cytrynową mieszanką, a na sam koniec dodawano pełną garść cukru.

Byłam najmłodsza, więc to mnie przypadało kruszenie migdałów. Przygotowanie ciasta należało wyłącznie do Rosetty, ponieważ tylko ona dorównywała mamie zręcznością. Cornelia z kolei przyrządzała nadzienie.

Trudno było jednak sprostać wymaganiom Margiali, a nadziewanie ciasteczek, jak prawie każda czynność kulinarna, wymagało wielkiej wprawy i koncentracji.

– To jedna z tych umiejętności, które prawdziwa kobieta musi stale doskonalić – powtarzała nam nieustannie. I tak Cornelia jednym razem wkładała na łyżkę za dużo mieszanki, a innym razem za mało.

Biedaczka spuszczała oczy, a jej różowe policzki stawały się jeszcze bardziej rozpalone. Przelykała ślinę przekonana, że prędzej czy później zasłuży na pochwałę Margiali.

Gdy cytrynowe ciasteczka z migdałami były gotowe, mama nakazała Rosetcie, aby zajęła się przygotowaniem ciasta na zeppole⁵ – był to prawdziwy specjał, znany lepiej pod nazwą „ciastka

świętego Józefa”, ponieważ w moich stronach wypiekało się go właśnie w dniu świętego Józefa, czyli 19 marca.

Moja starsza siostra wielokrotnie próbowała swoich sił w trudnej sztuce kulinarnej, jednak przeważnie z marnym skutkiem. Margiala napominała ją surowo, ale jednocześnie przekazywała swoją mądrość, dzięki której Rosetta z czasem stała się niemal ekspertem w dziedzinie włoskiej kuchni.

Największa trudność polegała na właściwym połączeniu składników ciasta – mąki, jajek, wody i odrobiny masła – które powinno się szybko mieszać i jednocześnie podgrzewać na małym ogniu. Należało żwawo rozrabiać produkty, zapobiegając zagotowaniu się wody i powstaniu zniechęconych grudek z mąki. W przeciwnym razie ciasto nie nadawałoby się do spożycia. Najpierw trzeba było całkowicie rozpuścić masło w wodzie, następnie wsypać mąkę do garnka jednym zwinnym ruchem i nieprzerwanie, energicznie ucierać wszystkie składniki, aż gładkie ciasto zacznie odstawać od ścianek i da się z niego uformować kulę. Wtedy wyjmowano uzyskaną masę z garnka i aby całkowicie wystygła, uderzano nią z dużą siłą o deskę do krojenia. Wówczas ciasto było gotowe do formowania z niego okrągłych wianuszków, które pieczono i nadziewano kremem.

Przyswajałam sobie tę wiedzę powoli, ponieważ niewątpliwie była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, które mama i Rosetta przygotowywały na moich oczach. Stałam na palcach i podziwiałam je z otwartymi ustami, śledząc ich zdecydowane gesty, w których zawierała się esencja kobiecości.

Czasami myślałam o Pietrze. Doznawałam wtedy niespodziewanego ucisku w żołądku, który zmuszał mnie do kilkukrotnego przełknięcia śliny.

Margiala wyczuwała, co się ze mną działo, i przyglądała mi się wówczas z troską, obdarzając mnie ciepłym spojrzeniem i nadając swoim szaroniebieskim, lodowatym oczom najczulszy wyraz, jaki mogły przybrać.

To wystarczyło, żeby mnie uspokoić. Smutniałam jednak, gdy rozmyślałam o tych wszystkich rzeczach, których Pietro miał już nigdy nie doświadczyć, i kiedy się nad tym zastanawiałam, ogarniało mnie poczucie wielkiej niesprawiedliwości. Byłam zła na los czy przypadek – nazwijcie to, jak chcecie – który doprowadził do tak wielkiej tragedii.

– Zmarłe dzieci dołączają do grona aniołów – mówiła Rosetta. Jej słowa nieco mnie pocieszyły, ponieważ wyobrażałam sobie Pietra właśnie jako aniołka siedzącego w niebie na krześle z wysokim oparciem.

– Zaczynij przygotowywać ciasto na calzone – powiedziała Margiala, podczas gdy sam rozprawiała na ciastkach cienką warstwę puszystego kremu.

– Ja, mamó? – spytałam, otwierając szeroko oczy z niedowierzania, bo dotychczas otrzymywałam zadania niewymagające umiejętności, niegodne prawdziwej kucharki.

– Umiesz je robić, prawda? Ile razy przyglądałaś się, gdy je przygotowywałam? – Mówiąc to, rzuciła mi spojrzenie, które było w połowie czułe, a w połowie surowe. – Cornelio, ty pokroisz cebulę – oznajmiła mojej siostrze, zerkając w jej kierunku. Ta natychmiast posłuchała, mimo że owa czynność wiązała się z obfitym łzawieniem.

W krótkim czasie kuchnia przesiąkła różnorodnymi zapachami. Słodki aromat kremu mieszał się z gryzącą wonią świeżo pociętych cebul oraz drożdży piwnych.

Margiala musiała szybko wyjść z kuchni, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Mimo że nie dokuczał jej już napęczniały brzuch, nadal była podatna na jego humory. Żołądek kaprysił jak w pierwszych miesiącach ciąży, jednak moja matka rzadko uskarżała się na złe samopoczucie. Była odporna na trudy i należała do tych kobiet, które zaprzeczały swoim słabościom, a nawet próbowały ukryć ich oznaki. Ale my, jej córki, natychmiast wyczuwałyśmy każdą, nawet najmniejszą zmianę jej

stanu fizycznego lub nastroju, jakbyśmy żyły w swoistej symbiozie z jej ciałem.

Kiedy mama wybiegła do ogrodu, Rosetta, skinieniem głowy przywołała mnie i Cornelię, abyśmy wróciły do pracy. Wypełniłyśmy jej polecenie bez sprzeciwu.

Calzone z cebulą było jednym z moich ulubionych dań. Uwielbiałam jeść je na gorąco, gdy świeżutkie nadzienie rozpływało się w ustach. Obserwując mamę, nauczyłam się dobrze zagniatąć ciasto.

– Jakbyś wymierzała mu policzek – mówiła Margiala, gdy wyjaśniała mi, z jaką siłą powinnam ugniatąć tę mieszaninę mąki, wody, drożdży i oleju.

I w ten oto sposób zaciskałam moje małe dłonie i zaczynałam okładać ciasto pięściami. Podobało mi się, gdy ta rozrzucona na stolnicy bezkształtna masa z mąki nabierała bladożółtego koloru i odpowiedniej konsystencji. Ciasto miało być gładkie i jednocześnie elastyczne. Wtedy zdecydowanym ruchem podnoszono i upuszczano je na stolnicę, a następnie rozplaszczano pięściami, dzięki czemu było równomiernie wyrobione. Wówczas nacinano na nim znak krzyża, przykrywano kilkoma ciepłymi ściereczkami i odstawiano do wyrośnięcia na kilka godzin.

Margiala wróciła, gdy prawie ukończyłam swoje dzieło. Spojrzałam na nią zaniepokojona w oczekiwaniu na werdykt. Mama jednak ograniczyła się tylko do pełnego wyższości spojrzenia kobiety, która wiedziała, jak przesuwac swoje pionki i w którym momencie je usamodzielnic. Wiedziałam, że to było najlepsze, czego mogłam się po niej spodziewac, więc uśmiechnęłam się zadowolona.

Kiedy Margiala odzywała się do mnie, jej surowa zazwyczaj twarz łagodniała, a w oczach pojawiała się skrywana czułość. Czy sądziłyśmy, że znała naszą przyszłość? Że ujrzała przeznaczenie swoich córek, wróżąc z fusów po kawie? Zawsze wierzyłam, że mama czytała we mnie, Corneli, Rosetcie, jakbyśmy były otwartymi książkami. Wydawało mi się, że w każdej sytuacji miała nad nami przewagę, bo mogła przejrzeć wszystkie nasze myśli, nawet te, które dopiero rodziły się w naszych głowach.

Cornelia właśnie przygotowywała nadzienie, mieszając energicznie cebulę, uduszoną uprzednio w posolonym mleku z pomidorami, ostrą papryczką i oliwkami, gdy usłyszałyśmy kobiecy głos przywołujący nas z podwórka.

Jak mogliśmy nie rozpoznać głosu kумы Nanniny? Była naszą ulubioną sąsiadką. Lubiłam ją tak bardzo, że czasami, za jej zgodą, nazywałam ją ciocią. Była niską, niezbyt ładną kobietą o pociągłej, końskiej twarzy i ciemnym podbródku, którego kolor podkreślał jeszcze bardziej jej orli nos sięgający prawie cienkich warg.

Twierdziła, że kiedyś nie była tak brzydka, ale przez paskudną infekcję dziąseł straciła wszystkie zęby, jeden po drugim, przybierając stopniowo wygląd bezzębnej wiedźmy. Może właśnie dlatego kuma Nannina budziła we mnie współczucie i sympatię.

Podobały mi się jej siwiuteńkie włosy, miękkie i jedwabiste, przypominające kłaczki bawełny. Nosiła je upięte w węzeł, pozwalając, aby gęste, srebrzyste kosmyki okalały jej twarz, tworząc jedyny naszyjnik, na który mogła sobie pozwolić.

– Dziecko jest chore! – krzyczała biedaczka ochryłym z rozpaczyny głosem. Słyszając to, Margiala natychmiast wybiegła na podwórze. Nastąpiła szybka wymiana zdań po drugiej stronie murku, który oddzielał nasze domy, i mama poprosiła sąsiadkę, by do nas przyszła.

Kiedy mogłam przyglądać się Margiali w działaniu, moje serce biło jak szalone, a po całym ciele przebiegał dreszcz. Czułam się, jakbym była świadkiem czarów, które mama odprawiała z iście mistrzowską wprawą. Wszyscy w miasteczku darzyli ją za to ogromnym poważaniem. Przed wizytą u lekarza można było bez przeszkód zejść do domu Margiali, która potrafiła czarować swoimi zgrabnymi dłońmi niczym wróżka. Jej niezwykle umiejętności stały się zresztą częstym tematem rozmów.

Kuma Nannina wyglądała na wielce przerażoną. W jej oczach ujrzałam strach. Od razu domyśliłam się, że tym razem nie chodziło o zwykły ból brzucha, przez który od czasu do czasu dzieci wiją się jak węgore w wiadrze. Maluch skręcał się w ramionach kobiety, a żyłki na jego szyi uwypuklały się i zanikały, jakby nadmuchiwane niewidzialnymi miechami.

Mama zachowała kamienny wyraz twarzy i jedynie drżący głos zdradził, że była zaniepokojona. Myślę jednak, że niewiele osób mogłoby to zauważyć, bo Margiala jak mało kto potrafiła ukrywać swoje emocje.

– Połóżcie go na łóżku – szepnęła kuma, manewrując pomiędzy rozstawionymi bezładnie krzesłami, aby dotrzeć do sypialni.

– Nie – zaprotestowała mama. – Dajcie mi go na kolana. – Po tych słowach usiadła na szafranowym fotelu, stojącym obok kredensu. Fotel był rodzinną pamiątką. Tata otrzymał go od starej ciotki, która może dlatego, że miała problemy z pamięcią i żyła w wyimaginowanym świecie, przechwalała się, że mebel o zdobionych podłokietnikach i oparciu z aksamitu należał kiedyś do

jakiegoś szlachcica.

Nie zważając na ciocine opowieści, mama uczyniła z niego relikwię i wybrała go na tron, na którym praktykowała swoje sztuczki. Tylko ona mogła na nim zasiadać.

Margiala poprawiła w pośpiechu falbaniastą spódnicę, aby lepiej przytrzymać małego, i drżącymi dłońmi wzięła go z rąk kумы. Dziecko nie wykazywało żadnych chęci, aby przerwać swój makabryczny taniec, a jego twarz stała się przerażająco sina.

– Szybko, szybko – mówiła poirytowana mama do sąsiadki. Cornelia i ja przycupnęłyśmy na schodach, aby obserwować całą scenę. Po chwili dołączyła do nas również Rosetta, która nie mogąc oprzeć się ciekawości, porzuciła garnki i patelnie, aby zobaczyć, jak mama uzdrawia dziecko. Jako pierworodna w głębi serca pragnęła pójść w jej ślady, żywiąc nadzieję, że odziedziczyła jej umiejętności.

– To dar, który prędzej czy później nauczysz się rozpoznawać – mówiła Margiala Rosetcie, patrząc przy tym na mnie tak znacząco, że nabierałam przekonania, iż to właśnie we mnie dostrzegła ów potencjał.

Mama unieruchomiła dziecko lewym ramieniem, a drugim podniosła koszulkę i położyła dłoń na brzuszku, którym wstrząsały konwulsje.

– Teraz cisza – powiedziała, rzucając nam chłodne spojrzenie. Zaczęła szeptać niezrozumiałe słowa, utkane w długą sekwencję słyszalnych, ale nierozpoznawalnych dźwięków, które zapewne miały jakiś sens. Były jak modlitwa, litania, magiczne zaklęcie wypowiedane w nieznanym języku. Margiala nie ujawniła jeszcze żadnej z nas owych formuł, które towarzyszyły tym niezwykłym praktykom.

Następnie zaczęła masować brzusek dziecka okrężnymi ruchami, rysować na nim kciukiem małe krzyżyki, nie pomijając ani centymetra, wciąż odmawiając niezrozumiałe zaklęcia. W trakcie tych czynności skupiła swój wzrok na jakimś nieokreślonym punkcie na twarzy dziecka.

Kuma Nannina powoli się uspokajała. Chłopiec przestał wykrzywiać z bólu twarz i rozluźnił piąstki. Minęło około piętnastu minut, nim stałyśmy się świadkami cudu. Buzia małego przyjęła błogi wyraz odzyskanego spokoju.

Rzuciłam Cornelii trwożliwe spojrzenie, które odwzajemniła swoimi wytrzeszczonymi oczami. Zapanowała konsternacja. Tylko Rosetta zachowała spokój, gdy obserwowała wszystko z założonymi rękoma, opierając się o poręcz.

Dopiero teraz mama odwinęła koszulkę i oddała dziecko w ramiona babci.

– Dziękuję! – wykrzyknęła radośnie kobieta. – Przyniosę ci jajka i ser – dodała z wdzięcznością.

Margiala nigdy nie żądała zapłaty za swoją pomoc. Co najwyżej przyjmowała dary, by szanować wdzięczność innych ludzi, bo jej zdaniem to uczucia zasługiwały na największe uznanie.

Jeszcze przez chwilę mama siedziała w bezruchu w fotelu ciotki. Była wycieńczona. Podniosła rękę do skroni, dając nam znak, abyśmy wyszły. Zawsze gdy dopadały ją bóle głowy, wolała zostać sama. Obecność ludzi drażniła ją niczym rój brzęczących muszek.

– Idźcie do kuchni – powiedziała flegmatycznie. Rosetta skinęła głową, dając jednocześnie do zrozumienia, że przejmuje nad wszystkim kontrolę. – Skończcie nadziewać zeppole. Cornelio, pamiętaj, nadzienie w calzone nie może być suche, a ty, Diamante, cienko rozwałkuj ciasto – dodała, rozdzielając prace. – Rosetto, sprawdzaj, czy twoje siostry dobrze wykonują swoje zadania. Położę się na chwilkę. Zawołajcie mnie za godzinę. I... proszę, Diamante, przynieś mi szklanek wody z plastrem cytryny.

Odwróciliśmy się, aby wyjść z pokoju, każda gotowa do wykonywania swoich obowiązków. Margiala skinęła głową, jakby chciała jeszcze coś powiedzieć, a potem odegnała nas zrezygnowana.

W tych rzadkich momentach, kiedy mama przemawiała do nas łagodnym głosem, wydawała się tak straszliwie bezbronna.

Gdy znalazłam się na podwórzu, spojrzałam na nią ukradkiem. Wciąż siedziała w tej samej pozycji, w lekkim rozkroku. Jedną rękę trzymała przy skroni, a drugą podpierała się o fotel. Próbowwała się podnieść. Chętnie bym ją podtrzymała, pomogła przejść do łóżka, ale wiedziałam, że nie pozwoliłaby mi na to. Nigdy nie prosiła o nic otwarcie, za to wydawała rozkazy, dzięki którym jej świat kręcił się dokładnie w taki sposób, jak zaplanowała. Przynajmniej w domu, który był jej królestwem, narzuciła porządek.

Kiedy wróciłam ze szklanką wody, układała się właśnie na łóżku. Dłonie wyraźnie jej drżały, a oczy błyszczały, jakby miała gorączkę.

Spojrzałam na nią z empatią, ale wprost spiorunowała mnie wzrokiem. Wszystko, co przypominało jej gest współczucia, natychmiast ją irytowało.

– Pamiętaj, że calzone ma być dobrze wypieczone. Powiedz Rosetcie, żeby sprawdzała żar i przewracała go często, inaczej przypali się od spodu. Ach, jeszcze jedno. Posmaruj ciasto równomiernie po wierzchu olejem i wodą, by nabrało ładnego koloru.

Teraz mówiła z wysiłkiem, brakowało jej tchu i łapczywie wciągała powietrze.

– Mamo, jesteś pewna, że nie nadeszła pora? – odważyłam się spytać, przeczuwając, że jej złe samopoczucie było oznaką rychłego porodu.

– Jak śmiesz? – jęknęła, zapewne mylnie interpretując moje słowa. – Odebrałam kilkadziesiąt porodów, pomagałam kobietom w każdym wieku, a ty myślisz, że nie umiem poznać, że nadeszła pora na mnie?

Odzyskała już siłę i zwyczajny ton głosu. W pewnym sensie wydawało się, że Margiala musiała od czasu do czasu podsycić jakieś ognisko wściekłości. To leżało w jej naturze. Teraz nadarzyła się okazja i wystarczyło, aby przygasający węgielek rozżarzył się w kontakcie z nowym drewnem.

– Zamknij okiennice – mruknęła wreszcie, zmieniając temat. Być może zrobiła to, aby zapanować nad własnym wzburzeniem. Podeszłam do okna przerażona okazaną śmiałością i zrobiłam to, o co poprosiła, a potem wymknęłam się z pokoju. Nawet nie spojrzałam w jej stronę, kiedy zamykałam za sobą drzwi, starając się zrobić to jak najciszej. Potem szybko wybiegłam na podwórko. Czułam się niepewnie, jak w potrzasku. Drżałam ze strachu na samą myśl, że mama mogłaby się na mnie gniewać jeszcze po przebudzeniu.

Wydawało mi się, że atmosfera w domu, a przede wszystkim nasze myśli i samopoczucie w przeważającej mierze zależały od Margiali. W mniejszym stopniu mogło to dotyczyć mojego brata. On zawsze miał większe prawa. Odnosiłam wrażenie, że mamę mało interesowało, co się dzieje z jej synem, jakby jego przeznaczenie było sprawą mężczyzn i uznała, że to tata powinien o niego zadbać. W naszej rodzinie mężczyzna miał zawsze możliwość wyboru i mógł zdecydować o swojej przyszłości. W przypadku kobiet było zupełnie inaczej. O edukację moją i moich siostr troszczyła się tylko mama. To od niej zależało, jakimi będziemy kobietami, żonami i matkami, toteż Margiala odczuwała ciężar naszych losów jak ciężkie brzemie.

– Przystań beczeć – Rosetta upomniała zdenerwowaną Cornelie, która głośno płakała. Zawsze tak reagowała, kiedy czuła się wstrząśnięta lub rozdrażniona i wydawało jej się, że wszelkie inne argumenty zostały już wyczerpane. Rzuciłam jej pogardliwe spojrzenie, również dlatego że znałam moją siostrę i nie przywiązywałam dużej wagi do jej łzawych manifestacji.

Rosetta bardzo się różniła od Corneli. Chwilami wydawała się portretem mamy i nie chodziło tylko o podobieństwo fizyczne – Rosetta była równie piękna – ale także o sposób bycia.

Obydwie wyjątkowo oszczędnie gospodarowały uprzejmościami i życzliwymi słowami, jakby to były drogocenne klejnoty, za każdym razem wydobywane z małej, szczelnie zamkniętej szkatułki. Osobom takim jak Cornelia, i innym słabeuszom, żałowały dobrego słowa, gdyż wzbudzały w nich głęboką odrazę.

Cornelia mogła płakać z bardzo różnych powodów, więc nigdy nie pytałam o przyczynę jej łez. Przypuszczałam, że tym razem poczuła się głęboko wstrząśnięta widokiem tej bezbronnej, dręczonej chorobą istotki, wijącej się w drgawkach. Jako osoba niezwykle wrażliwa źle znosiła jakiegokolwiek przejawy bólu.

Spośród nas trzech Cornelia była najbardziej przywiązana do mamy, mimo chłodu, z jakim traktowała ją Margiala. Przyczyn owych łez mojej siostry mogło być naprawdę wiele, toteż postanowiłam się nią specjalnie nie zajmować.

Przewiązałam fartuszek w talii i, nie bacząc na napomnienia Rosetty ani szlochów Corneli, zajęłam się rozwałkowaniem ciasta na calzone. Nuciłam przy tym jakąś piosenkę zasłyszaną w radiu.

– Co ty robisz? Śpiewasz sobie? – zdziwiła się najstarsza siostra, która próbowała, podobnie jak mama, zaprowadzić władzę absolutną.

– Nie można? – odpowiedziałam, wzruszając ramionami.

Rosetta zaczęła się śmiać, być może rozbawiona moim niecodziennym zachowaniem. Niebawem zauważyłam, że Cornelia także przestała płakać. Nadal pociągała nosem, ale już się rozpogodziła.

– Dobra dziewczynka, zawsze lepiej się śmiać, niż płakać, zwłaszcza że twoje łzy nie są dobre dla kremu, który przygotowujesz – powiedziałam, uśmiechając się do niej szeroko.

Tak więc, podczas gdy mama cierpiała w ciemnej sypialni, my odnalazłyśmy sposób, by przejść nad tym do porządku, wspierając się wzajemnie, każda na swój sposób. Obserwowałam moje siostry i starannie rozwałkowywałam ciasto, obracając je kilka razy, aby uzyskać idealnie okrągły placek, gdy nagle naszła mnie okrutna myśl. Utkwiła w moim umyśle jak cierni. Poruszyłam i potrząsnęłam głową kilka razy, próbując się pozbyć intruza, ale on niezmiennie powracał i odnajdywał sposób, aby podstępnie wkraść się do mojej duszy. Była to myśl niezwykle zuchwała, wręcz przerażająca.

Otóż nie mogłam pozbyć się wrażenia, graniczącego z pewnością, że – bez Margiali nieustannie wydającej polecenia na prawo i lewo, rzucającej każdej z nas wyzwiska i kąśliwe uwagi – w kuchni zapanował cudowny spokój. Poczułam się dziwnie wolna. Kiedy tylko matka przebywała w pobliżu, cały czas czułam na sobie jej ostre, przenikliwe spojrzenie.

Przestraszona własnymi wnioskami przymknęłam oczy. Wiedziałam, że rozmyślałam o strasznej rzeczy i powinnam odmówić wieczorem wiele modlitw, by Bóg mi wybaczył.

Nagle usłyszałyśmy huk zatrzaskiwanych drzwi, który oznajmiał, że tata i Giuseppe właśnie wrócili do domu.

Mój brat miał przykry nawyk gwałtownego zamykania drzwi mocnym kopniakiem, mimo iż wiedział, że mama tego nie znosiła. Wydawało się, że robił to celowo, aby rzucić jej wyzwanie. Miał pewność, że ojciec pozostanie zupełnie obojętnym.

Giuseppe uchodził za dorosłego pod każdym względem. Był mężczyzną i już tylko z tego powodu mógł robić, co mu się żywnie podobało. Rosettę traktowano zupełnie inaczej, chociaż była od niego starsza. Poza tym Giuseppe pracował i wspomagał całą rodzinę. „Pracus” – nazywał go ojciec czule, ponieważ harował niestrudzenie na budowie i na polu. Raz był murarzem, a raz rolnikiem, w zależności od potrzeby.

Mój brat chętnie wspierał rodzinę finansowo, nie przywiązywał wielkiej wagi do zasobności swojego portfela, zazwyczaj wystarczyło mu, że w kieszeniach spodni miał pieniądze na papierosy. Reszta specjalnie go nie interesowała. Nie wiem, czy darzył nas braterską miłością. Zawsze zaczepiał mnie, szczypiąc w ramiona tak mocno, że zostawiał na mojej skórze liczne ciemne siniaki. Z pewnością był to dla niego przejaw czułości, w to nie wątpię, lecz okazywał ją w głupi, a do tego zbyt nieprzyjemny sposób, właściwy dla nieokrzesanych mężczyzn.

Inaczej zachowywał się tylko wobec Rosetty. Nie sądzę, by wynikało to z faktu, że była od niego starsza. Myślę, że chodziło raczej o onieśmienie, które wywołują w mężczyznach piękne kobiety. A być może także o podobieństwo Rosetty do matki, szczególnie jej dominującego, czasem nieco niebezpiecznego charakteru.

Nie umiałabym powiedzieć, czy w tym czasie darzyłam mojego brata sympatią. Na pewno zazdrościłam mu podartych spodni, a także tego, że nie musiał nosić różowych kokard we włosach, że przychodził do domu i wychodził, kiedy chciał, i nikt nigdy nie prosił go o żadne wyjaśnienia. Szczególnie zaś zazdrościłam mu tego, że – jako jedyny w domu – miał swój rower, który w owym czasie, jeszcze bardziej niż spodnie, był dla mnie symbolem wolności.

Gdzie jest wasza mama? – spytał tata, wgrzyzając się w ciastko z nadzieją, i głośno cmokając z zadowoleniem.

Giuseppe poszedł za jego przykładem, nie zwracając uwagi na Rosettę, która – chcąc go zniechęcić – skarciła go uderzeniem po dłoniach. On wzruszył tylko ramionami.

– Mama leży w łóżku – odpowiedziałam, nie odrywając wzroku od sceny rozgrywającej się pomiędzy moją siostrą i bratem. – Nie czuje się dobrze, ma migrenę.

– Zmęczyła się czymś dziś rano? – wymamrotał tata niewyraźnie, przeżuując zeppole.

– To przez kumę Nanninę – wyjaśniła pospiesznie Rosetta, jakby wypełniając swój obowiązek. – Jej wnuczek cierpiał na bóle brzucha. Dzięki mamie minęły – dodała.

Tata zamruczał coś pod nosem. Nie podobało mu się, że Margiala znowu praktykowała te swoje „sztuczki”.

– Wyczerpują jej energię – warknął, mlaskając jednocześnie. – Gdyby tylko jej za to płacili – fuknął i rzucił się na kolejne, gorące jeszcze zeppole.

Sztuczki, o których mówił ojciec, były bardzo różne – od leczenia poczwąszy, na wróżeniu z fusów skończywszy. Czasami przerażony zastanawiał się, która z jego córek odziedziczyła po matce ten straszny spadek. Uważał bowiem ową umiejętność za przynoszącą pecha i nie odnajdywał w talentach Margiali żadnej pozytywnej strony. „Po co komu odczytywanie przyszłości z fusów po kawie, odczynianie uroków i odgadywanie płci dzieci w łonie matki” – zastanawiał się, mówiąc sam do siebie.

Byłam przekonana, że wolałby mieć zwykłą, uległą żonę, z fartuszkami przewiązanymi w talii. Ale Margiala była zupełnie inna, twarda jak pestka owocu.

– Pójdę zobaczyć, jak się czuje – oznajmił ojciec, wycierając krem z ust mankietem koszuli.

Rosetta spojrzała na niego poirytowana. Wiedziała, że mama nie znosiła, gdy przychodził brudny do sypialni, ale nie śmiała zwrócić mu uwagi.

Tymczasem Giuseppe rozsiadł się na wiklinowym krześle w ogrodzie i podziwiał piękny oleander. Posadził go tu wiele lat temu nasz ojciec i drzewko to było przedmiotem jego dumy. Wszystko wokół zostało idealnie uporządkowane. Rzędy bukszpanu rosły na przemian z ligustrem, odgradzając ozdobną część ogrodu, a niedaleko rozciągały się także rabatki z majerankiem, rozmarynem i szalwią. W drugiej, mniejszej części ogrodu, przeznaczonej na warzywa, stały pośrodku dwa sękaty drzewka cytrynowe i wielki, stary figowiec.

W sezonie wspinałam się na samą górę drzewa figowego, aby zebrać największe i najbardziej dojrzałe owoce rosnące na najwyższych gałęziach. Gdy je odrywałam, z owoców wypływało białe mleczko. Po chwili ręce zaczynały piec i stawały się czerwone, może właśnie przez tę mleczną ciecz, która podrażniała skórę, ale przyjemność, jaką czerpałam, gdy smakowałam ich słodki miąższ, z pewnością warta była ryzyka.

Giuseppe ścisnął w dłoni ciastko z migdałowo-cytrynowym nadzieniem. Widać było, że mu smakuje, bo mlaskał z zachwytem przy każdym kęsie. Rosetta patrzyła na niego z zadowoloną miną, ponieważ jej zdaniem to ona stworzyła te smaczne słodkości. Zerknęłam na nią z ukosa. Czułam, że między tym dwojgiem panuje skrywana wrogość. Moja starsza siostra zapewne dostrzegła w nim jakiś rodzaj zagrożenia dla swej pozycji.

Inaczej było z Cornelią, ale to dlatego, że nie była ona w stanie niczym zaszkodzić Rosettie.

Zresztą wszyscy postrzegaliśmy ją jako dobrą duszyczkę. Była nieskazitelna, zupełnie niezdolna do złych myśli. Tak, Cornelia z pewnością nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Rosetty.

Zupełnie inaczej było ze mną. Wystarczyło spojrzeć na moją oliwkową cerę, wiecznie potargane, kręcone włosy i oczy czarne jak smoła, znamionujące brak pokory. Nie trzeba było wiele, by się domyślić, że za kilka lat to ja zajmę miejsce Margiali.

Czasem, kiedy Rosetta była na mnie zła, bo akurat zrobiłam coś, co ją poirytowało, nazywała mnie wilczycą. Twierdziła, że pewnego dnia, kiedy nie będę w stanie już pohamowywać swojej złości, zapewne podrapię ją jak dzika bestia.

– Jesteś niebezpieczna. Jesteś wilczycą, groźną wilczycą – dodawała złośliwie, obracając się na pięcie.

Wymieniałyśmy się wówczas złowrogimi spojrzeniami, aż dreszcz przebiegał mi po całym ciele. Czasem miałam wrażenie, że porażał mnie prąd. Zazwyczaj jednak wzruszałam obojętnie ramionami i zostawiałam ją przed drzwiami prowadzącymi do kuchni. Rosetta stała w rozkroku z założonymi rękami, a tupiąc prawą nogą, dawała upust swojemu oburzeniu. Obserwowałam ją, patrząc na nią drwiąco.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia? – pytała zaczepnie, wzięwszy się pod boki.

Odpowiadałam jej, strzelając językiem o zęby. Był to wyraz buntu – gest, który przejęłam od brata, mający wyrażać moją nieczułość.

Udałam się na podwórko, na które wychodziły okna sypialni rodziców. Zniszczonymi czubkami butów kopałam od czasu do czasu jakiś kamyk. Niekiedy odwracałam się, aby spojrzeć na brata, który przyglądał mi się z kpiącym uśmiechem.

Podwórko, bielone wapnem, miało kształt kwadratu o boku długości około ośmiu metrów. Stały tu oparte o ścianę butelki na olej i kilka beczek, do których ojciec wlewał świeże wino. Natomiast po przeciwnej stronie znajdowały się kadzie dębowe, które służyły mamie do prania rzeczy, takich jak pościel, prześcieradła i koce, co robiliśmy nie częściej niż trzy razy w roku. To było jedno z moich ulubionych domowych zajęć. Oczywiście nie dlatego, że była to uciążliwa praca, bo należało starannie wyzymać pościel, aby usunąć z niej brud i sprawić, że będzie znowu czysta, ale dlatego, że na sam koniec, jeśli pogoda dopisywała, na chętnych czekała niespodzianka. Gdy skończyliśmy pracować, te ogromne kadzie stawały się dla nas naczyniami do kąpieli.

Pluskałyśmy się w nich jak węgorze w rzece, a proszek przylepiał się do naszej skóry, nadając jej śliskość. Jednocześnie wysuszał ją i pozostawiał zupełnie czystą. Czułam się, jakbym traciła zniszczony naskórek i odradzała się na nowo, jakbym przechodziła wyzwalającą metamorfozę.

Wzdłuż ściany, obok drzwi do głównej sypialni, znajdował się nieduży ganek, wokół którego pięły się pędy winogron, których owoce niedługo miały zawędrować na nasz stół. Pamiętam, że kiedy byłam mała, zachwycały mnie te zielonkawe jagody zawieszane w powietrzu, które – ze względu na ich wydłużony kształt – przypominały mi małe wymiona krów. Mogłam tak stać nawet pół godziny, zadzierając głowę do góry i podziwiając ten spektakl kształtów i kolorów, każdą gałązkę nadającą roślinie doskonałą formę niczym dziesiątki powyginanych ludzkich rąk. Ta piękna winorośl rosła dziko i swoją doskonałością przywodziła na myśl hart ducha Margiali, dzikiej i nieokiełznanej.

Zbliżyłam się do okna sypialni mamy. Okiennice były lekko otwarte, a wewnątrz migotało jakieś światełko, zapewne świecy, którą zapaliła.

Pokusa, by zajrzeć do środka, była bardzo silna. Chciałam zobaczyć rodziców w chwili intymności, przestudiować ich spojrzenia, dostrzec przeblysłak człowieczeństwa w całej tej oziębłości. Byłam już w wieku, w którym pojawiają się myśli o płci przeciwnej. Myśli powstałe w głębi

własnego umysłu, bez żadnego odniesienia do rzeczywistości. Były to refleksje, które oczywiście dotyczyły tylko świata dorosłych, na szczęście nie odnosiły się do rówieśników, którzy w moich oczach wciąż pozostawali zwykłymi towarzyszami zabaw.

Odwróciłam się ostrożnie, aby upewnić się, że żadne z rodzeństwa nie przyłapie mnie na podglądaniu. Podwórko było puste. Wyciągnęłam szyję i zbliżyłam nos do jednej z okiennic, rozchyliłam ją powoli kciukiem i wstrzymałam oddech, wiedząc, że zamierzam zrobić coś zakazanego. Łamanie zasad smakowało mi jednak nad wyraz dobrze.

Postać ojca majaczyła w ciemności przed dużym łóżkiem i usłyszałam ciche, ale nieprzerwane szepty. Nie można było rozróżnić poszczególnych słów, lecz domyśliłam się, że prowadzą jakąś ożywioną rozmowę.

Mama zdejmowała ubranie. Monotonia odcieni szarości i czerni, jaka ją spowijała, sprawiła, że przypominała wielkiego nietoperza. Zawsze się zastanawiałam, czy wciąż jeszcze oplakuje śmierć swojego ojca, czy próbuje po prostu ukryć przed wszystkimi swoje piękno. Miała na sobie cienką, lnianą koszulkę. Jedno z ramiączek lekko się zsunęło. Sprawnym ruchem rozpuściła włosy, które wylały się ze spięcia, pokrywając jej plecy jedwabistym blaskiem sięgającym pośladków. Wiedziała, że to, co robię, zasługuje na nagane. Nigdy nie pozwoliłaby mi ujrzeć ją tak bezbronną i delikatną. Margiala nie zgadzała się, aby córki patrzyły na nią w ten sposób. Zachowywała się, jakby za wszelką cenę chciała ukryć swoją prawdziwą, subtelną naturę przed całym światem, nie tylko przed nami.

Kiedy tylko uwolniła włosy z koka, ojciec podał jej szklanekę wody, którą wcześniej postawiłam na szafce. Wypiła wszystko jednym haustem.

Czułam przyspieszone bicie mojego serca i głośnie bębnienie w uszach, ale nie ruszyłam się z miejsca, spodziewałam się bowiem, że najważniejsze dopiero nadejdzie. Wtedy ojciec pochylił się w stronę mamy. Popatrzyli sobie przez chwilę w oczy i tata pocałował ją w czoło. Potem udał się do drzwi, by po chwili wyjść z pokoju.

Ogarnęło mnie uczucie niedosytu. Zmarszczyłam czoło i pozostałam bez ruchu, wpatrując się w Margialę. Tymczasem ona jęknęła kilka razy, skopała cienką narzutę, którą przed chwilą się okryła, i zaniepokojona, jakby coś przeczuwając, usiadła na łóżku.

Uklękałam, wstrzymując oddech, przerażona myślą, że ktoś mógłby mnie zobaczyć. Trwałam tak, nie wiem jak długo, zanim odeszłam, niczym robak, czołgając się po ziemi. Na czworakach dotarłam do amfor na olej i dopiero wtedy wstałam, strząsając kurz z ubrania i starając się odzyskać regularny oddech.

W tym momencie usłyszałam głos wołającej mnie Rosetty. Przełknęłam ślinę kilka razy i pobiegłam do kuchni, ze ściśniętym z emocji sercem, wyrzucając sobie, że jestem nikczemnym dzieckiem, które zasługuje na karę.

Kiedy wróciłam na ganek, Cornelia właśnie wyciągała wiadro ze studni. Tata lubił nam powtarzać, że mieliśmy ogromne szczęście, bo nie musieliśmy ustawiać się w długiej kolejce i przynosić wody z pompy. Mieliśmy studnię, w której zbierała się woda, co w tamtych czasach uważano za prawdziwy luksus. Trzeba było jednak gospodarować nią oszczędnie, gdyż – zwłaszcza w miesiącach letnich – woda była rzadkością i wówczas wycieczki po nią stawały się koniecznością również dla nas.

Zawsze zgłaszałam się na ochotnika, bo lubiłam wędrować przez ulice pełne ludzi i spotykać inne gospodynie, które tłoczyły się na skrzyżowaniu ulic z dzbanami w ręku.

Nie chodziło tylko o zwykłą konieczność, ale o te cenne chwile, podczas których czułam się częścią wspólnoty. To była również doskonała okazja, by podzielić się przeróżnymi plotkami albo wymienić jadowite uwagi na temat mężów i teściowych. Siedziałam, słuchając ich złośliwych konstatacji, przepelnionych bluźnierstwami, i zastanawiałam się, czy mama, gdy nadchodziła jej kolej, aby przynieść wodę, również pozwalała sobie na takie prostackie zachowanie.

Ulica Bonifaccia, która prowadziła do pompy, była długą, wąską uliczką. Kończyła się na leżącym odłogiem, pożółkłym od słońca polu. Tuż obok pagórkowatych, opuszczonych terenów rozpościerał się mały plac z pompą z brązu na środku.

Stały tu rzędy niskich, bielonych wapnem chat, które w większości miały piwnice służące do przechowywania żywności lub jako chłodnie podczas słonecznych, letnich miesięcy. Dość dobrze znałam okolicznych mieszkańców, byli to przeważnie staruszkowie.

Najbardziej frapowała mnie szalona Paolina – przedziwna staruszka o posiwiałych przedwcześnie włosach. Straciła wszystkie zęby, gdy miała ledwie czterdzieści lat, w efekcie jej żuchwa uległa zdeformowaniu. Dziwny był także sposób, w jaki mówiła. Paolina sepleniała, a wypowiedane przez nią słowa brzmiały zupełnie niezrozumiale. Mówiąc, przesuwiała językiem po nagich, gładkich dziąsłach, co z pewnością nie wyglądało ładnie.

Mieszkała w rozpadającej się chacie, stanowiącej obiekt pożądania jej dwóch wnuków, którzy od lat czekali, aż jakaś dusza z czyścica zstąpi na ziemię i zabierze starą wariatkę. Paolina żyła w niezmiennym szaleństwie, wbrew chorobom, niepogodzie i nędzy. Stare kumy powtarzały, że podobno przestała jeść, a jej dusza została sprzedana diabłu i dlatego stała się nieśmiertelna. Niektórzy kpili z niej i obrzucali ją zgniłymi warzywami, a często nawet kamieniami. Paolina mogła godzinami krążyć po okolicy z liśćmi sałaty w siwych, rozczochranych kosmykach, nim podszedł do niej jakiś poczciwiec i wyjął je z jej włosów.

Kiedyś Margiala zdradziła, że Paolina ma matkę, która jeszcze żyje, choć w ogóle nie wychodzi z domu, obawiając się widoku słońca. Rzeczywiście, od czasu do czasu można było dostrzec w jednym z kuchennych okien jej niewyraźną sylwetkę, przechodzącą powoli do innego pomieszczenia, a następnie znikającą w ciemności.

Odczuwałam wielki strach przed szaloną Paoliną i jej matką. Zawsze dobrze się rozglądałam, gdy przechodziłam przed jej domem. Na wszelki wypadek trzymałam się drugiej strony drogi, aby nie napotkać jej wiedźmowego spojrzenia.

Kiedy tylko ciepłe promienie słońca nadchodzącej wiosny zaczęły ogrzewać powietrze, ci, którzy dożyli już sędziwego wieku i nie trudzili się ciężką pracą, spędzali całutki dzień przed drzwiami domu, siedząc na krześle z wikliny, popijając chłodną lemoniadę lub skubiąc migdały i łubin.

Ulica prowadząca do pompy była niczym wybieg, po którym defilowali wszyscy mieszkańcy. Wyciągano wówczas na wierzch wszelkie troski i tajemnice, witano i zdobywano nowych znajomych.

Mieszkał tam również stary Drzazga, który puszczał bąki, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy jeden po drugim przechodzili przed drzwiami jego domu.

Drzazga był kiedyś mechanikiem, ale zapalenie stawów uniemożliwiło mu majsterkowanie, musiał zrezygnować z dobrego fachu. Odtąd spędzał większość czasu, obserwując ludzi, grając w strzałki z żoną i zabawiając dzieci swoimi eksplodującymi bąkami. Kiedy miał to uczynić, podnosił się z krzesła, jakby przygotowywał się do wystrzału. Za każdym razem, gdy wypuszczał głośno wiatry, jego żona przesywała go pełnym dezaprobaty wzrokiem i karcąco uderzała miotłą z sorgo, ale on tylko wybuchał serdecznym śmiechem, ciesząc się, że ją rozzłościł.

– Uważaj, nie rozlej wody – powiedziała mama do Cornelii, gdy tylko wróciła z sypialni.

Widać było, że nie odzyskała jeszcze sił. Jej twarz nadal pokrywała bladość, która uwidoczniła przeplatające się niebieskawe żyłki, pulsujące, jakby miały zaraz pęknąć.

Cornelia ostrożnie umieściła wiadro na ceglach, a następnie zasunęła drewnianą pokrywę.

– Musimy dorobić kłódkę – powiedziała zaniepokojona Margiala, odwracając się do taty – bo mały mógłby wpaść do studzienki.

– Mały? – odpowiedział zdziwiony, zajadając się kolejnym ciastkiem.

Spojrzała na niego krzywo, ciskając błyskawice z oczu, ponieważ ośmielił się podać w wątpliwość jedną z tych kwestii, w których czuła się prawdziwą ekspertką. Nigdy jeszcze nie pomyliła się w swych przepowiedniach. Ilekroć kobiety pytały ją o płeć swego nienarodzonego jeszcze dziecka, tylekroć dobrze przepowiadała. Wystarczyło, że popatrzyła na kształt lub kolor brzucha ciężarnej i już wszystko wiedziała.

Tata nic nie odrzekł. Ograniczył się do mlaskania z zachwytu nad ciastkiem. Potem otarł usta rękawem koszuli, a mama spojrzała na niego z obrzydzeniem. Nie znosiła, kiedy zachowywał się jak prostak.

– Jutro oprócz tabliczki chcę powiesić też to... – zaczął na nowo, jakby całkowicie zapominając o sprawie płci potomka i ukazując swą uśmiechniętą, nieco zaczerwienioną twarz, niczym Eol, który miał właśnie dmuchnąć wiatrem.

Na tabliczce tata wrył dwie daty – rok 1918, w którym rozpoczął budowę naszego domu, i rok 1938, w którym go ukończył. A obok niej zamierzał powiesić wizerunek z terakoty przedstawiający rumianą twarz jakiegoś bliżej nieokreślonego boga.

– Kto to jest? Anioł? – spytała zaciekawiona Cornelia. Tata wzruszył ramionami, nie obchodziło go, kto to był. Chciał ten wizerunek mieć, i tyle.

– Zobaczyłem go, kiedy byłem w Cerignoli, aby zabrać waszą matkę. Zdobitł wejście jednej z najpiękniejszych rezydencji w mieście. Powiedziałem sobie wtedy: „Na Boga, muszę go mieć w swoim domu”. Teraz nadeszła pora realizacji tego marzenia.

Słyszając to, Margiala ostentacyjnie wzniosła oczy ku niebu. Uważała, że czasami jej mąż zachowywał się jak uparte dziecko. Potem rozłożyła ramiona i zrezygnowana machnęła ręką. Wiedziała, że nie było sposobu, aby zmienić zdanie.

– Od razu widać, że jesteś synem rolnika – powiedziała, prychając złośliwie.

– I jestem z tego dumny – uciął tata i podniósł się gwałtownie z fotela, jakby nagle przypomniał sobie, że ma coś pilnego do zrobienia.

Taki właśnie był mój tata. Można by powiedzieć, że specjalizował się w udzielaniu wymijających

odpowiedzi. Pojawiał się i znikał, kiedy uznał, że tak będzie wygodniej. A jednak jego obecność była dla mnie zawsze czymś niezmiennym, pewnym. Wiedziałam, że jest, i to dawało mi poczucie bezpieczeństwa.

– Biegiem do kuchni, jest dużo do zrobienia na jutro – ponagliła Margiala.

Pierwsza ruszyła Rosetta, za nią Cornelia, a potem ja. Nim zniknęłam w ciemnej kuchni, jeszcze raz rzuciłam okiem na mojego brata nadal wygrzewającego się w słońcu w pobliżu wielkiego oleandra. Poczulałam jednocześnie ukłucie zazdrości i nienawiści, po czym wróciłam do swoich obowiązków.

CZĘŚĆ III
PRZYJĘCIE

Zarówno Rosetta, Cornelia, jak i ja chętnie słuchałyśmy kulinarnych tajemnic mamy. Zdawałyśmy sobie sprawę, że jest to wiedza, której – nawet gdybyśmy umiały czytać najpiękniej na świecie – nie znajdziemy w żadnej z książek. Toteż z nabożną czcią chłonełyśmy każde jej słowo.

Margiala opowiadała nam, że gdy Arabowie zajęli ziemie Apulii, jej prababki, babki i praciotki musiały nauczyć się gotować dla tych ciemnowłosych mężczyzn, którzy bardzo łatwo dobywali miecza. To właśnie wtedy poznały tajemną wiedzę dotyczącą stosowania ziół i przypraw, dzięki którym jedzenie stawało się smaczniejsze i nabywało różnych właściwości.

Okazało się jednak, że kobiety nie zawsze wykorzystywały sztukę kulinarną w słusznym celu. Mama często wspominała jedną ze swoich praciotek, której specjalnością były miłosne eliksiry. Ciotka ta nierzadko posuwała się za daleko – uwielbiała na przykład rzucać czar na pięknych chłopców, którzy mieli się wkrótce ożenić. Czary sprawiały, że przestawali oni kochać swoje narzeczone i wpadali w szpony zgorzkniałych starych panien lub kobiet lekkich obyczajów. Te historie wydawały się nam niezwykle fascynujące i próbowałyśmy ciągnąć mamę za język, by zdradziła nam coś więcej, ona jednak twierdziła, że nigdy nie chciała poznać tajników tej wiedzy. „Nie lubię oszukiwać ludzi” – odpowiadała krótko na nasze prośby. I rzeczywiście, korzystała z czarnej magii tylko do odczyniania uroków rzuconych na jakichś biedaków oraz do leczenia chorych.

Pamiętam, że pewnego razu – miałam chyba siedem lat – przysła do nas kobieta, którą ojciec, rzuciwszy na nią okiem, natychmiast nazwał cudzoziemką. Uderzyły mnie zwłaszcza jej wystające kości policzkowe i intensywnie czarne włosy, które nosiła rozpuszczone jak kobiety ze zbójceckich band, o których niegdyś opowiadał mi tata. Były to dzikuski, które potrafiły korzystać z broni i walczyły u boku swoich mężczyzn, zabijały konie, a czasami nawet ludzi. Kiedy tata opowiadał te historie, słuchałam go z zapartym tchem, z szeroko otwartymi oczami, nie do końca jednak przekonana, czy aby nie zmyśla.

Tata był świetnym gawędziarzem. Swoją umiejętnością opowiadania oczarował wiele osób. Być może gdyby posiadał odpowiednie wykształcenie, mógłby zostać pisarzem. A tak był tylko ubogim rolnikiem. Często mawiał, że żałuje, iż nie mógł studiować, i dlatego ganił Giuseppe za brak chęci do nauki. Mój brat nie wykazywał żadnego zainteresowania edukacją. Natomiast my, kobiety, w ogóle nie miałyśmy takiej możliwości.

– Phi... Książki – śmiała się lekceważąco Margiala. – Nakładą ci tylko do głowy mnóstwa bzdur. Spójrzcie na mnie. Nie umiem czytać i pisać, a wszyscy mnie szanują.

W ten oto sposób uciniała wszelkie dyskusje na temat naszej edukacji. Spośród nas trzech to przede wszystkim moja siostra Cornelia marzyła o uzyskaniu wykształcenia, nic jednak nie wskazywało na to, by jej marzenie miało się spełnić.

Jeżeli chodziło o mnie, już jako dziecko byłam przekonana, że życie nauczy mnie więcej niż jakiegokolwiek teorie spisane w podręcznikach, ale wiązało się to z moją naturą chłopczycy. Faktem jest natomiast, że była to jedna z niewielu spraw, w których zgadzałam się z moją matką.

Margiala zawsze powtarzała, że byłam buntowniczką i że tę cechę mojego charakteru dało się od razu dostrzec. Wystarczyło spojrzeć, twierdziła, w moje czarne, niepokorne oczy i wszystko stawało się jasne. A skoro mówiła to mama, nie miałam powodu, by nie wierzyć jej słowom. Czasem

oczywiście próbowałam się buntować przeciwko własnej naturze, jednak wszelkie moje starania, walka z własnym przeznaczeniem, prowadziły do tego, że tylko utwierdzałam się w przekonaniu, iż Margiala zawsze ma rację.

Wracając jednak do mojej opowieści... Tym razem ta dziwna kobieta o czarnych jak smoła włosach i bursztynowej skórze podarowała mamie woreczek brzęczących monet. Przyszła z dziewczyną, która nie mogła mieć więcej niż piętnaście lat. Przypuszczałam, że była jej córką, bo podobieństwo między nimi było uderzające. Zdziwiły mnie jej smukłe nogi i wydłużony, nieco ukośny, kształt oczu. Uważałam, że była niezwykle, nieprzeciętnie ładna. Podobała mi się zwłaszcza jej niespotykana uroda, która stała się w moich oczach egzemplifikacją piękna i delikatności.

Kobieta i Margiala przez chwilę rozmawiały o czymś na podwórku. Potem obie cudzoziemki usiadły przy wejściu, obok kredensu. Obserwowałyśmy je z Cornelią ukradkiem, nieco przerażone tak niecodziennymi odwiedzinami. Zapewne był to zwykły strach przed nieznanymi. Nam jednak wydawało się wtedy, że kobieta i jej córka są niczym podziemne stworzenia, które – jak mawiała Margiala – od czasu do czasu postanawiały wybrać się na spacer pośród nas, śmiertelników, przybierając człowieczy wygląd. A ponieważ cudzoziemka, jak nam się wydawało, nie miała w sobie nic ludzkiego, spodziewałyśmy się niemal wszystkiego.

Dawno temu kuma Antonietta powiedziała mi, że czarownice mogły przyjmować postać cudacznych ptaków o ostrych dziobach i wielkich skrzydłach, które unosiły się w powietrzu, aby obserwować świat. Kazała mi przysiąc, że nigdy nie powiem tego mamie. „Mają paskudne usposobienie” – wysyczała przez zaciśnięte zęby, żeby mnie przestrzec.

Sekret wyjawiony przez starą kumoszkę sprawiał, że w moich oczach Margiala stawała się jeszcze bardziej przerażająca i onieśmielająca. Przynależała mi, że nigdy z nikim nie podzielę się tą wiedzą, nawet z moimi siostrami. Zresztą Cornelia, obdarzona niezwykle wrażliwością, na pewno wystraszyłaby się na śmierć, gdybym ujawniła jej coś takiego.

Tak więc czuwałyśmy teraz razem z Cornelią ukryte za kredensem. Od czasu do czasu wymieniałyśmy nieśmiało spojrzenia, gdy wydawało nam się, że wyczuwałyśmy jakiś niepokój, lub gdy umysły podsuwały nam myśl, że owa metamorfoza miała się właśnie rozpocząć.

Tymczasem studiowałyśmy ręce dziewczyny. Jej palce poruszały się w dziwny sposób, jakby dotyk sprawiał jej ból, jakby musiała wyleczyć się z uciążliwego świądu. Jej matka natomiast trzymała ręce w bezruchu, wzdłuż ud i wyglądała niczym figura z wosku.

Potem pojawiła się Margiala, niosąc miskę wypełnioną parującą wodą, liście laurowe, rozmaryn i kilka papryczek chilli, które rosły w naszym ogrodzie. Przyniosła również różaniec. Ledwo mogłam przełknąć ślinę przerażona toczącą się przed naszymi oczami sceną. W tamtej chwili wydawało nam się, że Margiala była jakąś świętą.

Mama wprowadziła kobietę i jej córkę do sypialni. Zapaliła cztery świece po obu stronach dużego łóżka, które stało pośrodku pokoju. Potem skierowała się, wykonując jednocześnie powolne i dokładne ruchy, do drzwi, które z impetem otworzyła na oścież, bacząc, aby w żadnym wypadku nie przekroczyć progu.

Margiala nie musiała nic mówić. Jej oczy stawały się lodowato zimne i ponure, wprawiały w przerażenie. Nikt z nas nie ośmieliłby się zakwestionować jej poczynań. Kilka razy myślałam o tym, by podejrzeć ją przez dziurkę od klucza, ale powstrzymywał mnie strach. Bałam się, że mogłaby poczuć na sobie mój ciekawski wzrok. Cornelia, choć starsza ode mnie o rok, z pewnością nigdy by tego nie uczyniła. Należała do tych osób, które nigdy nie łamią zasad. Pomijając fakt, że i tak powstrzymałby ją lęk.

Jakiś czas później dowiedziałam się, że ta szczególna czynność, którą tego dnia odprawiła

Margiala, służyła odczynieniu uroku, podstępnego przekleństwa rzuconego na tę biedną dziewczynę o oczach w kształcie migdałów i cerze w kolorze bursztynu. Zastanawiałam się, jak można było skrzywdzić z takim okrucieństwem tak piękne stworzenie.

Resztę dnia spędziłyśmy w wielkiej kuchni zaabsorbowane złorzeczeniem na wielki upał. Ja i Cornelia bawiłyśmy się przy prostokątnym stole umieszczonym tuż przy wejściu do pokoju. Po przeciwległej stronie znajdowało się duże palenisko. Przy szerniałych już ścianach umieszczono ogromny stół, na którym Margiala przygotowała swoje tajemne mikstury. Na ścianie wisiały miedziane i gliniane garnki, chochle, drewniane łyżki, przyprawy przewiązane satynową wstążką, główki czosnku, gałązki winogron pomidorków, w połączeniu z wizerunkami świętych i Matki Boskiej, którzy czuwali nad każdym z tych artefaktów. Orzeźwiające powietrze wpadało do pomieszczenia tylko przez małe okno na zachodniej ścianie. Mama otwierała je rzadko, w obawie, że myszy mogłyby zaatakować jej królestwo.

Około trzeciej po południu wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza. Ojciec i Giuseppe drzemali pod drzewem figowym, obaj z wykałaczkami w ustach. Miałam nadzieję, że ów zaostrzony patyczek wpadnie prosto do gardła mojego brata. Nie sądzę, żebym tak naprawdę chciała, by stało mu się coś złego. Kryła się za tym raczej moja antypatia, wynikająca z zazdrości odczuwanej wobec całej płci męskiej. A ponieważ nie mogłam wylać swojego gniewu na ojca, koncentrowałam się na bracie. Giuseppe został więc kozłem ofiarnym mojej natury.

Zatrzymałam się i zaczęłam wdychać ciężkie i wilgotne letnie powietrze, gdy w oddali przemknęły mi naprężone wibryssy i białe futerko Tomassa, który zniknął gdzieś po śmierci Pietra. Podążyłam w jego stronę i zobaczyłam, że zdążył mu urosnąć duży brzuszek. Kot zbliżył się do mnie, pomiaukując i ocierając się o moje ubranie, czekając zapewne na pieszczotę. Wtedy zrozumiałam, że nie obwinia mnie z powodu śmierci naszego przyjaciela. Zdałam sobie sprawę, że kot, któremu wraz z Pietrem nadaliśmy imię Tomasso, tak naprawdę był kotką. Pogłaskałam ją ze łzami w oczach, żalując, że w moim przypadku taka transformacja nie była możliwa.

Nazajutrz obudziłam się już o świcie. To miała być wspaniała uroczystość, nasze święto. Widok Tomassa – a może powinnam powiedzieć Tomassy – przywiódł mi na myśl Pietra i obudził we mnie wielkie pragnienie, by pójść i zobaczyć morze, by powrócić do momentu, kiedy po raz pierwszy, nieoczekiwanie, zetknęłam się ze straszną śmiercią. Irytujące uczucie niepewności, które mnie wypełniło, było dokuczliwą i podstępłą myślą – ani na chwilę nie chciało mnie opuścić i powracało w najczarniejszych momentach.

Wymknęłam się z pokoju boso, aby Rosetta nie spostrzegła mojej ucieczki. Zamierzałam pójść na skróty, przez wąwóz i dotrzeć do skał. Chciałam zostać tam przez chwilę, a potem wrócić do domu i rzucić się w wir przygotowań.

Poszłam na podwórko, aby rozkoszować się rześkim, porannym powietrzem. Zanurzyłam stopy w miękkim piasku i dotarłam do oleandra. O tej godzinie panował tu zupełny spokój. Niebo było blade, nieco zielonkawe, z kilkoma postrzępionymi, bielusieńkimi chmurkami, które sunęły po nim nisko niczym kłaczki waty. Wciąż było czuć wilgotny i słodkawy zapach nocy.

– Nie możesz spać? – głos mamy zbił mnie z tropu, sprawiając, że poczułam się jak mysz w pułapce, winna grzechu, którego nie popełniłam.

Odwróciłam się, wstrzymując oddech.

– Co się stało, zobaczyłaś ducha?

Potrząsnęłam mocno głową, by zaprzeczyć, ale moja ekspresja nie była chyba zbyt przekonująca. Margiala upuściła drewniaki na bruk i dołączyła do mnie.

– Prawda, że o tak wczesnej porze wszystko jest piękniejsze? Żadnych denerwujących hałasów, żadnych myśli. Słodkie odrętwienie zmysłów. – Wydawało mi się, że gdy to mówiła, jej rysy złagodniały, jakby skąpane w ciężkim powietrzu budzącego się dnia.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że jeszcze nie uczesała włosów, tak jak zwykle w kok, i że opadały one miętko, wijąc się na półnagich ramionach.

„Boże, jaka ona jest piękna!” – pomyślałam, oczarowana widokiem jej doskonałości. W obecności mamy czułam się mała i nic nieznacząca. Jak ropucha o oliwkowej skórze i chrapliwym głosie. Niestety, nie byłam do niej podobna i ta świadomość doprowadzała mnie do szału. Nie odziedziczyłam ani jej owalnej twarzy, ani delikatnych rysów, ani kryształowej skóry. „Pulchna” i „niezdarna” to przymiotniki, którymi zazwyczaj się opisywałam.

Odzyskałam miarowy oddech dopiero po chwili. Zapomniałam, że ostatnio z mamy zrobił się ranny ptaszek. Wszystko przez ten wielki brzuch i fatalny humor spowodowany zmęczeniem.

– Tak, jest pięknie – odezwałam się, próbując ukryć niepokój. – Widziałam dzisiaj Tommasa. Odkryłam, że to kotka. Spodziewa się małych.

– Pewnie, że to kotka – odpowiedziała Margiala, jakby to była oczywista oczywistość. – Dopiero teraz to zauważyłaś?

Uśmiechnęła się lekko kącikami ust i zaczęła gładzić liście oleandra.

– Wkrótce pięknie zakwitnie na różowo – kontynuowała z roztargnieniem. Wydawało się, że chmury chaotycznych myśli kłębiły się w jej głowie.

– Dlaczego nadal wołasz na nią Tomasso? To męskie imię.

Odwróciła się w moją stronę. Widziałam czułość w jej spojrzeniu, które wydało mi się niemal słodkie. Jasne oczy mamy migotały niczym świetliki unoszące się latem nad wodą. Małe punkciki

światła w czarnej smole.

– Bo taka jest jej prawdziwa natura. To zwierzę, które za bardzo kocha wolność, by mogło znieść kobiece imię – wyjaśniła.

Spodobała mi się myśl, że słowa te mogły odnosić się również do mnie, a nie tylko do naszego kota.

Margiala podeszła do mnie tak blisko, że czułam lawendowy zapach na jej skórze.

Przez moment myślałam, że może mnie dotknie, pogłuszcze. Zamknęłam oczy i delektowałam się tą chwilą, zapominając o sprzeczkach, wątpliwościach, urazach. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby jej spracowane dłonie pogładziły moją dziecięcą skórę, gdyby powiedziała, że mnie kocha, na swój sposób, wyjątkowo, tak jak kochała tylko Margiala.

Otworzyłam oczy i natychmiast zamknęłam je ponownie, jakby przygotowując się do tego lekkiego dotyku. A przecież również ja mogłam to zrobić: pobiec do niej i wtulić się w jej ramiona, jak przystało na matkę i córkę, nie wyjaśniając przyczyny tej pieczyoty. Prosta wymiana gestów, czysta i taka... normalna. Myślę jednak, że nawet gdybym to zrobiła, Margiala nie wiedziałaby, jak przyjąć taki gest, nie wiedziałaby, jak się zachować. Być może odczułaby coś w rodzaju zażenowania, a może zawstydzenia. Może zlekceważyłaby mnie, udając, że nic się nie stało.

Kiedy po chwili otworzyłam oczy, mama szła już bosą w stronę żywopłotu z aromatycznych roślin. Była pochłonięta wachaniem mięty i rozmarynu.

– Pomaga mi to na mdłości – powiedziała, trzymając przy nosie miętę.

Spojrzałam na nią z żalem, kosztowałam bowiem gorzkiego smaku tęsknoty. Ale nie powiedziałam nic. Nigdy nie odważyłam się zapytać Margialę o jej prawdziwe uczucia. O to, dlaczego jest dla nas taka oschła, tak obojętna i zimna.

Zrobiłam kilka kroków w jej stronę, pochylłam się i zaczęłam wdychać zapach rozmarynu. Wdychałam tak mocno, że poczułam pieczenie w gardle.

– Chodźmy, Diamante, dzisiaj jest wielki dzień.

Przyjęcie postanowiliśmy urządzić w ogrodzie. Przeplatane słomą krzesła ustawiliśmy w półkole tak, by wszyscy mogli się widzieć podczas rozmowy. Ojca pochłonęło konstruowanie kłódki do drewnianej pokrywy studzienki. Pokrywa ta miała zabezpieczać ujęcie wody przed dziećmi, które za bardzo zbliżyłyby się do niebezpieczeństwa.

Duży, czerniony stół, który zajmował najdłuższą ścianę kuchni, został przeniesiony i umieszczony w pobliżu ogrodu, abyśmy mogli ustawić na nim wszystkie przysmaki, które przygotowaliśmy na tę okazję.

Świętowaliśmy zakończenie prac w naszym domu i normalne było, że spodziewaliśmy się wielu osób, zwłaszcza sąsiadów, ale także tych, którzy w różny sposób korzystali z czarów Margiali.

O dziesiątej rano wszystko było gotowe: calzone z cebulą prezentowało się dumnie na pięknej tacy, wypolerowanej na ten dzień, wraz z suchymi pizzerkami, chlebem bez drożdży, pomidorami, salami i serem. Ojciec zajął się winem. Poszedł po nie, mamrocząc coś pod nosem, a potem wrócił z sześcioma butelkami primitivo. To jedno z tych win, które uderzają do głowy już po pierwszym łyku.

– Dzisiaj również ty napijesz się odrobinę – powiedział do mamy, która – odkąd odkryła, że w jej brzuchu rośnie dziecko – wyrzekła się wszystkiego, co mogłoby mu zaszkodzić. – Damy też wypić lyczek Diamante. Wydaje mi się, że to doskonała okazja, aby odstawić naszą małą od piersi.

Cmoknął językiem o zęby w szelmowski sposób i dał mi kuksańca.

Byłam niska, więc łokieć ojca uderzył mnie prosto w skroń. W każdym razie, zdaniem taty, tamtego dnia zasłużyłam na to, aby zostać potraktowana jak dorosła i, naturalnie, spodobało mi się to. Spojrzałam drwiąco na Rosettę i Cornelię, jakbym chciała powiedzieć, że od tej chwili także one mogą przestać uważać mnie za dziecko.

Margiala zarządziła, by słodkości przechowywać w lodówce aż do chwili ich podania na stół, w przeciwnym razie krem z tortelli świętego Józefa stopiłby się w słońcu. Było bardzo gorąco, jak na początek lata, a zazwyczaj to okres, który zapowiadał jeszcze większe, sierpniowe upały. Na chwilę lekki smutek spowił moją twarz, gdy patrzyłam na te wszystkie dary Boże wyłożone na stole. Żałowałam, że Pietra nie było z nami. Jego rodzice nie wybierali się na przyjęcie, ale moja mama – która znakomicie знаła sztukę dobrych manier – spakowała dla nich kosz z łakociami. Poproszono, abym to ja zaniósła im ten pakunek, lecz odmówiłam. Nie mogłam się uwolnić od poczucia winy z powodu tego, co stało się na plaży.

Matka tym razem nie nalegała i Giuseppe zaproponował, że to on dostarczy kosz, nie dlatego, że chciał mnie wyręczyć, ale dlatego, że odczuwał sympatię do starszej siostry Pietra, Anny, i miał nadzieję, że uda mu się ją zobaczyć.

Anna miała siedemnaście lat i dziwny kolor skóry, bo jej policzki były różowe, jakby stosowała drogie kosmetyki do upiększania cery. Tak naprawdę było to całkowicie naturalne piękno, któremu piegi, usiane po całej twarzy niczym gwiazdy na niebie, dodawały jeszcze większego uroku.

Dziewczyna nie podobała się Margiali, a to z powodu rudej czupryny – matka była przekonana, że czerwone włosy dziewczyny są oznaką jej niebezpiecznej natury. Kto jak kto, ale ona znała się na tym na pewno.

Dziadkowie przyjechali pierwsi. Babcia, ledwie pojawiła się w progu, natychmiast zaczęła węszyć

w poszukiwaniu rzeczy, które mogłyby nie przypaść jej do gustu. Dobrze o tym wiedząc, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby serwetki zostały rozłożone we właściwych miejscach, aby nie znalazła żadnego rozklekotanego krzesła, na którym mogłaby posadzić swój tłusty zadek, ani żadnej pestki w oliwkach. Takie odkrycie z pewnością sprawiłoby ją w ogromne zadowolenie. Miałaby bowiem oczywisty, jej zdaniem, powód, by ponarzekać na swoją synową.

Margiala puszczała owe pomstowania mimo uszu, patrząc na teściową z góry i dając jej do zrozumienia, że w pewnym sensie ta złośliwa drobiazgowość budziła w niej tylko współczucie.

Myślę, że obie czuły do siebie coś w rodzaju nienawiści. To w oczywisty sposób wpłynęło na moje postrzeganie tej kobiety. Nigdy nie myślałam o niej jak o osobie, która jest moją babcią, kimś, komu chętnie usiadłabym na kolanach i przytuliła się do ciepłych piersi.

Dla nas, dziewcząt, babcia była przede wszystkim wrogiem matki, a przecież żadna z nas nie odważyłaby się stanąć przeciwko Margiali. Co do taty, myślę, że uważał, iż ta silna niechęć między kobietami była naturalną kontynuacją toczącej się od wieków rywalizacji pomiędzy teściowymi i synowymi, która dawała początek najbardziej dziwnym opowieściom, legendom i przesądom.

Zazwyczaj patrzył na nie wyraźnie rozbawiony tym, że żona i matka toczą ze sobą tak zajadły bój na słowa. Innym razem tylko wzruszał ramionami, gdy jego matka raniła Margialę jadowitymi słowami niczym zatrutą strzałką. Patrzył na żonę i zrzucił z siebie całą odpowiedzialność.

Tym razem babcia zaczęła poddawać dokładnej analizie calzone z cebulą. Widać było, że usilnie szuka czegoś, co mogłaby wreszcie skrytykować. Nie było jej jednak dane wypowiedzieć się na temat nieudolności mamy, bo do domu przybyli kolejni goście, a przy nich babcia na szczęście powstrzymywała się od wszelkich uwag.

Byli to kuma Nenna i jej mąż, Nannina z córką i wnukiem, kum Salvatore z żoną i dwójką dzieci. W mgnieniu oka nasz ogród wypełnił się rozmowami dorosłych, a także śmiechem i piskiem dzieci, które biegały boso w poszukiwaniu Tomassa.

Dzieciom jak zwykle nie w głowie było jedzenie, ponieważ całą swą uwagę poświęcały wyścigom pomiędzy kwiatami w ogrodzie.

Tylko Rosetta siedziała wśród dorosłych. Spojrzałam na nią kątem oka – wydała mi się nieco sztywna, nadmiernie wyprostowana, jakby nie czuła się dobrze w tej roli, jej prawa ręka spoczywała na udzie.

Zastanawiałam się, czy pewnego dnia stanę się taka jak ona, czy przestanę być chłopczycą i zacznę się zachowywać niczym dystyngowana dama, spędzając czas w towarzystwie dorosłych. Myśli te trwały ledwie kilka sekund, potem ponownie zanurzyłam się w zgiełk głosów, które wydawały mi się wtedy tak cudowne.

Margiala stanęła w drzwiach kuchni. Wyglądała na zmęczoną. Usiadła w rozkroku, zapewne po to, by utrzymać ciężar brzucha. Przykładała do skroni i czoła haftowaną chusteczkę. Było oczywiste, że cierpi. Z jej ust nigdy jednak nie popłynęły słowa skargi. Duma nie pozwoliłaby jej narzekać.

Wkrótce pośród gości utworzyły się małe grupy. Kobiety zajęły się sobą, przekazując najświeższe plotki, z kolei mężczyźni co rusz wybuchali donośnym, nieco prostackim śmiechem, co chwilę podnosząc w górę kieliszki pełne wina.

Kiedy nadszedł czas na deser, dzieci natychmiast zaprzestały ganiań się po ogrodzie. Ubrudzone czarną ziemią ręce w ogóle nie przeszkadzały im w jedzeniu słodkości. Margiala rzuciła nam jednak karcące spojrzenie, nakazujące, abyśmy przynajmniej oplukały brudne palce w misce z czystą wodą. Jak zwykle posłusznie zrobiłyśmy to, czego od nas oczekiwała. Nie ośmieliłybyśmy się jej zignorować. Kiedy tylko nasze dłonie zmyły z siebie powierzchowny brud, natychmiast rzuciłyśmy się w stronę ciastek świętego Józefa.

Tymczasem tata zaczął wygrywać na harmonijce refren jakiejś piosenki, w rytm której wirowaliśmy wesoło, jednocześnie pochłaniając przysmaki składające się między innymi z kremu i cukru.

– Dalej, naprzód, piękne panie! Co powiecie na taniec? – spytał, oddalając na chwilę instrument od ust.

Goście byli już mocno czerwoni na twarzy i z trudem utrzymywali się na nogach, bo słodczy i wino wprowadziły ich w stan lekkiej euforii skutkującej brakiem równowagi. Giuseppe rozpoczął pierwszy taniec, wykonując przed Margialą pełen galanterii ukłon. Zgodziła się z uśmiechem, jednocześnie podtrzymując oburącz swój wielki brzuch.

Rosetta uśmiechnęła się, zakrywając usta ręką. Zastanawiało mnie, jak to robi, że nigdy nie pozwala sobie na niestosowne zachowanie.

Zaraz po Giuseppe i mamie także inne pary ruszyły rozprostować nogi w rytm radosnej melodii.

Znałam tę piosenkę. Opowiadała o marynarzu i pięknej dziewczynie porzuconej w jakimś porcie. To nie była piosenka dla dzieci, ale słyszałam ją już dziesiątki razy. Tata lubił podśpiewywać ją sobie przy pracy. Wytarłam usta rękawami bluzki, cóż, nie byłam prawdziwą damą, i zaczęłam śpiewać.

– Chodź, Cornelio, zaśpiewaj ze mną – poprosiłam, dając siostrze kuksańca, ale ona była zbyt nieśmiała. Nigdy nie odważyłaby się pochwalić swoim talentem, choć śpiewała pięknie niczym szczygiełek. Zaśpiewałam więc sama. Tata przez cały czas wybijał rytm stopą, inni biesiadnicy wirowali po podwórku, a ja pląsałam beztrąsko po ogrodzie z ostatnimi kawałkami ciastka w dłoni.

Rosetta kątem oka obserwowała syna kumy Nardino, przystojnego chłopaka w wieku dwudziestu lat, o zmierzwionych włosach i oliwkowej skórze. Zauważyłam, że jego wyraziste oczy miały intensywną barwę przypominającą zimowe morze. Z pewnością nie umknęło to również uwadze mojej siostry.

To były chwile czystej, niczym niezmaconej radości. Upał przestał mi dokuczać, nie kręciło mi się w głowie, pomimo że wypłam dwie kropelki wina. Zniknęło także moje poczucie winy i nawet ten dziwny smutek, który co jakiś czas mnie ogarniał. Śpiewałam i tańczyłam wokół oleandra, czując się naprawdę szczęśliwą.

I właśnie wtedy, gdy poczułam się tak dobrze, stało się coś, co zatrwożyło nasze serca i pochłonęło całą radość.

Tata przestał grać. Muzyka się skończyła. Goście zaczęli się gromadzić wokół taty, który najwyraźniej uznał, że to dobry moment na przemówienie.

– Nadszedł czas – zaczął uroczystym tonem i odchrząknął, co wskazywało na to, że był gotowy do rozpoczęcia swojej pompatycznej przemowy.

Niektórzy goście zaczęli stukać łyżeczką o szklanki, teraz już puste, a wszystkie dzieci zamilkły. Margiala zajęła miejsce w cantuccio, które wybrała na ten dzień, a Rosetta na chwilę przestała sprzątać ze stołu. Przystojny chłopiec nadal wodził za nią oczami.

– Spotykamy się tu dzisiaj, by uczcić zakończenie prac w moim domu – kontynuował ojciec. – Ale także z powodu zbliżających się narodzin mojego kolejnego dziecka. Jestem pewien, że będzie to dziewczynka. Chciałbym, aby nosiła imię Francesca. – Tu tata zerknął na mamę, szukając w jej spojrzeniu aprobaty. Margiala patrzyła na niego roześmianymi oczami, w sposób, który wydał mi się znajomy. Tym spojrzeniem obdarzała tylko nas, dzieci.

– Dwadzieścia lat temu położyłem kamień węgielny pod budowę tego domu. Ciężko pracowałem, znosiłem upały latem i mrozy zimą, ale... teraz – kontynuował coraz bardziej wzruszonym głosem – moje kłopoty się skończyły, bo nasz dom jest gotowy. Dziękuję, przyjaciele, za to, że jesteście teraz z nami.

Następnie podniósł szklankę, do której dolał sobie wina, i wzniósł toast.

Goście podchodzili do taty po kolei, by złożyć mu gratulacje. Teraz należało już tylko przybić marmurową tablicę do frontowej elewacji budynku, białej fasady z tarasem zwieńczonym blankami. Uważałam, że już teraz jego dzieło prezentowało się fantastycznie, ale nie było żadnego sposobu, by przekonać tatę – upartego syna rolnika – do zmiany zdania.

Nie przypominam sobie dokładnie tej chwili, może rozproszyły mnie krzyki, hałasy, dochodzące z ulicy, odgłosy nieznanomych przechodniów, którzy zatrzymywali się, aby zobaczyć, co się działo przed naszym domem, i wymieniali się uwagami. Może moją uwagę przykuły wołania innych dzieci, które w oddali dostrzegły Tomassa. Pamiętam tylko, że skupiłam się na łagodnym głosie taty, który wszedł na rusztowanie, by do nas przemówić. Kolejną rzeczą, którą sobie przypominam, jest moment, w którym tata przechyla się, chwieje i w końcu zupełnie traci równowagę. Widzę, jak wymachuje nogami i rękami w powietrzu, słyszę krzyk mamy: „Agostino!”. A potem, w ułamku sekundy, który mnie wydawał się trwać wiecznie, ciało taty spada na ostre szpikulce zielonkawego płotu, odgradzającego podwórko. Jest zawieszony w powietrzu z włócznią tkwiącą w piersi.

Pamiętam, jak z obrzydzeniem pomyślałam, że tata przypomina nieżywą rybę, jedną z tych, które złowiliśmy wspólnie z Pietrem. One również były tak przygnębiająco nieruchome.

Przypominam sobie, że głos uwięził mi w gardle. Czulałam, że brakuje mi powietrza, że za chwilę przestanę oddychać. Pośród tej całej wrzawy, histerycznych wrzasków i głosów nie wydałam z siebie żadnego krzyku. Stałam kompletnie znieruchomiała, jak w stuporze. Nasi goście starali się ze wszystkich sił podtrzymać ciało taty. Przypominało ono węgorza, wyczerpanego po bohaterskiej walce, z głową przeszytą ostrym nożem.

Czy to możliwe, że wystarczyła tylko chwila, aby wszystko się skończyło? Że nie było nikogo, kto mógłby cofnąć czas do momentu poprzedzającego tragedię?

Gdzie była mama? Gdzie się podziewali Rosetta, Giuseppe i Cornelia? Nie mogłam nawet zmusić się do odwrócenia wzroku od ciała taty, aby odnaleźć jakąś inną, znajomą twarz, oblicze, na którym z pewnością również malowało się cierpienie.

Wciąż stałam w bezruchu, podczas gdy goście próbowali wspólnie ustabilizować bezwładne ciało taty, jakby w ten sposób mogli podtrzymać jego duszę i nie pozwolić mu odejść.

Margiala wyjaśniła nam kiedyś, że gdy ktoś zmarł, najczystsza esencja jego istoty, którą nazywamy duszą, pozostawała jeszcze przez krótką chwilę w już martwym ciele, nim wstąpiła do nieba. Aby odzyskać całość swojego istnienia, przygotować się do szybkiego przejścia, zrobić

rachunek sumienia, a następnie zaprezentować się przed Panem.

– On jeszcze żyje! – krzyknął Salvatore, spocony, z błyszczącymi oczami.

I wtedy na chwilę wyszłam ze stanu odrętwienia i zobaczyłam mamę stojącą obok Salvatore. Ona także podtrzymywała ciało swojego męża.

– Musimy go stamtąd ściągnąć – zawołał, prosząc o pomoc inne osoby. Wszyscy pośpieszyli, aby spełnić to straszne zadanie.

Ja nie zdołałam. Po raz kolejny, jak w dniu śmierci Pietra, jakbym wrosła w podłogę. Moje nogi stały się nagle tak ciężkie, że nie mogłam przejść nawet jednego kroku.

– Podnieśmy go! – zawołało kilka głosów jednocześnie.

Położyli tatę na drodze, podczas gdy mnóstwo gapiów tłoczyło się wokół.

– To Valenti – usłyszałam, jak ktoś szepcze. – Tak, Agostino Valenti.

– Biedaczysko. Co za marny koniec – mówili inni. – Jego żona wkrótce będzie rodzić.

Owe szepty docierały do moich uszu jak irytujące dźwięki, które przywracały mnie do okrutnej rzeczywistości, mimo że chciałam nadal żyć w błogiej nieświadomości, w stanie zawieszenia, w którym prawda jest zawsze w pewnym stopniu fikcją, a zakończenie jedną wielką niespodzianką.

– Chodź ze mną. – Nagle za plecami usłyszałam głos, a jakaś silna dłoń pociągnęła mnie za ramię.

To była Rosetta. Uznała zapewne, że byłam za mała, aby być świadkiem takiej sceny; mama zawsze nam powtarzała, że dzieci nigdy nie powinny oglądać śmierci. W mojej głowie dudniły teraz, przywołane w sekundę, słowa Margiali: „Dzieci nie powinny poznać śmierci”.

Dlaczego zatem spotkałam się z nią tak wcześnie? Co zrobił biedny Pietro, że na nią zasłużył? Co takiego zrobił mój biedny tata?

Nie wiem, co się stało potem, gdy Rosetta zaprowadziła mnie na podwórko i posadziła przy stole nakrytym do kolacji. Ciastka rozmiękły, a krem przybrał żółtawy kolor. Wino się zagrzało i wytrącił się z niego osad, który opadł na dno szklanki.

Zaczęłam obserwować te nijakie przedmioty, siedząc na wiklinowym krześle, podczas gdy Rosetta, w niewielkiej odległości ode mnie, cicho płakała. Wpatrywałam się w każde krzesło ustawione w półkolu, aż na jednym z nich dostrzegłam harmonijkę taty.

Podniosłam się i wolnym krokiem podeszłam, by ją wziąć. Ścisnęłam ją mocno w dłoni, obserwując, jak czarna obudowa błyszczy w słońcu. Zacisnęłam pięść. Chciałam, żeby harmonijka wbiła się w moją skórę; chciałam poczuć choć odrobinę bólu, jakiego musiał doświadczyć tata. Zamknęłam oczy, pozwalając, aby cierpienie przeniknęło mnie niczym oczyszczająca limfa.

Na pogrzeb taty przybyły tłumy. Wokół mnie stało tylu ludzi, że prawie nie mogłam oddychać. Pomyślałam, że ktoś, kto zasłużył na smutek tych wszystkich osób, musiał być naprawdę dobrym człowiekiem.

Moja babcia, niezbyt duża kobieta, teraz stała się zupełnie malutka, podpierала się na ramieniu męża i płakała nieprzerwanie, tak bardzo, że czasami musiała gwałtownie nabierać powietrza, aby nie zemdleć. Patrzyłam cały czas na Margialę, która stała tuż przede mną podpierana przez Giuseppe. Nie ujrzałam nawet jednej łzy na jej twarzy, nie usłyszałam ani jednego westchnienia. Spędziłam cały ten czas na obserwowaniu mamy. Nie interesowało mnie kazanie księdza ani mowa pożegnalna. Za to w obsesyjny wręcz sposób wciąż patrzyłam na twarz mamy.

Nie miałam zamiaru ukrywać, że byłam na nią zła. Dlaczego nie mogła być taka jak wszyscy? Rosetta i Cornelia płakały. Kuma Nannina i kum Nenna płakali. Płakałam ja. Płakał nawet Giuseppe, ukradkiem, powściągliwie, jak przystało na prawdziwego mężczyznę. Tylko ona nie uroniła ani jednej łzy. Dlaczego nie płakała? Czy była tak twarda, że nawet w tej chwili nie odczuwała żadnych emocji? Gdybym zobaczyła, że jej oblicze wykrzywia grymas bólu, że ukrywa w dłoniach twarz mokrą od łez, może postrzegalabym ją jako bardziej ludzką, a zatem bardziej godną miłości. Zaciskałam swoje małe pięści w odczuwanej urazie i płakałam z rozpacz i z żalu.

Wiele lat później dowiedziałam się, że zrozumienie Margiali nie mogło być łatwe; to, co dla każdego człowieka wydaje się oczywiste, normalne, jej nie mogło się takim wydawać. Wszystko to sprawiało, że Margialę albo się kochało, albo nienawidziło.

Gdy kapłan odmawiał ostatnią modlitwę, szlochy przybrały formę rżenia, długiego i głośnego; usłyszałam cienkie, piskliwe głosy, zmieszane z krzykami i stłumionym kaszlem mężczyzn, którzy próbowali się od niego powstrzymać. Następnie ciżba zaczęła się powoli rozchodzić, szepcząc prawie niedosłyszalne słowa pozdrowienia i wyrazy współczucia.

Siostry wtulały się w mamę, ale ja nie. Zachowywałam dystans, przyglądając się nieprzerwanie jej twarzy i podsycając w sobie nienawiść.

Margiala z pewnością dostrzegła moje dziwne zachowanie, bo co chwilę rzucała mi ukradkowe spojrzenia. Nie wiem, co miały one oznaczać. Może po prostu chciała, żebym ja także wtuliła się w jej czarną spódnicę i wyplakała wreszcie swój ból. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że skinęła na mnie, żebym się zbliżyła, jakby zapraszała do siebie. Ja jednak nie odpowiedziałam na ten gest. Wstałam i powoli poszłam na tył kościoła. Na twarzy mamy malowało się coś w rodzaju rozczarowania, lecz szybko ukryła te emocje.

W głębi duszy czułam, że jestem w tym znoszeniu bólu i walce z samą sobą bardzo do niej podobna, ale nie chciałam się do tego przyznać.

– Poczciwy Agostino – usłyszałam za moimi plecami.

Wtedy przypomniało mi się, że to jest ostatnie pożegnanie mojego ojca, a ja wciąż skupiona byłam na matce.

Przywołanie imienia taty sprawiło, że powróciły cenne wspomnienia z nim związane. Nigdy wcześniej nie przywiązywałam do tego wagi. Teraz stanął mi przed oczami obraz ojca, który śpiewa swoją ulubioną piosenkę, tę o marynarzu zakochanym w pięknej dziewczynie. Owe wersy były beztrioskie, ale wiązała się z nimi moja tęsknota, świadomość utraty kogoś bliskiego.

Przypomniało mi się, jak zabierał mnie do przystani na ryby i uczył, jak powinno się prawidłowo

trzymać wędkę. Jego dłoń wydawała się wtedy taka duża i szorstka. Miałam wrażenie, że znowu czuję dotyk tych chropowatych, spracowanych rąk.

Wyobraźnia podsuwała mi coraz to nowe obrazy. Jak trzyma mnie mocno i kręci mną w koło aż do chwili, gdy moje stopy zaczynały dotykać trawy w ogrodzie, tak nisko, że czułam rosę na skórze. Albo ta chwila, gdy z rozbawieniem oglądał film Osvaldo Valentiego, naśladując go tak przekonująco, że wywoływał przy tym salwy naszego dziecięcego śmiechu. I chwila, gdy z rozbawieniem obserwował Margialę, próbując ją sprowokować i wzbudzić w niej zazdrość. Gdy mrugał do mnie porozumiewawczo...

Dotychczas byłam przekonana, że tata zawsze będzie przy mnie. A jednak odszedł – mój tata, bohater, którego utraciłam i bez którego musiałam dalej żyć.

CZĘŚĆ IV
NARODZINY

Mama nigdy nie rozmawiała z nami o tym, co się stało, ani gdy wróciliśmy do domu zaraz po pogrzebie, ani następnego dnia, ani już nigdy więcej, i nikt z nas nie odważył się zakłócić tej ciszy, która ogarnęła wszystko wokół.

Godzinami trwała w bezruchu i milczeniu. Dbała o dom, gotowała, ale sama prawie w ogóle się nie posilała. Bębniła tylko palcami w stół i gorączkowo wyszukiwała okruszyny do zebrania. Kiedy ich już nie było, skrobała palcami obrus, zbierając niteczki z tkaniny, jakby w środku każdego kawałka materiału znajdował się jakiś haniebny okrucuch, który należało koniecznie stamtąd wydostać. Zachowywała się jak ktoś, kto stracił rozum, a ja, prawdę mówiąc, nie wiedziałam, czy było mi z tego powodu przykro.

– Mamo, wszystko w porządku? – odważyła się zapytać Rosetta trzeciego dnia absolutnego milczenia.

Margiala podniosła głowę, jej palce jeszcze szybciej zaczęły skubać materiał, jakby w harmonii z jakimś wyimaginowanym wewnętrznym rytmem. Rzuciła dzikie spojrzenie, które nappełniło mnie strachem i przeraziło także moją siostrę, bo wzdrygnęła się na krzesło w obawie, że mama mogłaby ją uderzyć.

Ona jednak nic nie zrobiła, nic nie powiedziała. Ograniczyła się do tego wściekłego, jak nam się zdawało, spojrzenia. Poczekała, aż skończymy jeść, i ociężałymi, niezgrabnymi ruchami posprzątała ze stołu. Widać było, że jej twarz ściągnięta jest bólem, ale nic nie mówiła, nie poprosiła nikogo o pomoc.

Rankiem czwartego dnia po śmierci taty obudziła się bardzo późno. Rosetta i ja byliśmy akurat na podwórku. Rozwieszałyśmy pranie. Przypuszczam, że moja siostra, podobnie jak ja, odczuła boleśnie śmierć ojca i tak samo jak ja udawała, że nic się nie stało. Tylko w ten sposób mogliśmy wygrać z naszym poczuciem zagubienia i strachem.

Postanowiłam zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. W przeciwnym razie musiałabym pozwolić temu bólowi, żeby rozpanoszył się w moim wnętrzu.

Inaczej było z Margialą. Patrzyłyśmy oniemiałe, jak przechadza się przed domem w samej tylko lnianej koszuli. Wyglądała jak duch. Wychudzona, z potarganymi włosami opadającymi jej na ramiona. Teraz już nikt nie mógł zakwestionować jej natury czarownicy.

Miałam wrażenie, że za chwilę przeobrazi się w ptaka, o którym opowiadała mi kuma Antonietta. Milczenie Margiali było chyba gorsze od jej ostrych słów.

– Mamo, dokąd idziesz? – spytała zaniepokojona Rosetta.

Mama nawet na nią nie spojrzała. Patrzyłyśmy, jak bez słowa, jakby w ogóle nie odnotowała naszej obecności, znika w drzwiach. Po kilku minutach usłyszałyśmy dochodzący stamtąd rumor. Przerazona Rosetta pobiegła w kierunku jadalni, ale nim tam dotarła, nim weszła do środka, zobaczyła przerażającą postać Margiali na zewnątrz domu. Stała bez ruchu, blada jak ściana, a w rękę dzierżyła dużą siekierę.

– Mamo, co zamierzasz zrobić? – spytała drżącym głosem moja siostra.

Obserwowałam tę przerażającą scenę z oddali.

Cornelii na szczęście nie było, bo Rosetta kazała jej pójść po chleb. Giuseppe też przebywał poza domem. Poszedł do pracy następnego dnia po pogrzebie taty; widać było, że nie mógł znieść atmosfery panującej w domu od dnia wypadku. Stałam jak skamieniała obok prześcieradła, które

wypadło z rąk Rosetty.

Gdy teraz się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że nawet nie ruszyłam się z miejsca, aby je podnieść i umieścić w wiklinowym koszu. Studiowałam ruchy Margiali, starając się odgadnąć, co za chwilę uczyni ta szalona kobieta.

Mama minęła Rosettę, która nie śmiała jej zatrzymać, i skierowała się w stronę ogrodu. Szła boso. O tej porze panował jeszcze chłód, a ziemia była mokra od rosy.

– Mamo, mamo! – zawołała ponownie moja siostra, ale Margiala nie zatrzymała się ani na chwilę, a wręcz przyspieszyła kroku. Zachowywała się niczym robot.

Podniosła siekiere nad głowę, a jej spojrzenie nie było już pustym i zimnym spojrzeniem obłąkanej. Wyglądała, jakby była świadoma tego, co robi. Świadoma swojego okrucieństwa. Z całym impetem uderzyła siekiere w kwitnący oleander, który podziwialiśmy przez te wszystkie lata.

– Mamo, przestań! Błagam cię!

Rosetta zaczęła płakać. Płakała i krzyczała, próbując ją zatrzymać. Osunęła się na podłogę u stóp drzwi do kącika jadalnego, łapiąc się za głowę.

– Ty draniu, ty przekłety draniu – Margiala złorzeczyła drzewu, kontynuując swój makabryczny rytuał, wymierzając jedno uderzenie za drugim, aż biedaczek zgiął się na pół, gubiąc jednocześnie ulistnione i ukwiecone gałęzie, które spadały na ziemię pod ciosami siekiery.

W tym momencie Rosetta wstała i wybiegła na zewnątrz, chyba po to, by zawołać pomoc, bo kilka minut później kobiety z sąsiedztwa wpadły do ogrodu, aby odciągnąć mamę od oleandra. Dla biednego drzewa było już niestety za późno, ponieważ Margiala, upewniona w swoim zamiarze, ścięła je z dziką satysfakcją.

Kiedy kuma Nenna dotarła do ogrodu, mama ścisnęła już pień okaleczonego drzewka, z którego wystawały udręczone gałęzie.

– Anito, co się dzieje? – spytała kuma.

Już od dawna nikt nie zwracał się do mamy, używając jej prawdziwego imienia. Wszyscy nazywali ją Margialą. Niektórzy wołali na nią po prostu „kumo”. Inni, na przykład ja, mówili na nią Diamante. Prawie zapomniałam, że była jeszcze kimś innym. Była również Anita. Ja jednak wołałam nie używać tego imienia, być może dlatego, że łatwiej było nienawidzić Margialę niż Anitę.

Czworo silnych ramion oderwało ją siłą od oleandra i zaciągnęło do głównej sypialni. Podążyłam za kobietami razem z Rosettą, która wciąż nie przestawała płakać.

Wchodząc do pokoju, zauważyłam, że łóżko rodziców było nienaruszone i wyglądało tak, jakby przez ostatnie noce nikt w nim nie spał. Gdzie mama spędzała długie godziny?

Kiedy kuma umieściła ją na łóżku, mama była spocona i cała czerwona na twarzy.

– Nie – powiedziała, wydając z siebie głuchy, gardłowy dźwięk.

Chwilę później kuma Nenna zaczęła macać jej brzuch pod koszulką.

– Wody odeszły. Szybko, trzeba wezwać akuszerkę.

Podeszłam, trzęsąc się, do wezgłowia łóżka i zobaczyłam, że pomiędzy ud wyciekała jej bezbarwna ciecz, która rozpląwała się na narzucie w drobne kwiatki.

– Szybko, przynieś ręczniki i podgrzej wodę na ogniu – poleciła kuma zdenerwowanym tonem.

– Ja? – upewniłam się zdziwiona.

Wtedy Margiala spojrzała na mnie. Wydawało mi się, że w tym spojrzeniu dostrzegłam prośbę o pomoc. Czekala na moją reakcję, na jakąś odpowiedź, być może tylko jakiś gest wyrażający troskę, ale nie byłam pewna, czy jestem na to gotowa.

A jednak odpowiedziałam na jej niemą prośbę takim samym porozumiewawczym spojrzeniem, które mówiło, że może na mnie liczyć, że spełnię swój obowiązek.

Z jej drżących powiek, z grymasu bólu, jaki zawładnął jej mimiką, wyczytałam, że bardzo mnie potrzebuje.

Położ się – powiedziała kuma Nenna, ale wydawało się, że mama chciała zrobić wszystko, tylko nie to, bo szamotała się, usilnie próbując wstać z łóżka. Wróciłam z trzema białymi ręcznikami i miską wody.

– To musi być wrzątek. Dalej, przygotuj kolejną wodę. Ta jest za zimna.

Nie zastanawiając się ani chwili, znowu pobiegłam po wodę. Tymczasem Margiala w milczeniu słuchała napomnień kumy. Myślę, że wtedy nie miała nawet siły, aby odpowiedzieć na jej słowa.

– Odwagi. Urodziłaś już czworo dzieci. To będzie dla ciebie drobnostka. – Przesunęła ręką po jej czole, aby otrzeć pot.

Zanim wróciłam z gorącą wodą, przyszła akuszerka. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Była to kobieta przysadzista, o silnych dłoniach i grubych palcach przypominających kiełbaski. Przybiegła zziębnięta, bo moja siostra popędzała ją przez całą drogę do naszego domu. Włosy przykleiły jej się do spoconych policzków i szyi. Kobieta, w ogóle nie zwracając na nas uwagi, podwinęła szybko bluzkę, aby otrzeć pot z twarzy.

– Jak się czujesz? – spytała, wciąż ciężko dysząc.

– A jak może się czuć wdowa z czwórką dzieci i kolejnym w drodze? Wiedziałam, że to dziecko nie przyniesie nic dobrego – powiedziała mama ze złością pomiędzy jedną zadyszka a drugą, łapczywie chwytając powietrze.

Kuma Nenna dała mnie i Rosetcie znak, abyśmy przycupnęły cicho w kąciku, więc mogłybyśmy obserwować poród.

– Nie – żywo zaprotestowała mama. – Nie chcę, żeby moje córki w tym uczestniczyły. Żeby widziały, ile bólu musi znieść matka.

Przełknęłam ślinę, całą masę śliny, bo nigdy wcześniej nie byłam świadkiem narodzin i nie miałam nawet najmniejszego pojęcia, co zobaczę moje oczy.

– To boli?

Rosetta spojrzała na mnie zdziwiona.

– Oczywiście, że boli. Mówią, że nie ma większego bólu niż ten, który towarzyszy kobiecie w chwili porodu.

Otworzyłam szeroko oczy, aby uważnie śledzić, w jaki sposób zmieniała się twarz mamy, gdy przeszywał ją ból.

– Tu nie chodzi tylko o ból, ale o coś znacznie więcej.

– Co masz na myśli?

– Chcę powiedzieć, że może nawet stracić życie. Kobiety często umierają przy porodzie.

Margiala nigdy mi tego nie powiedziała. Wiele razy służyła pomocą ciężarnym i nigdy nie wróciła do domu z wiadomością o żałobie. Teraz zrozumiałam, że być może zachowywała wszystko dla siebie, aby nas nie martwić.

Ta wieść mnie zaszokowała. Nie byłam przygotowana na tego rodzaju ewentualność.

– Jesteś głupia – wyszeptalam, kierując te słowa pod własnym adresem. Żałowałam, że byłam tak naiwna.

– Co powiedziałaś?

– Nic, Rosetto. Nic. Nie chcę, żeby coś się stało mamie.

– Bądź spokojna, mama jest twarda.

– Jest jeszcze wcześniej – wykrzyknęła akuszerka, wsuwając palce do intymnych części ciała mamy.

Zobaczyłam krew. Zakręciło mi się w głowie. Myślałam, że stracę przytomność.

– Nadal chcesz to wszystko zobaczyć? – spytała Rosetta, trzymając mnie za rękę.

Ona wiele razy obserwowała mamę w działaniu, gdy pomagała kobietom w położu. Można więc powiedzieć, że była już ekspertką w tych sprawach, w końcu osiągnęła odpowiedni wiek do zamążpójścia.

Skinęłam głową, starając się oddychać głęboko, tak jak robiła to mama.

– Jeśli coś mi się stanie, chcę, żeby Cornelia i Diamante trafiły pod opiekę sióstr z klasztoru Najświętszego Serca. Chcę, żeby również to dziecko powierzono zakonnicom. Nenna, musisz mi to obiecać. Nie pozwól, aby dostały się w szpony tej wiedźmy, mojej teściowej. Obiecuj mi to! – krzyknęła przerażającym głosem, chwytając kumę za rękę.

Ta skinęła głową na znak, że się zgadza i pogłaskała ją po włosach.

Otworzyłam szeroko swoje wielkie, brązowe oczy i utkwiałam wzrok w jasnych, niebieskich oczach Rosetty.

– Zakonnicom?

Nie chciałam iść do zakonnicy. Nie wytrzymałabym tam nawet jednego dnia. Poza tym nie mogłabym wtedy chodzić nad morze, łowić ryb ani bawić się z Tomassem. W mgnieniu oka przypomniałam sobie wszystko, czego musiałabym się wyrzec, jeśli klasztor Najświętszego Serca zostałby moim nowym domem. Zdałam sobie również sprawę, jak straszne stałoby się moje życie, jeśli zabrakłoby Margiali. Teraz, po śmierci taty, potrzebowałam jej bardziej niż kiedykolwiek. Podobnie jak ona nas.

– I jeszcze Rosetta – kontynuowała mama. – Znajdź jej dobrego męża. Takiego, który będzie o nią dbał.

Moja siostra nic nie powiedziała. Opierała się o drzwi z założonymi rękoma, które sugerowały spokój, ale na jej twarzy malowało się napięcie. Niewątpliwie ona też była przerażona słowami mamy.

– Dobrze, dobrze – powiedziała kuma Nenna łagodnym tonem. – Nie myśl teraz o tym. Wszystko będzie w porządku.

Akuszerka zaczęła badać dłońmi wielki brzuch matki. Skóra wokół pępka intensywnie błyszcząca i była tak cienka, że wydawało się, iż zaraz pęknie.

– Dziecko jest na swoim miejscu, ale rozwarcie nie jest jeszcze odpowiednie. Nie przyj. Wytrzymaj ból.

Tymczasem osuszała swoją szyję, czoło i twarz ręcznikiem. Minęło około pół godziny i oddech mamy stawał się coraz bardziej przyśpieszony.

– Pomóżcie mi się podnieść – powiedziała w pewnym momencie, niemal krzycząc.

– Dokąd idziesz? – spytała akuszerka wyraźnie zirytowanym głosem.

– Nocnik. Przynieście mi go tutaj.

– Mówię ci, że powinnaś leżeć – upierała się akuszerka.

– Zostawcie mnie w spokoju – powiedziała Margiala wściekle. Miałam wrażenie, że z jej oczu sypią się błyskawice.

Powstrzymała krzyk. Stłumiła go w gardle i wzięła głęboki oddech. Potem usiadła okrakiem na nocniku, opierając się jedną ręką na łóżku.

Ścisnęłam mocno Rosettę za rękę, ponieważ poczułam, że coś się zmieniło, że być może nadeszła wreszcie ta chwila. Akuszerka w końcu zgodziła się, żeby mama robiła, co chce, i ustawiła się za nią, przytrzymując jej plecy. Kuma Nenna natomiast stanęła przed nimi, lekko pochylona, aby

obserwować, co się działo pod szeroko rozstawionymi udami mamy.

W tym momencie Margiala zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Był to mroźący krew w żyłach wrzask, jakiego nigdy w życiu nie słyszałam. Krzyczała i płakała. Potem jęczała z bólu. Im bardziej krzyczała, tym bardziej wzrastał mój niepokój. Bałam się, że wyczerpała już całe powietrze w płucach. Chciałam poprosić te dwie kobiety, by jej pomogły, zrobiły coś, żeby zapobiec takiemu cierpieniu, ale przeczuwałam, że było to niemożliwe.

Jak długo jeszcze miało to wszystko trwać?

Wydawało mi się, iż tkwiłyśmy w tym pokoju tyle godzin, że zapadł już zmrok, ale nie mogło minąć tak dużo czasu, bo w tej chwili pojawiła się Cornelia.

Natychmiast do nas dołączyła, a Rosetta skinęła głową na znak, że nadeszła pora rodzenia. Cornelia skuliła się w ramionach starszej siostry i wybuchła płaczem.

Przestałam rozróżniać krzyki Margiali. Jej głos brzmiał teraz zupełnie inaczej. Stał się niski i chrapliwy.

– Przyj, teraz przyj mocno! – poleciała akuszerka.

– Widzę je. Widzę – powiedziała kuma Nenna ze łzami w oczach.

– Przyj mocniej, jeszcze mocniej! – wołały obie.

Poczułam, że głos uwiązł mi w gardle, ja też chciałam zawołać, aby parła mocno, ze wszystkich sił, jakie jej pozostały. Twarz mamy wykrzywiała się w tysiącach różnych nienazwanych grymasach bólu. Nie sądziłam, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Prawie zemdlałam. Jeden krzyk mieszał się z drugim. Potem nagle usłyszałam jakby westchnienie ulgi. Ostatni wysięk. Nadeszła długo oczekiwana chwila.

– Jest, jest! – krzyknęła akuszerka i włożyła ręce pod uda mamy, by pomóc jej wyjąć to wątłe ciało z łona. Plecy mamy bezwładnie osunęły się na łóżko, a akuszerka zaczęła manipulować nożyczkami.

Kuma Nenna przepuściła nas, abyśmy również mogły podziwiać tę scenę. Wtedy go zobaczyłyśmy. Maluszek o pomarszczonej, zaczerwienionej skórze.

– To chłopiec – oznajmiła kobieta.

– Oczywiście, że to chłopiec – wysapała, wciąż zadyszana Margiala, ale już bardziej normalnym, ludzkim tonem. Zastanowiła się przez chwilę, otarła pot z czoła i powiedziała:

– Będzie miał na imię Francesco.

W kolejnych dniach w naszym domu panowało niezwykle zamieszanie. Mimo żałoby po śmierci taty nie można było nie cieszyć się z narodzin dziecka. Każdego dnia przybywali goście i nikt nie mógł temu zapobiec, nawet jeśli te tłumy męczyły mamę.

Margiala przyjęła dziwną postawę. Była albo zmęczona, albo poirytowana. Nie zwracała uwagi na małego Francesca, a jego ciągły płacz tylko działał jej na nerwy.

Kilka dni po narodzinach braciszka obudziłam się bardzo wczesnie, bo od wypadku taty wciąż dręczyły mnie koszmary. Pozostałam w łóżku wyciągnięta pod kołdrą, pomimo iż upały dawały się nam coraz bardziej we znaki, i nad słuchiwałam odgłosów dochodzących z sypialni. Przez jakiś czas, po przebudzeniu, gdy nie zanikło jeszcze słodkie ośpienie zmysłów wywołane snem, w domu panował spokój.

Potem jednak, niespodziewanie, rozległo się kwilenie noworodka lub – znacznie częściej – jego rozpaczliwe krzyki. Następnie głos Margiali roznosił się echem po całym domu, gdy głośno wyskakiwała z łóżka i podenerwowana karmiła go piersią.

Pobudki o świcie nie były dla mamy niczym niezwykłym, ale teraz, zmęczona ciężkim porodem, być może ze względu na bóle, które jeszcze odczuwała, nie wykazała wielkiego zainteresowania opieką nad synkiem.

– Wkrótce zaczniesz rozpoznawać mamę – powiedziała mu kiedyś, zafascynowana jego okrągłą twarzą, maleńkimi paznokietkami i pulchnymi stópkami.

Jak można było nie kochać tej istotki? Chociażby ze względu na jej nadzwyczajne piękno? Wszyscy mieliśmy wrażenie, że Margiala wyladowywała na tym bezbronny malcu złość i frustrację wywołaną swoimi kłopotami i że w jej sercu nie było miłości, którą mogłaby mu ofiarować.

– Spójrz na jego policzki – szeptała Cornelia. – Jakie pyzate. Wręcz się proszę, aby je uszczypnąć.

Bardzo się starałyśmy, by te uwagi nie dotarły do uszu mamy, bo wiedziałyśmy, że nie życzyłaby sobie takiej ckliwości. Jeżeli chodzi o mnie, byłam przekonana, że przeżywam właśnie nowy, dziwny etap mojego dzieciństwa. Przy narodzinach braciszka zrozumiałam pewne prawdy związane z byciem kobietą. Często zastanawiałam się nad nimi, ale byłam zbyt nieśmiała, by poprosić kogokolwiek, zwłaszcza mamę, o ich wyjaśnienie.

Może ośmieliłabym się zapytać Rosettę, ale swoim szorstkim zachowaniem zbyt przypominała Margialę. Poza tym niejednokrotnie uczono mnie, że niektórych tematów lepiej nie poruszać.

– Natura sama podpowie ci, jak to jest z kobietami – odpowiadała mi mama wymijająco, gdy ośmielałam się jednak zadać jakieś pytania.

Niedawno zaczęłam odkrywać, z coraz większą odwagą i zaciekawieniem, niektóre części mojego ciała. Nie zdradzałam się z tym przed Cornelią i zastanawiałam się, czy ona także, starsza ode mnie, podczas przeglądania się w lustrze, robiła to samo co ja.

To, co zobaczyłam w dniu narodzin Francesca, było moim zdaniem obrzydliwe, ale gdy patrzyłam na jego twarzą, owo nieprzyjemne wspomnienie od razu zniknęło.

Choć był chłopcem, wraz z Cornelią stale powtarzałyśmy, że wygląda jak dziewczynka. Może ze względu na jego gęste włoski i długie rzęski.

– Byłbyś piękną kobietą – powtarzała Cornelia.

– Co za bzdury – rzucała Margiala. – Nie macie mu w głowie, świat jest wystarczająco poplątany.

Minął tydzień od porodu i mama znowu przejęła rządy nad swoim królestwem, powracając do roli władczyni absolutnej.

Któregoś ranka, być może z powodu nudy, jakiej ostatnio doznawała, stwierdziła, że pora wysprzątać cały dom.

– Cornelio, ty zajmiesz się pokojami na piętrze. Chcę, aby wszystko lśniło. To dotyczy również sreber, które trzymamy w kredensie.

Moja siostra sumiennie skinęła głową, bardzo zadowolona, że Margiala postanowiła zacząć od niej.

– Diamante, ty posprzątasz w moim pokoju, przedpokoju i kuchni. Naoliwisz wszystkie garnki i wyczyścisz kominek. Gdy skończysz, pójdziesz do ogrodu. Zbierzesz nowe pęczki aromatycznych ziół i powiesz je na sznurku na podwórku, aby się ususzyły. Dzisiaj ładnie przygrzewa słońce, więc szybko wyschną.

Chciałam jej powiedzieć, że tego jest za dużo, że wykonanie wszystkiego, co mi zleciła, zajmie co najmniej dwa dni.

– A Rosetta? – ośmieliłam się zapytać.

Mama spojrzała na mnie z niechęcią, skrzywiła się. Byłam pewna, że chętnie wymierzyłaby mi policzek. Zapewne uznała moje pytanie za bezczelne. Na wszelki wypadek więc cofnęłam się i zamknęłam oczy, mimo wszystko oczekując na cios.

– Twoja siostra musi się opiekować dzieckiem. Będę kilka godzin poza domem. Muszę się zająć kobietą, która dzisiaj rodzi.

– A jeśli będzie chciał mleka? – zapytała Rosetta.

– Nie bój się. Nie umrze z głodu. Nakarmię go, gdy wrócę. – To powiedziawszy, wyszła z domu, trzaskając drzwiami.

Byłam wściekła. Nie tylko z tego powodu, że mówiła do mnie z taką złością, ale także dlatego, że tak beztrąsko uwolniła się od dziecka, jakby fakt, iż mały będzie głodował, w ogóle jej nie obchodził.

Kiedy Margiala była tak opryskliwa, rosło we mnie niezłomne i nieodparte pragnienie, aby postąpić dokładnie odwrotnie, niż mi nakazała. Nie robiłam tego ze złej woli czy obojętności. To była nieokiełznana siła, która zawsze ze mnie emanowała i często pchała w niebezpiecznym kierunku, czego zresztą miałam tego dnia doświadczyć.

Tym razem moja buntownicza natura zwyciężyła. Postanowiłam, że nawet jeśli miałabym słono zapłacić za swoje nieposłuszeństwo, nie wykonam powierzonych mi zadań. I tak, bez słowa wyjaśnienia, zaczęłam grzebać wśród narzędzi w poszukiwaniu wędki. Potem włożyłam sukienkę z wycięciem w fioletowe i różowe kwiaty i poinformowałam Rosettę, że wrócę późno.

– Zwariowałaś? Mama cię zabije.

Nawet Cornelia wychyliła głowę zza schodów, aby być świadkiem mojej ucieczki, ale nie powiedziałam ani słowa. Wzruszyłam ramionami i w arogancki sposób strzeliłam językiem o zęby. W ten sposób przekonałabym nawet Rosettę, że nie zmienię zdania i że nie boję się mamy. Uniosłam wysoko podbródek, jakby w geście irytacji, natomiast Rosetta machnęła ręką w powietrzu, jakby chciała odpędzić się od chmary much.

– Rób, co chcesz. Mama się potem z tobą policzy.

Przed wyjściem z domu ucałowałam maluszka w czoło i poszłam sobie, pogwizdując, jak uczył mnie Pietro.

Wąwóz przemienił się w żółtawy bezkres suchych zarośli. Wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy po raz ostatni przemierzałam go z Pietrem. Kilka miesięcy wcześniej zieleniące się zbocza barwiły się gdzieś opalizującymi odcieniami maków i niezapominajek, a stopy tonęły w wysokiej, świeżej trawie.

Teraz jednak wszystko przybrało inny, żałośnie smutny i zgaszony wygląd. Jakiś kolczasty pęd jeżyny wkradł mi się pod sukienkę i podrapał łydki w kilku miejscach. Pomyślałam, że będę musiała wytłumaczyć się Margiali również z tych zadrapań. Ale w tym momencie mnie to nie obchodziło. Poczucie wolności, jakiego doznałam po akcie buntu, wymazywało wszelkie inne kłopotliwe myśli. Już w chwili narodzin byłam uparta i nieokiełznana, a na tym etapie mojego życia stałam się jeszcze bardziej oporna.

Po drodze natknęłam się na jakiegoś bezpańskiego psa i przez chwilę miałam wrażenie, że krew zmroziła się w moich żyłach. Pomyślałam, że gdyby rozdarł mnie na kawałki w wąwozie, nikt by mnie nie odnalazł. Tylko ja i Pietro znaleźmy ten skrót, i oczywiście Tomasso, ale ona raczej nie doprowadziłaby tutaj nikogo.

Umarłabym obok mojej wędki i wszyscy wkrótce zapomnieliby o głupiej, zbuntowanej Diamante. Spróbowałam pogwizdać sobie przez chwilę, aby złagodzić napięcie, które mną zawładnęło.

Tymczasem słońce zamieniło się w wielką, ognistą kulę, która emanowała promieniami tuż nad moją głową. Miałam wrażenie, że im bardziej posuwałam się naprzód, tym bardziej krzewy wokół mnie żółkły, jakby miały rozpląnąć się w kontakcie z tymi prążącymi promieniami. Zatrzymałam się na chwilę, aby złapać oddech. Zdałam sobie sprawę, że nie wzięłam ze sobą nawet kropelki wody. Byłam głodna i zmęczona. Ledwie powłóczyłam nogami. Gdy chodziłam na ryby z Pietrem, wszystko wyglądało inaczej. Byliśmy zawsze dobrze przygotowani, aby nie narazić się na przykre niespodzianki.

Znowu stanęłam, by odpocząć. Wtedy przy ścieżce dostrzegłam jaszczurkę. Szeleściła suchą trawą, przebiegając po niej drobnymi łapkami. Próbowałam ją pochwycić rękoma, ale była za szybka. Poza tym poruszałam się ociężale przez męczący upał. Nie poddałam się jednak. Teraz walka z tym nieszkodliwym, zielonkawym stworzonkiem stała się dla mnie wyzwaniem.

Odłożyłam wędkę i ruszyłam w pogoń. W pewnym momencie jaszczurka popełniła błąd: wyszła na odkrytą ścieżkę, gdzie nie było żadnych zarośli, w których mogłaby się schronić przed moim okrucieństwem. Błyskawicznym gestem, bez zastanowienia, zmiażdżyłam ją moim sandałem. Śmiertelny cios w łebek. Kiedy podniosłam nogę, spod podeszwy wypłynęła lepka ciecz.

Natychmiast pożałowałam tego okrutnego czynu. Dlaczego to zrobiłam? Czy ja też odczuwałam potrzebę, aby wyladować swój niekontrolowany, wzbierający gniew na tym bezbronny stworzeniu?

– Jesteś podła – powiedziałam głośno do samej siebie. Wiedziałam, że nikt nie może mnie teraz usłyszeć.

Podniosłam wędkę i uznałam, że pora wracać. Pożegnałam się z daleka z morzem i pomyślałam, że odłożę na później nasze pojednanie.

Spojrzałam jeszcze raz na zmiażdżone ciało jaszczurki.

– Przepraszam – wyszeptalam skruszona. Dobrze wiedziałam, że zrobiłam coś naprawdę strasznego.

Potem wróciłam do domu.

Kiedy zbliżyłam się do domu, spragniona i zmęczona, moją uwagę przykuły wesole dźwięki dochodzące z kuchni. Liczne żeńskie głosy nakładały się na siebie, a niekiedy rozlegało się echo śmiechu. Cornelia i Rosetta nie były same. Wiedziałam jednak, że brakowało wśród nich głosu Margiali.

Miałam nadzieję, że jeszcze nie wróciła i w ten sposób moja ucieczka przejdzie niezauważona. Rozpoznałam melodyjny głos kумы Antonietty i drugi, młodszy, którego nie potrafiłam dobrze uchwycić, być może jej córki. Różne dźwięki rozbrzmiewały w dużym pomieszczeniu ze sklepionym sufitem, więc nie dało się zrozumieć słów. W efekcie trudno było również rozróżnić poszczególne głosy.

Zaczęłam przysłuchiwać się delikatnemu śmiechowi Cornellii, piskliwemu głosowi Rosetty, wdzięcznemu głosikowi innej osoby, którego nie potrafiłam rozpoznać. Mogłam zrozumieć tylko pojedyncze słowa, pośród których często powtarzało się imię mojego małego braciszka. Z daleka wydawało się, że mój dom jest bardzo szczęśliwym miejscem. Pozazdrościłam im tej radości. Miałam nadzieję, że jest ona zaraźliwa.

Wtedy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. Wystraszyłam się. Gdy uniosłam głowę, ujrzałam sylwetkę Margiali, która pojawiła się na schodach. W swej ponurej, czarnej sukni, sięgającej stóp wyglądała niezwykle dostojnie. I przerażająco. Włosy miała upięte w swój jak zawsze zdyscyplinowany kok, dłonie złożone na płaskim brzuchu. Była strzelista i wysoka niczym topola. Nawet pełne piersi, obrzęknięte od mleka, były dobrze ukryte pod koronkowym kołnierzem.

Zamarłam w przerażeniu, szukając naprędce wyjaśnienia mojego buntu, którym mogłabym się obronić przed jej brutalnymi razami. Czego oczekiwałam? Że oszukam Margiałę? Że nieposłuszeństwo ujdzie mi na sucho?

Podeszła do mnie wolnym krokiem, może po to, by zwiększyć rosnące napięcie. Przez chwilę patrzyłyśmy sobie w oczy, niczym dwa koty, które kontrolują terytorium. Lodowaty błękit jej oczu mógł wprawić w przerażenie.

Próbowałam odgadnąć, co mnie czeka: policzek, straszliwa chłosta, a może dzień bez jedzenia. Być może mama też zastanawiała się nad przykładaną karą dla mnie, tak by ostrzec pozostałe dzieci, czym grozi nieposłuszeństwo.

Zauważyłam, że jej lodowaty wzrok spoczął przez chwilę na moich włosach. Czy naprawdę wierzyła, że to one odpowiadały za moją przekorną naturę? Nim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować, ona już chwyciła mnie za pukle i, nie zważając na moje krzyki, zaciągnęła do ogrodu.

– Mamo, przestań, proszę, to boli. Mamo, proszę, przestań – wrzeszczałam jak szalona.

Margiala nic sobie jednak nie robiła z moich wrzasków, zawstydenia ani ze zdumionych spojrzeń ludzi, którzy stali się świadkami tej sceny. Szłam za nią, z pochyloną z bólu głową, podczas gdy ona przeklinała mój upór, moją naturę chłopczycy i nieposłuszeństwo.

– Mówiłam jej, żeby została w domu – wyjaśniła Rosetta, bardziej usprawiedliwiając siebie niż mnie. Ja natomiast wciąż wrzeszczałam jak szalona.

– Bądź cicho. Może wreszcie nauczysz się, czym jest posłuszeństwo – dodała ze złością.

Margiala nadal mocno trzymała mnie za włosy. Ból stawał się coraz silniejszy, jakby ktoś dłutem wwiercał mi się w głowę. Mały Francesco spał spokojnie w swojej kołysce. Pomyślałam, że muszę jak najszybciej ostrzec go przed okrutną matką, by uniknęła poniżenia, które mnie spotkało.

Przy stole ujrzałam kumę Antonietę. Obok niej siedziała młoda kobieta. To była Anna, siostra Pietra. Jakże bolało mnie to, że zostałam tak upokorzona w ich obecności!

Powinłam była wiedzieć, że Margiala potrafi wymierzyć srogą karę. Kiedyś zmusiła Rosettę, aby spędziła dwa dni w jadalni, w ciemności, i pośród piszczących myszy, tylko dlatego, że jej nie posłuchała, innym razem przywiązała Giuseppe za nadgarstki do studni i groziła, że zostawi go tak na całą noc. Tylko dzięki łagodnej interwencji taty mój brat zdołał uniknąć jej straszliwego gniewu.

Teraz nie było nikogo, kto mógłby się za mną wstawić i wyrwać mnie z jej szponów. Zaciągnęła mnie do kuchni, przed wielką ścianą, na której wisiały różne narzędzia. Już przeczuwałam, co zamierza zrobić. Wciąż jednak miałam nadzieję, że to złudzenie, że nic takiego nie nastąpi. Jakże byłam naiwna. Zapomniałam, że Margiala była nieubłagana i zimna jak głaz.

Nie wypuszczając moich włosów z dłoni, chwyciła duże nożyce służące do patroszenia ryb, których nie używała w żadnym innym celu, ponieważ ich ostrza ślizgały się po brzuchu zwierząt niczym po miękkim maśle.

– Mamo, co chcesz zrobić? Odlóż je, proszę.

Pewnie mogłam się wtedy przyznać, że postąpiłam źle, powiedzieć, że bardzo żałuję, iż jej nie posłuchałam. Nic takiego jednak nie uczyniłam, nie chciałam się przyznać do błędu.

– Tylko w ten sposób przekonamy się, czy naprawdę podoba ci się bycie chłopcem – powiedziała i były to ostatnie słowa, które do mnie wtedy skierowała.

Kiedy podniosła nożyczki, drażniąca, metaliczna woń krwi oblepiającej ostrza sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Za chwilę miałam zostać potwornie oszpecona. Nożyce śmierdziały rybimi wnętrznościami, których zapach przyprawiał mnie o mdłości. Zamknęłam oczy, przekonana, że nie mam już dokąd uciec. Zanim mama obcięła pierwszy pukiel, wzięłam głęboki oddech, oszołomiona głęboką ciszą, która zapanowała nie tylko w pokoju, ale też w ogrodzie, w naszym domu, wszędzie.

Kobiety siedzące przy stole nie wydawały z siebie żadnego dźwięku, w oczekiwaniu na tę straszną egzekucję. Nawet Francesco obudził się i patrzył z zaciekawiony.

Dziwna cisza zapanowała nawet wśród drzew, teraz już suchych i огоłoconych z liści. Chyba także ptaki wyczuły, że stanie się coś strasznego. Jak przed burzą, kiedy wszystkie zmysły pozostają w stanie gotowości i nie rejestrują niczego poza strachem.

Potem nastąpiło pierwsze cięcie, kolejne i jeszcze jedno. Nieregularne, szorstkie, zdecydowane gesty, aby końcowy rezultat był okropny. Nie stawiałam żadnego oporu, całkowicie oszołomiona dźwiękiem nożyczek, pozwalając, by nawet dłonie, dotychczas mocno zaciśnięte w pięści, opadły bezwładnie wzdłuż tułowia. Podałam się.

Może to dziwne, ale było mi jej żal. Twarz Margiali pokrywały zmarszczki, srebrne nitki, które odstawały od przygładzonych włosów, dłonie sękaty niczym dąb, które nie wiedziały, jak obdarzać pieściami. Kiedy tak się zmieniła? Kiedy się zestarzała?

Pozwoliłam, aby dokończyła swoje dzieło i wyładowała cały swój gniew.

– Skończyłam, teraz wyglądasz dobrze – powiedziała ponuro, nim chwyciła mnie za ramię i siłą zaprowadziła do pokoju, w którym mogłam przejrzeć się w lustrze.

Nie chciałam patrzeć, spuściłam głowę i stałam tak, wpatrując się w podłogę. Kobiety zamilkły, gdy przechodziłam obok nich. Cornelia podniosła dłoń do ust, a kumie Antonietcie, o wrażliwej i serdecznej duszy, aż łzy napłynęły do oczu.

– Proszę, spójrz na siebie.

Zmusiła mnie, abym podniosła głowę i zobaczyła swoje jasne i wyraźne odbicie w przyciemnianym lustrze. Ujrzałam sterczące we wszystkie strony włosy, poskręcane kosmyki, które tworzyły lśniące pierścienie.

– Od dzisiaj Diamante będzie tak wyglądać. Jak chłopak.

Następnie oddaliła się, a stukot jej sandałów rozbrzmiewał głośno po ceglanej podłodze. Łzy napłynęły mi do oczu, mimo że starałam się je powstrzymać z całych sił. Górna warga zaczęła drżeć ze zdenerwowania. Wyglądałam jak obłąkana.

Nawet stara, szalona Paolina nie miała tak potarganej i okropnej czupryny. Z przodu, z wyjątkiem kilku nielicznych kosmyków wylaniających się pośrodku głowy, prawie w ogóle nie miałam włosów.

„Nikt nie zechce ze mną porozmawiać, gdy mnie taką ujrzy” – pomyślałam. Wszyscy się ode mnie odsuną, zostaną wyklęta, samotna. Margiala dobrze wiedziała, co robiła. Dążyła do tego, żeby mnie poniżyć, chciała, żeby ze mnie drwiono, żeby mnie wyśmiewano, żeby nikt nie chciał mieć ze mną do czynienia.

Ustawiłam się profilem do lustra. Tam, gdzie kiedyś podziwiałam swoje długie, kasztanowe włosy, sięgające prawie do pasa, teraz nie było już nic, tylko szczupły, nieosłonięty kark. Nie mogłam się powstrzymać. Strugi łez popłynęły mi po twarzy, spadając na sukienkę w kwiaty, szyję i piersi. Usta nie przestawały drżeć.

Tak, to była straszna kara. Straszna również dla Margiali. Rozmyślnie okrutna. Zbyt okrutna, nawet jak na nią.

Reszta lata upłynęła nam na kłótniach o każdy drobiazg. Byliśmy jak prawdziwi wrogowie, tym bardziej nienawistni, że zmuszeni mieszkać razem. Margiala, która dotychczas darzyła mnie największą sympatią, odsunęła się ode mnie i nie pominęła żadnej okazji, by mi dokuczyć.

Za każdym razem, gdy mama otwierała usta, mówiła o mnie coś złego, krytykowała mój wygląd, moją powolność w kuchni, moje grube łydki, a nawet sposób ubierania się.

Korzystając z ładnej pogody, rozwiązałam problem moich włosów. Zawiazywałam na głowie kolorową chustkę, jedną z tych, które mama uszyła mi dla ochrony przed słońcem podczas pracy w ogrodzie.

Miałam je dwie. Kiedy jedna przesiąkała potem lub brudziła się, natychmiast ją prałam, aby nazajutrz była czysta.

Nie pozwalałam, by ktokolwiek zobaczył moje włosy, nawet Cornelia, która zresztą była ich najbardziej ciekawa. Zazdrościłam jej bujnej czupryny w kolorze miodu, pięknej cery i naturalnego wdzięku.

Tymczasem Francesco rósł i stał się ślicznym malcem o czarnych włoskach, które sięgały ramion i zwijały się w miękkie loki.

Tak, wyglądał jak dziewczynka i czasami rozmyślałam nad tym, jak dziwny jest los, który mnie nadał wygląd niesforenego chłopca, a jemu dziewczynki o kręconych włoskach. Gdybyśmy tylko mogli zamienić się rolami!

Czasami smutniałam na myśl, że nie będzie pamiętał twarzy swojego ojca. Wraz z Cornelią pokazywałyśmy mu wyblakłą fotografię, jedyną, jaką pozwoliła nam zachować Margiala. Tata przybrał na niej artystyczną pozę. Zdjęcie przedstawiało tylko górną część tułowia. Zrobił je u fotografa w dniu, w którym zamierzał spróbować swoich sił w karierze aktorskiej. Lśniący od brylantyny, doskonale ułożony pukiel, opadał falą na czoło. Wydawało się, że skóra na jego twarzy była gładka jak aksamit.

Chociaż zdjęcie było czarno-białe, niebieskie oczy błyszcząły w jego ciemnej twarzy jak piękne turkusy. W dłoni ścisnął z wdziękiem papierosa, a mięsistym ustom nadał grymas uśmiechu. Wargi pozostawił lekko rozchylone, aby można było dostrzec rząd idealnie wyrzeźbionych zębów. Drugą dłoń schował w kieszeni kurtki. Wyobrażałam sobie, że była niebieska, elegancka i wyrafinowana, jak jego spojrzenie. Na tym zdjęciu tata był naprawdę przystojny.

– Pewnego dnia staniesz się taki jak on, zobaczysz – szeptałam czule do braciszka. – W ten sposób zapamiętasz go na zawsze, bo będziesz mógł odnaleźć go w swojej twarzy.

Czasami mama zatrzymywała się w drzwiach, aby posłuchać naszych słów, przerywała pracę, którą się akurat zajmowała, a jej zachowanie i wyraz twarzy łagodniały. Wydawało się więc, że zdjęcie taty rozpuszczało cały ten lód skrywany w głębi jej serca.

Być może Agostino miał tę jedną moc – skruszania serca Margiali. Może potrafił rozbić te wszystkie mury, które wybudowała wokół siebie niczym fortecę. My tego nie potrafiliśmy.

Kiedy mama zauważała, że zaczęłyśmy się jej przypatrywać, odwracała się w drugą stronę i powracała do swoich zajęć.

Odkąd zabrakło taty, żyliśmy z dnia na dzień. Każdy z nas musiał wnosić jakiś wkład w utrzymanie domu. Giuseppe pracował już od jakiegoś czasu. Wciąż dzielił się swoimi zarobkami z całą rodziną. Rosetta natomiast zaczęła robić swetry z wełny, które rozchodziły się jak świeże

bułeczki wśród matek małych dzieci, wierzących, że owa szorstka tkanina uchroni ich szkraby od zimowych chorób.

Margiala całkowicie poświęciła się swoim sztukom i chociaż wcześniej nie brała w zamian pieniędzy, teraz stało się to koniecznością. Mieszkańcy miasteczka rozumieli sytuację, w jakiej się znalazła, i nie uchylali się od zapłaty.

W ciągu ostatnich miesięcy do Margiali przychodziły całe procesje kum, które chciały zdjąć z siebie różne uroki. Mama przygotowywała wtedy miskę z brązowego drewna, którą napełniała wodą, ziarnem i odrobiną soli kamiennej. Przechodziła z tym naczyniem aż do sypialni, recytując pod nosem swoje modlitwy. Poszkodowana przechodziła za Margialą aż do łóżka, gdzie mama opryskiwała jej głowę i czoło magicznym eliksirem, jednocześnie kreśląc na jej powiekach dziesiątki maleńkich znaków krzyża.

Następnie osoba, na którą rzucono urok, wypijała kilka łyków wody święconej i wyszedłszy na ulicę, zdecydowanym ruchem wylewała za siebie całą zawartość miski. To był rytuał, który zawsze działał i który mama z biegiem czasu udoskonaliła, przepełniając każdy swój gest jeszcze większym patosem.

W końcu sława mamy przekroczyła granice naszego miasteczka. Ars magica Margiali zyskała tak wielkie uznanie, że kobiety zaczęły posyłać po nią, aby odczytała przyszłość lub rzuciła na kogoś zły urok.

– Ja nie robię takich rzeczy. Nie jestem łajdaczką, tak jak moja praciotka, która sprzedawała eliksiry miłosne i zabierała narzeczonych biednym dziewczętom. – Potem spluwała na ziemię i podążała własną drogą.

– Są ludzie, którzy dziedziczą domy lub pola. Inni dziedziczą pieniądze i mienie, a jeszcze inni wyłącznie tytuły, lecz są i tacy, którzy dziedziczą choroby lub paskudny garb na plecach. Ja otrzymałam w spadku umiejętność odczyniania uroków i czytania z fusów po kawie. Dary, którymi mogę służyć innym, ale nie mogę służyć sobie... – kontynuowała, wypełniając zlew swoimi plwocinami.

Kiedy tak mamrotała pod nosem, nie wiedziałam, czy kierowała te słowa do którejś z nas, czy dyskutowała z jakimś wyimaginowanym rozmówcą. W takich chwilach obserwowaliśmy ją w milczeniu, nie przerywając tych samotnych rozważań.

Po śmierci taty Margiala stała się dziwna i jeszcze bardziej małomówna. Nie zaprzestała zbierać okruszków z obrusu, a ostatnimi czasy przemieniła to w jakiś skomplikowany rytuał, bo jej palce wędrowały teraz nie tylko po stołach, ale również po innych meblach, szafkach i komodach, nawet jeśli nam, dzieciom, surowo zabroniono jadać w innych częściach kuchni, za co groziła kara. Walka z pozostałościami po jedzeniu pochłaniała ją bez reszty i przekształciła się w prawdziwą manię.

Kiedy lato dobiegło końca, minęła jesień i nastąpiła zima, stało się coś, co w końcu położyło kres naszym animozjom.

Sypialnia mamy była fascynującym miejscem. Uwielbiałam panującą w niej ciemność. Okiennice były zawsze na wpół zamknięte, aby zapobiec nadmiernej jasności, która pozbawiłaby ten pokój jego niemalże sakralnego wyglądu, wyróżniającego go spośród innych pomieszczeń w domu. Szczególny charakter nadawały mu także obrazy świętych i madonn zawieszane na sznurku w taki sposób, że ich twarze zwrócone były zawsze ku podłodze i pościeli na łóżku, w stanie wiecznego czuwania nad światem.

Z kolei na kredensie stał wazon pełen świeżych kwiatów, tuż obok szklanego klosza, pod którym umieszczono wizerunek świętego Antoniego. Była to statuetka o wysokości około trzydziestu

centymetrów, którą mama postawiła na koronkowej serwetce. Wokół niej wisiały dziesiątki skręconych złotych łańcuszków. Margiala surowo zabroniła nam podnosić klosz.

Nad kredensem znajdowało się wielkie lustro w pięknej, pozłacanej ramie, która przywodziła na myśl drogocenne obrazy należące do księżniczek lub dam. Obok klosza leżały szczotka w kolorze złota, grzebień z kości słoniowej – prezent od babci Diamante, który Margiala przechowywała jako talizman – i czarny welon, który mama od śmierci taty zakładała na głowę przed wyjściem z domu. Welon z czarnej koronki, kolejny podarunek od babci, której nigdy nie poznałam.

Lubiłam patrzeć na podwórko w lustrze. Na zniekształcone odbicie świata zewnętrznego w szkłe, które nadawało mu inny wygląd, zgodny z wytworami mojej wyobraźni. Podobały mi się także bibeloty ozdabiające pokój: zielone satynowe wstążki, które upiękślały uchwyty szuflad, poduszki z czerwonego aksamitu, które przykrywały krzesła ustawione naprzeciwko łóżka, wazon z mosiądzu na kredensie i srebrna ramka ze ślubnym zdjęciem rodziców.

Na nim piękna Margiala uśmiechająca się promiennie.

Niepokoje napęłniał mnie jednak ołtarzyk, jaki mama postawiła dla taty; zajmował prawy róg dużego pokoju, a zbudowany był z drzewa wiśniowego, przykryty tkaniną z czerwonego aksamitu. Znajdowały się na nim dwie fotografie: z jednej strony zdjęcie babci Diamante, która przybrała pozę żony generała, stojąc w rozkroku z rękoma opartymi na biodrach. Z drugiej strony zaś zdjęcie taty upodabniającego się do gwiazdy kina, z wykałaczkę w zębach, opierającego się o wapienną ścianę.

W ten sposób Margiala oddawała cześć swoim ukochanym bliskim.

Pomyślałam, że gdybym to ja umarła, mama opłakiwałaby również mnie i nareszcie nauczyłaby się mnie kochać.

Gdyby tylko można było zasymulować śmierć, a potem wrócić do żywych, zrozumiałaby, że zależało jej również na mnie, że zależało jej na nas wszystkich.

Jak zawsze jednak, gdy mój dziecięcy rozum nachodziły czarne myśli, odpędzałam je gwałtownym potrząśnięciem głowy, któremu towarzyszyły szybkie ruchy dłoni.

Pewnego ranka, pod koniec grudnia, również mały Francesco zdecydował, że nadszedł czas, aby rozpocząć zwiedzanie tej zabytkowej kapliczki, która zawsze w jakiś perwersyjny sposób fascynowała wszystkich członków naszej rodziny.

Mama wyszła, aby odprawić jeden ze swoich rytuałów, podczas gdy Rosetta była zajęta w kuchni. Przyrządzała sanguinaccio⁶ na gorąco.

Sanguinaccio przygotowano ze świeżej świńskiej krwi, dopiero co kupionej w miejskiej rzeźni. Krew należało solidnie doprawić solą i gotować z oliwą na ogniu. Potrawę spożywano z dużą ilością chleba. Było to bardzo sycące danie.

Cornelia zastąpiła Rosettę przy kołowrotku, podczas gdy ja opiekowałam się braciszkiem. Zaczął już raczkować, a w naszym domu roiło się od rupieci. Uchronienie go przed niebezpieczeństwem było trudnym zadaniem. Pełzał szybko na czworakach niczym żmijka. Z przyjemnością obserwowałam jego zwinne ruchy i pierwsze wyprawy w celu odkrycia otaczającego go świata. Często zatrzymywałam się, aby posłuchać jego gaworzenia, pierwszych słów, którymi próbował opisać rzeczywistość, która w jego oczach prezentowała się wspaniale.

Margiala zaczynała ogrzewać pokój jeszcze przed powrotem do domu, za pomocą dużej, mosiężnej fajerki, którą wypełniała popiołem i laurem, ponieważ chciała, aby aromatyczne opary rozeszły się po całym pokoju.

Trzymała ją zawsze pod łóżkiem, by zabezpieczyć ją przed ciekawskimi rączkami Francesca. Jednak zwabiony przyjemnymi zapachami malec szybko wsunął się pod łóżko, tuż obok

rozżarzonego przedmiotu. Nie zastanawiając się nawet przez chwilę nad tym, co robię, szybko wślizgnęłam się pod stelaż łóżka, aby w ostatniej chwili odsunąć jego delikatną rączkę od tego gorącego wulkanu. Wydałam z siebie okrzyk przerażenia, ale on tylko uśmiechnął się do mnie, a na jego policzkach ukazały się piękne dołeczki.

Wyciągnęłam dłoń w kierunku fajerki, lecz moje ruchy były utrudnione z powodu niskiego stelaża. Francesco obserwował mnie zdziwiony, niemal rozgniewany, że zabierałam mu jego zabawkę. Poczułam radość, że zdołałam go powstrzymać, zanim dotarł dalej, lecz próbując go w pośpiechu złapać, wysypałam część popiołu na ramię, co spowodowało paskudne oparzenie.

Rosetta, przywołana moimi krzykami, wpadła do pokoju. Zaraz potem Cornelia. Złapały dziecko, które tymczasem zaczęło płakać ze zdenerwowania.

– Nic mu nie jest, zdążyłam go powstrzymać.

– Byłaś bardzo dzielna – powiedziała Rosetta, z zaniepokojeniem oglądając moje ramię. Wtedy jeszcze nie odczuwałam bólu, ale już po kilku chwilach poczułam, jakby dziesiątki małych rybek smażyły się na mojej skórze.

– Będziesz musiała pokazać tę ranę mamie, gdy tylko wróci do domu – kontynuowała, jednocześnie tuląc do piersi Francesca, aby go uspokoić.

Chwilę później zjawiała się Margiala. Nie wiedziałam, czy miałam się spodziewać kolejnej kary za moją nieuwagę, za to, że naraziłam dziecko na niebezpieczeństwo, czy może w końcu oczekiwać choć odrobiny czułości.

Podeszła do nas z wyrazem niepokoju na twarzy. W tym ciemnym pokoju wydawało się, że jej oczy błyszczały jeszcze bardziej.

– Co się tu dzieje? – Gdy wypowiadała te słowa, jej wzrok padł na moje ramię, które zrobiło się czerwone.

– Diamante złapała za fajerkę, zanim dosięgnął jej mały. Przecież wiesz, że raczkuje już niemal wszędzie. – Rosetta postanowiła mnie bronić.

Margiala obrzuciła malca szybkim spojrzeniem, aby upewnić się, że nic mu nie jest, a następnie zaczęła sprawdzać moje ramię. Patrzyła na mnie przez chwilę. W jej oczach nie dostrzegłam zwykłej urazy, lecz coś, co mgliście przypominało niezadowolenie.

– Musimy posmarować je specjalną maścią, żeby nie zostały ci blizny. Przygotuję ją dzisiaj – zarządziła.

Nic więcej nie dodała. Odeszła w kierunku kuchni, przepasując się fartuszkim w talii i rozpoczynając sporządzanie swojej mikstury.

Tego dnia wydało mi się, że lód pomiędzy mną i Margialą stopniał i że w naszym domu nareszcie zapanuje zgoda.

CZĘŚĆ V
MAŁŻEŃSTWO

Lato 1939 roku

– Diamante, prędko. Chodź coś zobaczyć! Biegiem!

Głos mojej siostry Cornellii, przypominający wroni skrzek, wyrwał mnie z błogości, akurat bowiem popijałam leniwie mleko, siedząc na wiklinowym krześle w kuchni. Odpowiedziałam jej równie leniwie, ponieważ wysoka temperatura zawsze miała na mnie właśnie taki wpływ – przytępiła moje zmysły.

– Co się stało, że tak krzyczysz? – zapytałam.

Pochyliłam się, chcąc wstać z krzesła, ale moje znużenie wygrało z ciekawością i oparłam głowę na otwartej dłoni, prawie przysypiając.

– Idziesz czy nie? – ponagliła mnie.

Poczłapałam do ogrodu, szurając stopami w sposób, jakiego mama nie tolerowała. „Jak będziesz tak szurać po ziemi, dostaniesz płaskostopia. A nikomu nie podobają się dziewczyny z płaskostopiem” – strofowała mnie często.

Ale to dotyczące płaskich stóp było tylko jednym z wielu zaleceń, którymi Margiala zazwyczaj przypominała mi, że natura zechciała uczynić mnie kobietą i, niezależnie od długości moich włosów musiałam się przyzwyczaić do tej myśli.

„Wyprostuj plecy, jak siedzisz przy stole! Nie opieraj łokci na obrusie, bo tak robią tylko chłopczyce i obiboki. Nie jedz z otwartą buzią, nie spluwaj na podłogę – chociaż to akurat ona też robiła. Nie wieszaj koszul za kołnierzyk, tylko za krawędzie, myj zawsze ręce przed jedzeniem...” – to niekończąca się litania upomnień, które według niej miały pozwolić mi dorosnąć i, co najważniejsze, przejść metamorfozę z ropuchy, jaką byłam, w urodziwe dziewczę. Podziwiałam Cornelię i Rosettę, którym stosowanie się do nauk mamy przychodziło z łatwością. Zupełnie jakby zostały zesłane na ten świat wyłącznie po to, aby zachwycać. Czasem podejrzewałam, że chowają pod spódnicami jakieś kompendium czy podręcznik dobrych manier, z którego korzystały w razie konieczności.

W każdym razie odnosiłam wrażenie, że ich plecy trzymały się zawsze prosto, w naturalny sposób, natomiast moje miały tendencję do permanentnego zaokrąglania się, równie niezdyscyplinowane jak burza niesfornych loków na mojej głowie, których nieład odzwierciedlał, jak uważała mama, mój wewnętrzny chaos.

Mimowolnie i bez specjalnej złośliwości codziennie łamałam dziesiątki jej zasad, a ona reagowała na każdą moją niesubordynację zawsze z tym samym podejściem, pełnym frustracji i dezorientowania. Wściekała się, przeklinała mój charakter, wyzywała mnie od chłopczyc, przywoływała swą świętej pamięci matkę, by przyszła jej z pomocą. Upokarzała mnie, ale w gruncie rzeczy widać było, że w pewnym sensie już się poddała. Nie żeby jej zasady były niemożliwe do zrealizowania albo żeby były zbyt skomplikowane, bym nie mogła wbić ich sobie na dobre do głowy. Podawałam je w wątpliwość, bezustannie i mimowolnie, nie z powodu przekory. Po prostu zachowanie damy nie było dla mnie naturalne.

W sumie chodziło, moim zdaniem, o mało istotne kwestie, dzięki którym na pewno nie stałabym się lepszą osobą, czyli bardziej cenioną przez innych ludzi. Kogo to mogło obchodzić, czy szurałam niedbale stopami albo opierałam łokcie na stole? Sama Margiala na pewno doskonale zdawała sobie sprawę, że jej zasady nie miały tak wielkiej wagi ani wpływu na bieg moich przyszłych dni. Stanowiły jednak jej sposób na narzucenie nam swojej wizji świata, były narzędziami, bez których jej

kontrola nad nami rozłukłaby się w drobny mak. Gdyby nie te reguły, stałaby się taka jak my – byłaby jedynie zagubioną wdową, sierotą, która straciła swego przewodnika.

Cornelia pochylała się nad ziemią, i patrzyła w skupieniu swoimi wielkimi, brązowymi oczami.

– Chodź, Diamante, zobacz! – Rozłożyła ramiona niczym mistrz ceremonii pokazujący swoim gościom pyszności, którymi zastawił stół.

Przetarłam wciąż jeszcze zaspane oczy, po czym przyklęknęłam obok niej i wyciągnęłam szyję, by przyjrzeć się temu cudowi.

Z ziemi wyrastało pięć maleńkich kielków, ułożonych w idealnie równych odstępach i tworzących krąg okalający tę wielką, ciemną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś rósł oleander.

– Niesamowite – mamrotałam, drapiąc się po głowie.

Moja czupryna odrosła i, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, rozczochrane i zaniedbane kędziory zmieniły się w idealne loki. Mamie, choć wcale nie miała takiego zamiaru, udało się ujarzmić moje dotąd niesforne i potargane włosy. Siegały tylko do ramion, ale nauczyły się wreszcie układać we właściwą stronę.

– No właśnie! Jak to możliwe? Trzeba powiedzieć o tym mamie. Oleander wydał na świat pięć małych istotek. Ej! Pomyśl, Diamante, po jednym oleandrze dla każdego z nas. To nie może być prawda!

– Zdecydowanie nie może. Doskonale pamiętam, jak mama zniszczyła ten biedny krzew. Wyrwała go razem z korzeniami. Nie mogę tego pojąć.

Dołączyła do nas również Tommaso, strzygąc wąsami i strosząc sierść, jak wtedy gdy wyczuwała w powietrzu coś dziwnego. Zaczęła miauczeć złowrogo, wyginając grzbiet, gotowa do stoczenia pojedynku z wyimaginowanym przeciwnikiem.

– Nieznośny kocie, uciekaj stąd – huknęłam na nią, odganiając ręką. Otarła się o mnie, jakby chciała okazać skruchę, po czym popędziła za jakimś motylem albo ważką, zapominając już o bitwie, którą chciała stoczyć.

Chwilę później zobaczyłyśmy zbliżającą się mamę. Trzymała w ręku motyczkę, której używała zawsze do pielenia chwastów.

– Mamo, chodź coś zobaczyć!

– Czy wy nie macie dziś rano nic lepszego do roboty, niż podziwiać ogród?

Oparła motyczkę na ramieniu i poprawiła sobie chustkę na głowie. Nakładała ją zawsze, gdy pracowała w ogrodzie, ponieważ nie chciała, żeby kurz i ziemia osadzały się jej na włosach. Nam też kazała zawsze tak robić, ale pozostawałyśmy odporne na tę radę.

– Do diabła – mruknęła, otwierając szeroko oczy.

Odłożyła motyczkę na ziemię i pochyliła się, by dokładniej zlustrować te delikatne pączki.

– Ty cholerny sukinsynu – wybuchnęła, nie zważając na naszą obecność i na dobre maniery, których tak bardzo pilnowała.

Gdybym tylko spróbowała pozwolić sobie na wypowiedzenie podobnych słów, jej dłoń odbita na mojej twarzy zostawiłaby znak utrzymujący się co najmniej przez tydzień. Spojrzałyśmy na siebie z Cornelią i wymieniłyśmy się uśmiezkami.

– Z czego się cieszyacie? – zgañiła nas natychmiast, chwytając z powrotem motyczkę.

Wstała, podpierając się o swoje kolano, i zawiązała sobie o fartuch rąbek sukienki, żeby nie dotykała ziemi. Potem przystąpiła do wrywania chwastów, które wyrosły przy drzewku cytrynowym.

Przeraziłam się, bo przez chwilę wydawało mi się, że miała zamiar wyładować swoją wściekłość również na tych kruchych, dopiero narodzonych łądyżkach, ale w jej spojrzeniu nie wyczytałam nienawiści. Może mama też pokonała już ten etap, może była zmęczona ciągłym żywieniem urazy.

– Niech cię szlag trafi, cholerny sukinsynu – mamrotała po cichu, wyrываяc zielska. Zapewne miała nadzieję, że tego nie słyszymy. Co jakiś czas wybuchała sardonicznym śmiechem, jakby doskonale wiedziała, kto był sprawcą tego cudu.

– Mamo, ale jak to jest możliwe? – zapytała Cornelia, przybliżając się do niej.

– Ech, nie na wszystko można znaleźć wytłumaczenie. Niektóre rzeczy zdarzają się i już, trzeba je zaakceptować, czasem jako przekleństwo, a czasem jako dar.

Otarła sobie pot z czoła i wyrwała kolejny spory pęczek chwastów.

– No już, teraz zabierajcie się do pracy. Trzeba zrobić sporo swetrów, bo jak wiecie, matki wolą kupować je już wiosną i latem, żeby na przyszłą zimową porę były pod ręką. Idźcie, idźcie.

Oddaliłam się, pogwizdując i myśląc sobie, jak bardzo tata ucieszyłby się, gdyby mógł zobaczyć, że jego oleander zasiał swoje potomstwo. Tak, byłby naprawdę szczęśliwy.

Bardzo chciałam żeby mógł być świadkiem tego cudu, z dowolnego miejsca w niebie, w którym się znajdował.

Byłam pewna, że wtedy patrzyłby na nas i zaśmiałyby się tym swoim przekornym, ironicznym śmiechem, trzymając wykałaczkę albo zgaszonego papierosa w lekko otwartych ustach, jak prawdziwa gwiazda kina!

Siedziałam i rozwijałam kłębki bawełny, gdy mama przywołała mnie do siebie, wskazując na trzy ogromne dzbany.

– Zdołasz przynieść je całe z powrotem do domu?

Przytaknęłam zdecydowanie, ponieważ w jej pytaniu była nutka wyzwania, a mnie zawsze sprawiało przyjemność pokazywanie Margiali, że myliła się, wątpiąc w to, czy można było na mnie polegać. Uwolniłam się ostrożnie od wełnianych nici, którymi oplotłam sobie ramię, i zostawiłam w pełni skupioną Cornelię pochyloną nad drutami. Robiła właśnie sweterek dla jakiejś dziewczynki, w odcieniach różu i pomarańcza. Pomyślałam sobie wtedy, że byłaby idealną panią domu. Nie to co ja.

Zima już zaglądała do okien i powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Otuliłam szyję ogromnym turkusowym szalem, który Rosetta zrobiła specjalnie dla mnie. To był dzień targowy, więc postanowiłam wydłużyć sobie drogę i przejść przez plac. Lubiłam wdychać zapachy i napawać się kolorami niezliczonych kramów ustawionych wzdłuż pierzei placu oraz w jego środkowej, owalnej części. Grubiańskie głosy straganiarzy, chichot i pomrukiwanie kobiet prezentujących kosze wypełnione pysznościami.

Uwielbiałam kręcić się między stoiskami rybnymi emanującymi mdlącym fetorem. To właśnie sprzedawcy najgłośniej krzyczeli – wydawało się, że poranek targowy był dla nich językową paradą.

Ściskając w rękach trzy dzbany, przeciskałam się z trudem pomiędzy straganami z pomidorami, cebulami i ziemniakami. Kobiety z rumianymi policzkami przechadzały się, kręcąc niepokornie biodrami i trzymając w rękach koszyki wypełnione pachnącym chlebem, friselle i taralli. Jedna z nich, przejęta może zmęczeniem, jakie malowało się na mojej twarzy, poczęstowała mnie friselle. Gryzłam powoli, delektując się aromatem oliwy z oliwek.

Jeszcze dalej ciągnęły się kolejne, wypełnione różnymi dobrami wozy rolników, ustawione gęsto obok siebie, koło przy kole. Wszyscy zarabiali na swój codzienny chleb.

Idąc w stronę ulicy Chianche, minęłam grupę dobrze ubranych staruszków z melonikami na głowach, którzy dyskutowali przy wejściu do kawiarni. Przez otwarte drzwi wydobywał się na ulicę charakterystyczny aromat świeżo palonej kawy. Kilka osób spokojnie paliło papierosy, opierając się o murek, ale większość wydawała się zaniepokojona. Musiałam przejść obok nich, mimo że wstydziłam się paradować na oczach tylu mężczyzn. Wszyscy mogliby być moimi dziadkami, ale ja miałam już jedenaście lat, prawie dwanaście. Moje biodra, może z powodu kilku nadmiernych kilogramów, nabrały zaokrąglonych kształtów, a piersi, choć jeszcze malutkie, tworzyły już miękkie i delikatne wybrzuszenia. Wiedziałam, że przez sukienkę i płaszcz nie było nic widać, ale i tak onieśmielał mnie fakt, że moje ciało się zmieniało.

– Zdaje się, że Mussolini wejdzie w tę wojnę – usłyszałam z ust jednego z mężczyzn obdarzonego długim, haczykowatym nosem i miniaturowym podbródkiem. Był chudy jak szkap.

Słowa te nieuchronnie rozdzwoniły mi się w uszach. W moim domu rzadko rozmawiało się o takich sprawach, o polityce. Zwłaszcza o duce. Wiedziało się, że istniał, i tyle, i że trzeba było mieć się na baczności.

Kiedy tata jeszcze żył, od czasu do czasu zdarzało mu się poprzeklinać Mussoliniego, ale mama natychmiast posyłała mu karcące spojrzenie, to które mówiło, że o pewnych rzeczach nie powinno się rozmawiać, a już szczególnie nie powinniśmy tego słuchać my, dziewczynki.

Pognałam prosto przed siebie, ale zdecydowałam, że kiedy wrócę do domu, spróbuję wypytać o wszystko mamę. Pomyślałam sobie, że jeśli miałyby być wojna, to ona na pewno wolałaby o tym wiedzieć, żeby móc się przygotować na tę okoliczność.

Przyspieszyłam kroku, ponieważ nie czułam już rąk. Na palcach utworzyły się wielkie, purpurowe pierścienie. Zegar na dzwonnicy wskazywał godzinę jedenastą. Brakowało mi tchu, a musiałam jeszcze pokonać cały labirynt wąskich uliczek biegnących wokół starego zamku i przejść ulicę Bonifaccio, zanim dojdę na placyk z pompą. Przywitałam się skinieniem głowy ze starym Drzazgą, po czym przeszłam obok białego domku staruszki Paoliny. Zauważyłam, że nie siedziała jak zwykle na swoim ulubionym krześle postawionym przed wejściem do zrujnowanego domu, i serce zamarło mi na myśl, że może od czasu, gdy byłam ostatnio w tych okolicach, odeszła już z tego świata.

Zanim doszłam do pompy, ujrzałam pulchnego mężczyznę w sztruksowej kurtce toczącego się w moją stronę. Miał okrągłą twarz, tak czerwoną, jakby dopiero co napił się wina, i sprawiał wrażenie mężczyzny prymitywnego, i nieznanego dobrych manier. Spróbowałam uniknąć zetknięcia z nim, przechodząc na drugą stronę ulicy, ale on stanął mi na drodze, rozkładając ramiona tak, że nie mogłam przejść. Chcąc nie chcąc, musiałam stanąć. Mój wzrok spoczął na jego dłoniach. Palce miał grube jak kielbaski, czarne i długie paznokcie. Gdy mu się dokładniej przyjrzałam, uznałam, że był rolnikiem. Choć równie dobrze mógł być zwykłym włóczęgą.

Dreszcz przebiegł mi po plecach i zaczęłam nerwowo rozglądać się w obie strony w poszukiwaniu jakiegoś żywego ducha.

– Ty jesteś Diamante?

„Skąd on mnie zna?” – myślałam gorączkowo. Z pewnością nigdy w życiu go nie widziałam. Zapamiętałabym takiego obscurnego typu.

– Jesteś siostrą Rosetty?

„O co mu, do diabła, chodzi?” – zastanawiałam się. Zwróciłam uwagę, że starał się nadać swojemu głosowi łagodniejszy ton, gdy zadawał mi te pytania, może chcąc dostosować go do mojego młodego wieku, żeby mnie nie wystraszyć. Może był po prostu przyjacielem Rosetty, ohydny brzydalem, ale o szlachetnym sercu...

– Pozdrów ją od mojego brata, Domenica – powiedział, po czym zszedł mi z drogi i poszedł w swoją stronę.

Odetchnęłam z ulgą i postawiłam dzbany na ziemi. Moje ręce były sine, a palce spuchły niemiłosiernie. Spotkanie tego mężczyzny wprowadziło mnie w niemałe zakłopotanie. Spowodowało, że ogarnęły mnie lęk i obrzydzenie. Pomyślałam, że nigdy nie będę chciała wyjść za mąż.

Pomimo panującego chłodu byłam cała spocona. Nie mogłam doczekać się powrotu do domu, opowiedzenia o wszystkim, co mi się przytrafiło, i pozbycia się tego nieprzyjemnego uczucia, które wywołał we mnie mężczyzna o palcach jak kielbaski. Obserwowałam jego ogromną sylwetkę, jak stopniowo się oddalała, aż stała się jednym z wielu ciemnych punkcików, które wypełniały ulicę o tej porze dnia. Dopiero wtedy, gdy już zupełnie znikł mi z oczu, mój oddech odzyskał swój regularny rytm. Chwyciłam dzbany i udałam się w stronę pompy.

Jak wyglądał? – zapytała Rosetta, gdy tylko zrelacjonowałam jej to nieprzyjemne spotkanie. Słuchając mnie, przybrała zmartwiony wyraz twarzy.

– Był okropny. Bałam się. Wysoki, ogromny, z barczystymi ramionami, które nie pasowały do reszty ciała. Miał dłonie jak kielbaski i wypieki na twarzy. Wyglądał jak typ spod ciemnej gwiazdy, choć miał dość miły głos.

Margiala chodziła w tę i z powrotem po korytarzu, stukając ciężkimi sandałami, jak zawsze, gdy nad czymś się skupiała. Od czasu do czasu drapała się po czole, dokładnie w miejscu, gdzie przechodziła niebieskawa żyła przecinająca skroń nieregularnym szlaczkiem, aż do linii włosów, która intensywnie pulsowała, gdy mama się na coś wściekała. Teraz jednak żyła pozostawała w spokoju, ledwo widoczna, płaska i delikatna jak cienka, wiotka lina.

– Ja nie znam żadnego takiego typu – powtórzyła dobitnie dwa razy Rosetta, raz mówiąc sama do siebie, a drugi – zwracając się do mamy, tak mi się przynajmniej wydawało.

Wzruszyłam ramionami. Przekazałam tylko wiadomość, niech Rosetta robi sobie z tym, co chce. Po jakimś czasie kręcenia się w kółko mama oparła się ramieniem o kredens i zaczęła masować sobie podbródek.

– To musi być Domenico „Białe Oko”. Jestem tego pewna.

– Białe Oko? – zapytałam przerażona, wyobrażając sobie, jak mógł wyglądać mężczyzna o takim przydomku. – Co to znaczy, mamo?

– Ale nie, Diamante, nie chodzi o to, że ten Domenico ma naprawdę białe oczy. Jego dziadek miał okropny wypadek na koniu, po którym oślepl na jedno oko. Od tamtego dnia wszyscy mężczyźni w jego rodzinie, tak synowie, jak i wnuki, noszą ten straszliwy przydomek.

Czasami zapominałam o tym absurdalnym zwyczaju nadawania wszystkim ludziom przydomków, dzięki którym od razu można było rozpoznać ich pochodzenie. Były jak spadek dziedziczony zamiast pieniędzy lub herbów.

Cieszyłam się, że tata był znany jako Valenti, bo to znaczyło tyle co utalentowany. A to oznaczało, że również Giuseppe i Francesco będą kojarzeni z tym nazwiskiem. Nie było ono wcale takie złe w porównaniu z paskudnymi przydomkami, jakie czasem się słyszało.

A mnie? Jak będą mnie nazywać inni, gdy już dorosnę? Zastanawiałam się chwilę. Zapewne rola, jaką odgrywała moja matka, wpłynie na to, jak będą postrzegać mnie i moje siostry. Może będziemy zapamiętane jako małe margiale, córki czarownicy. Najprawdopodobniej, gdyby nie jej czarny cień rozpościerający się nad nami i znaczący bieg naszych losów, przeszłybyśmy przez życie niezauważone.

Wyobraziłam sobie tego Domenica jako szkaradnego typu, niezdarnego i kobylastego jak brat, którego poznałam, o prostackim sposobie bycia i łagodnym tonie głosu.

– Domenico „Białe Oko” ? Czego on może ode mnie chcieć?

Rosetta zrobiła poirytowaną minę i zmarszczyła nos w taki sposób, że zachciało mi się śmiać. Zawsze tak robiła, gdy coś wzbudzało w niej totalną obojętność albo jeszcze gorzej – wstręt.

– Znasz go? – zapytałam, wgrzyzając się w kiść winogron. Część soku spłynęła mi po kącikach ust i wytarłam je sobie ręką.

– Diamante, nigdy się nie zmienisz – zmroziła mnie wzrokiem mama.

Tym razem jednak przestała tylko na takim upomnieniu – jej głowę zaprzętało coś

ważniejszego niż wytykanie mi mało eleganckiego zachowania.

– Tak, znam go, ale w ogóle mnie nie interesuje – odpowiedziała, krzyżując ramiona na piersi i odwracając teatralnie głowę na bok.

Margiala znów zaczęła krążyć po pokoju. Teraz podpierała się jedną ręką w talii, drugą wciąż masując sobie podbródek. Była zamyślona. Nie wiem, co takiego straszno miał w sobie ten Domenico „Białe Oko”, że tak ją niepokoił.

Ta sprawa niezwykle mnie zaniepokoiła, więc zaczęłam pokładać się u stóp Rosetty, błagając, by mi go opisała.

– Co mam ci powiedzieć? Strasznie jesteś ciekawska. To normalny chłopak, bez talentu i bez pieniędzy. Na pewno nie taki, którym mogłabym być zainteresowana.

Ten opis ani trochę nie zaspokoił mojej ciekawości. Chciałam wiedzieć, czy był wysoki, gruby, czy chudy, z jasnymi, czy ciemnymi oczami, pulchną, czy smukłą buzią. Ja nie byłam chyba taka powściągliwa, gdy opowiadałam jej o mężczyźnie, który zaszedł mi drogę.

– Dobrze, dobrze – wybuchnęła nagle mama, jakby była już zmęczona błędzeniem w myślach. Zaczęła krzyczeć piskliwym głosem, wyrzucając z ust natłok słów, może próbując uwolnić się od tego okropnego zmartwienia. – Ach... Zostawmy już w spokoju tego Domenica i jego brata. Może po prostu mu się nudziło i postanowił cię zaczepić. Może jest zwykłym głupcem, który nie ma co robić. Mało takich włóczęgów na świecie? Aż za wielu, naprawdę. Nie zwracajmy już sobie tym głowy. Trzeba wracać do roboty. Cornelia wciąż jeszcze robi na drutach i na pewno potrzebuje pomocy. Dziecko śpi. Ty, Diamante, pomożesz mi w kuchni. Wasz brat powinien niedługo wrócić i na pewno będzie bardzo głodny.

Byłam wciąż zajęta jedzeniem winogron, a moje myśli skupiały się na wyobrażeniu sobie tej dziwnej, niekształtnej twarzy, jaką musiał mieć „Białe Oko”, kiedy zdałam sobie sprawę, że zapomniałam przekazać najważniejszą wieść. Tę, za którą Margiala na pewno byłaby mi wdzięczna.

– Ach, mamo, jeszcze jedno – rzekłam, odwracając się z powrotem w jej stronę. Już po tych słowach posłała mi złowrogie spojrzenie, i tak była na mnie zdenerwowana, że wydłużyłam drogę i przeszłam przez główny plac. – Jacyś mężczyźni na targu mówili, że chyba będzie wojna. Pomyślałam, że wolałabyś o tym wiedzieć.

Potem odwróciłam się na pięcie i podążyłam do kuchni, zupełnie nieświadoma bomby, jaką właśnie podłożyłam, pełna słodkiej niewiedzy, z jaką dzieci podchodzą nawet do najbardziej przerażających rzeczy.

Natomiast Rosetta, która już od jakiegoś czasu miała za sobą okres dziecięcej niewinności, natychmiast pobladła na tę wiadomość, która doszła do niej, gdy wspinała się już po schodach, by dołączyć do Cornellii w jej warsztacie krawieckim, czyli w rzeczywistości w naszej sypialni zaadaptowanej na miejsce pracy.

Poszłam do kuchni, wciąż przeżuując winogrona. Mama nieznacznie zwolniła kroku, jakby ciężar tej informacji spadł na nią niespodziewanie z nieba, przygniatając ją.

Zacisnęła pięści, które trzymała na wysokości pasa, a cieniutka żyła na skroni zaczęła wyraźnie pulsować, powiększając się i poruszając z niezwykłą szybkością.

– To zapewne tylko plotki – rzekła w końcu, ale wydawało mi się, że jej głos drżał. – Tylko taka targowa gadanina. Gdzie tam wojna... – Po chwili znów zaczęła krążyć po pokoju szybkim krokiem.

Przygotowałyśmy z mamą duszoną kapustę z marchewką, cebulą i selerem. Nie lubiłam kapusty, ale Margiala nie chciała słuchać żadnych wymówek. Wiedziałam, że specjalnie nakładała mi na talerz zawsze większą ilość tego, za czym nie przepadałam, może żeby mnie sprowokować albo po prostu, żeby pokazać, kto tu rządzi. To było epatowanie władzą w czystej formie.

Udawałam, że napawam się cudownym zapachem tej potrawy. Wiedziałam już, że ogromne ilości chleba maczanego w sosie pomogą przewyciężyć wstręt do kapusty. Mimo tego, że niewiele rzeczy naprawdę mi smakowało, apetyt miałam wilczy. Jadłam jednak za dużo chleba, który był jedyną rzeczą, jakiej w naszym domu nigdy nie brakowało. Czasem dla zwykłej rozrywki albo z nudów, a nie z powodu rzeczywistej, fizycznej potrzeby. Może chciałam w ten sposób wypełnić jakąś wewnętrzną pustkę, zaspokoić jakiś duchowy głód, pokonać głęboką, czarną otchłań, która otworzyła się gdzieś w środku mnie, nie wiadomo dlaczego.

Z tego powodu miałam dosyć nieproporcjonalną sylwetkę. Moja pupa była zdecydowanie za duża, jak na mój wiek, a uda, tak samo jak łydki, wyjątkowo pulchne. Nie miały nic wspólnego z pełną gracji smukłością Rosetty czy Margiali ani wyrafinowaną szczupłością Cornellii przypominającej nimfę. Wydawało się jednak, że tylko ja miałam z tym problem, ponieważ nawet mama, która zwykle napawała się sprawianiem przykrości innym, nie wyrzucała mi nigdy moich zbędnych kilogramów.

Był to aspekt, który zaczął nabierać dla mnie większego znaczenia dopiero w ostatnim czasie – odkąd zdałam sobie sprawę, że ja też byłam kobietą, albo lepiej: że kiedyś stanę się prawdziwą, dorosłą kobietą jak mama albo Rosetta. Myśl o tym wydawała mi się odpychająca i budziła we mnie lęk. Staralam się jak najbardziej opóźnić ten moment, opierając się wszystkim, co uważało się za wpisane w bycie kobietą. Trudy, upokorzenia i wszelkie inne przykrości, które stawały się naszym udziałem od wieków.

Chciałam również, żeby mój biust się nie powiększał i mógł być zawsze schowany pod sukienką niczym dwa guziczki; marzyłam, by ukryć kołyszący się ruch bioder, opóźnić udręki, cierpienie i ból.

Cornelia wyjaśniła mi, że z ciałem kobiety raz w miesiącu dzieje się coś dziwnego. Piersi stają się twarde i bolą przy dotyku, dostaje się okropnego bólu brzucha, który czasem nie pozwala podnieść się z łóżka i, przede wszystkim, z „tamtego miejsca” zaczyna lecieć krew. Kiedy mi to obwieściła, struchlałam. Mama nigdy nie mówiła mi o niczym podobnym.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Bo już mi się to przydarzyło. Za pierwszym razem płakałam przez całą noc, myśląc, że umieram. Całe moje majtki i nawet prześcieradło były we krwi, która wcale nie chciała przestać lecieć, tak jak nie chciał ustać przeszywający ból, i tak przez kilka dni.

Parę razy przełknęłam nerwowo ślinę, a potem zerwałam się instynktownie i spuściłam majtki, przyglądając się mojemu ciału i oddychając z ulgą, gdy uświadomiłam sobie, że na mnie jeszcze nie przyszedł czas.

– Ale skąd wiesz, że wszystkim się to zdarza? Skąd możesz być pewna, że to nie jest jakaś choroba?

– Mama powiedziała, że to normalne, że w moim wieku to się przydarza wszystkim. Potem Rosetta wytłumaczyła mi, że to oznacza przemianę w dorosłą kobietę, że od tej konkretnej chwili trzeba się mieć na baczności i, pewnie nie uwierzysz, ale to właśnie przez tę krew kobiety mogą

rodzić dzieci.

– Ale mieć się na baczości przed czym?

– Tego nie wiem. Mieć się na baczości i już.

Spojrzałam na nią zdeorientowana, ponieważ ten temat wydawał mi się coraz bardziej skomplikowany, a na pewno nie mogłam oczekiwać wyjaśnień od Margiali. Obiecałam sobie jednak, że zgłębię tę kwestię, ponieważ, skoro moje ciało miało krwawić, to chciałam wiedzieć, z jakiego powodu. Rosetta – to ją powinnam o wszystko zapytać.

Wyczyściłam dobrze talerz, tak jak to sobie wymyśliłam, ogromnymi ilościami chleba, podczas gdy Rosetta przegryzała drobnutki kęsy, wciąż jeszcze poruszona opowieścią o spotkaniem przeze mnie mężczyźnie. Co jakiś czas podnosiła wzrok i obserwowała mamę, daremnie oczekując od niej jakiejś odpowiedzi. Margiala nie mogła zawsze wszystkiego wiedzieć, musiałyśmy się z tym pogodzić.

– Słyszałaś, żeby ludzie coś gadali? O wojnie? – zapytała mama, zwracając się do Giuseppe.

Wojna należała do męskich spraw, więc na pewno musiał coś wiedzieć, jeśli rzeczywiście coś wisiało w powietrzu.

– O wojnie? – Przełknął duży kawałek twardej skórki od chleba. – Ja nic nie słyszałem. Dlaczego o to pytasz?

– Ot tak. Twoja siostra powiedziała, że na targu ktoś coś takiego gadał.

– I co mówili?

Otworzyłam usta, gotowa odpowiedzieć, ale Margiala uciszyła mnie skinieniem ręki i sama kontynuowała rozmowę.

– Że Włochy też wezmą udział w tej wojnie.

– U nas, na budowie, mężczyźni mają inne tematy do rozmowy – spojrzał na Rosettę, puszczając do niej oczko. Potem wybuchnął szczerym śmiechem.

Mama uspokoiła się i pomyślała, że dopóki mężczyźni zajmowali się jedynie rozmowami o dziewczętach, na widok których się ślinili i tracili głowę, dopóty można było spać spokojnie. Zamknęła ten temat i zaczęła sprzątać ze stołu. Tego dnia nie było już nic więcej do jedzenia.

– Ja będę musiała wyjść po południu – ogłosiła po chwili, układając sztućce w zlewie. – Synowa kumy Nenny będzie niedługo rodzić. Rosetto, zajmij się przydzieleniem pracy siostram.

Potem zdjęła fartuch i wyszła pośpiesznie, poprawiając sobie kok czubkami palców.

– Ja też wychodzę – rzucił Giuseppe, który nie mógł wytrzymać w spokoju ani w otoczeniu samych kobiet, bez taty.

– A ty rośnij szybko – powiedział, zwracając się do malca, który spał na poduszce położonej na jednym z krzesel – to pokażę ci świat.

To zdanie uderzyło mnie jak cios wymierzony prosto w twarz.

„Pokażę ci świat”! Co to miało oznaczać? Jak wyglądał świat widziany oczami mężczyzny? Pytania te przetaczały mi się przez głowę z taką szybkością, że aż zaczęło mi pulsować w skroniach. Narastała we mnie frustracja z powodu tego, co nie było mi dane. W środku cała się gotowałam, wykręcało mi kiszki. Ogarnęło mnie ogromne poczucie niesprawiedliwości, które ścisnęło mnie w piersi.

Ja przynajmniej dostąpiłam tego szczęścia i zobaczyłam morze. Margiala wciąż się upierała, że nie chce go widzieć. Czy mogła się czegoś bać? Może tego, że nie spełni jej oczekiwań?

W końcu przestałam się zadreć pytaniami i poszłam zmywać naczynia. Cornelia wzięła miotłę i zaczęła zamiatać w kuchni, podczas gdy Rosetta napełniała kubek wodą.

– Idę zmyć na zewnątrz – oznajmiła.

Tymczasem ja, już zupełnie spokojna, zaczęłam bawić się z bratem. Miałam jednak pewność, że mama mnie obserwuje. Dobrze wiedziała, że turbulencje w mojej głowie były jak dynamit, wprawiały mnie w dziwny nastrój i czyniły niewiarygodnie niestabilną. Margiala zapewne przeczuwała, iż przyjdzie kiedyś taki moment, że nie będzie w żaden sposób mnie ujarzmić.

Wykorzystując nieobecność Rosetty, zaproponowałam Cornelii, żebyśmy zmierzyły się we wstrzymywaniu oddechu pod wodą. Bardzo lubiłam tę zabawę, bo mogłam wtedy pokazać, że przynajmniej w jednym byłam lepsza od niej.

– Poćwiczmy przed latem – powiedziałam, szturchając ją w ramię.

– Tak, ale wiesz przecież, że mam do zrobienia jeszcze dużo swetrów – próbowała się wykręcać.

– Później je zrobisz. No chodź, tylko pięć minut.

Nalałyśmy wodę ze studni do dwóch balii, tych, których mama używa do prania chusteczek i majtek. Te większe przechowywałyśmy razem z bukłakami oliwy, na podwórku, na które wychodziły okna sypialni. Trzymałyśmy je przykryte moleskinem, ponieważ nie były używane aż do nadejścia wiosny. Dopiero wtedy, kiedy powietrze się ocieplało i stawało się bardziej zachęcające, Margiala zanurzała nas w wodzie i tak mocno szorowała mydłem, że za każdym pociągnięciem czułyśmy schodzące warstwy skóry. Tarła tak, że na powierzchni wody unosiło się mnóstwo szarawej piany, a ja i Cornelia mówiłyśmy, że to nasza skóra, która odeszła od ciała. Czasem wystarczał tylko popiół i to były kąpiele, które lubiłam najbardziej.

Zimą natomiast myłyśmy się, masując ciało zamoczoną w ciepłej wodzie gąbką, smarowałyśmy się olejkami migdałowym, w szczególności brzuch i dekolt, żeby zmiękczyć skórę, i dwa razy w miesiącu wcierałyśmy oliwę z oliwek we włosy, aby je wygładzić. Oczywiście na moje kędziory nigdy to nie działało, dopóki Margiala w barbarzyński sposób mnie ich nie pozbawiła!

– Gotowe, do biegu, start! – zarządziłam rozpoczęcie zawodów.

Miedziane włosy Cornelii zaplecione były w długi warkocz. Ja miałam chustkę na głowie. Nie zamykałam oczu, gdy zanurzyłam twarz w wodzie, ponieważ dzięki temu mogłam bardziej wyostrzyć zmysły, lepiej wsłuchać się w oddech.

„Jeden, dwa, trzy” – odmierzałam w myślach sekundy dzielące mnie od zwycięstwa. Doliczyłam do dziesięciu, gdy Cornelia zaczęła przywoływać mnie swoim krzykiem. Jej głos był tak wzburzony, że nie mógł wynikać jedynie z przegrania podwodnych zawodów.

– Wyłaż, Diamante. Szybko!

Podniosłam głowę i napawając się swoim triumfem pozwoliłam, żeby krople wody spływały mi po swetrze.

– To Rosetta. Słyszysz ją?

W jednej chwili moje zadowolenie ustąpiło miejsca różnym odcieniom strachu. Z ulicy dobiegały wyraźnie wrzaski naszej siostry. Nie zważając na swoją mokrą twarz, rzuciłam się do biegu. Pewnie z powodu tych wszystkich hałasów obudził się również mały Francesco, który teraz zaczął płakać, dopominając się jedzenia.

– Musisz się uzbroić w cierpliwość, malutki – powiedziałam, przytulając go do siebie.

On zaczął kręcić nosem, którym dotykał mojego mokrego swetra, ale wydawało się, że mu się to podobało, bo prawie od razu przestał łkać.

Zobaczyłam go wyraźnie. Rozwichrzone wiatrem włosy, purpurowe policzki, ogromne, szorstkie dłonie, które zaciskały się z siłą na ramieniu mojej siostry. A właściwie wystarczała mu do tego tylko jedna dłoń, podczas gdy w drugiej dzierżył lejce, którymi przytrzymywał w miejscu dwa konie. Po drugiej stronie siedział szczupły młodzieniec, ubrany w brązową, aksamitną kurtkę, spod której wystawał sweter z surowej wełny, dość słabej jakości, jakiego na pewno moja siostra nigdy by nie

zrobiła.

Miał owalną twarz i malutki podbródek. Nie żeby był jakoś szczególnie brzydki, ale sprawiał wrażenie człowieka całkowicie pozbawionego emocji. On też przytrzymywał Rosettę, ale w inny sposób, prawie tak, jakby bał się zrobić jej krzywdę.

To musiał być Domenico „Białe Oko”, razem ze swoim obrzydliwym bratem. Zaczęłyśmy krzyczeć. Obie dostrzegłyśmy w jasnych oczach Rosetty, że ona też była przerażona.

Zaniepokojeni hałasem sąsiedzi zaczęli wychodzić na ulicę.

– Dobry Boże, toż to Rosetta! – wykrzyknęła któraś z kum.

– Zabierają ją. Trzeba zawołać Margialę. Biegnijcie po Margialę!

Cornelia wybuchła płaczem, podczas gdy konie zerwały się do galopu, jakby zwierzęta też przeczuwały panującą grozę.

Typ, który zatrzymał mnie w pobliżu pompy, zmierzył mnie ponurym wzrokiem. Nie zrozumiałam, czy w jego oczach był wtedy żal, czy satysfakcja, że ich przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem.

Przytuliłam się do Cornelii i płakałyśmy razem, ponieważ właśnie wtedy po raz pierwszy zrozumiałyśmy, jak gorzkie może być życie kobiety.

Moje serce przepęłniło się nieznośnym żalem, a wylane łzy nie były w stanie uśmierzyć bólu. Ogarnęło mnie głębokie, rozdzierające poczucie straty, inne niż to, jakiego doświadczyłam po śmierci Pietra i taty. Wiedziałam, że Rosetta żyła i że to ludzka nikczemność mi ją odebrała.

W tym momencie nienawidziłam wszystkich mężczyzn. Czułam też zimno, przeszywające zimno. Instynktownie odsunęłam się od Cornelii i zaczęłam biec za wozem w kłębach kurzu, wciąż trzymając dziecko na rękach. Ale nie mogłam już nic zrobić, bo konie pędziły zbyt szybko.

– Rosetta! – krzyczałam, podczas gdy ciemna sylwetka znikała w wąskich uliczkach.

Łzy żłobiły coraz głębsze, białe rysy na mojej oliwkowej skórze, a Francesco bawił się, gładząc je swoimi małutkimi palcami zakończonymi idealnymi paznokietkami, jakby chciał ukoić mój ból.

Kumy zebrały się wokół mnie i Cornelii.

– Trzeba koniecznie powiedzieć o wszystkim Margiali! – wykrzyknęła kuma Nenna.

Zaniósłam brata z powrotem do domu. Był głodny, a przez to stawał się rozdrażniony. Przygotowałam trochę miąższu z chleba podgotowanego w wodzie. Wyjadał go łapczywie z łyżeczki, rozglądając się na boki oszołomiony w poszukiwaniu jakiejś znajomej rzeczy lub twarzy. Zazwyczaj to Rosetta zajmowała się karmieniem Francesca, robiła to o wiele częściej niż mama.

Zjadł wszystko, ale wydawał się zaniepokojony. Może nie ufał do końca jedzeniu, które podsuwałam mu pod nos.

– Co za drań – Margiala weszła, kopiąc w drzwi wejściowe i głośno złorzecząc. Była wściekła, że nie zapobiegła temu zdarzeniu.

Rozpuściła kok. Jej twarz była napięta i zmęczona. Obserwowałam każdy jej ruch w nabożnym skupieniu.

– Mamo, co teraz będzie z Rosettą? – Oczy Cornelii były wciąż pełne łez, gdy zadawała to pytanie.

– A co ma być? To, co czeka wszystkie kobiety, szczególnie jeśli są tak piękne jak wasza siostra. Teraz będzie musiała wziąć ślub.

„O co tu chodzi, do diabła?” – pomyślałam. Jak można było zmuszać Rosettę do poślubienia tego okropnego gamonia, który zabrał ją ze sobą siłą?

– Kto wie, gdzie ją zawiozą – mówiła dalej mama, mierząc długość korytarza swoimi krokami, fioletowa ze złości. – A gdy już minie noc, los waszej siostry będzie przesądzony. Ja już wtedy nie będę mogła nic zrobić, mimo że jestem jej matką. To Domenico „Białe Oko”, ten kowal od siedmiu boleści, będzie miał prawo decydować o życiu Rosetty. Będzie musiała go poślubić, by nie zostać na zawsze zhańbioną.

Nie wiem, czy mama adresowała te nedorzeczne słowa do nas, czy mówiła sama do siebie, aby przekonać się, że wszystko właśnie tak się potoczy. Że właśnie tak kręcił się ten świat.

Tamtego wieczoru Margiala wcześniej poszła do swego pokoju, prawie wcale nie tykając jedzenia, które przygotowałyśmy razem z Cornelią. I jak to było w zwyczaju, przyjęła całą procesję kum. Wszystkie żądały wieści o nieszczęściu, jakie spotkało jej najstarszą córkę.

Podeksytowane głosy kobiet dochodziły do nas przytłumione i zakłócone silnymi powiewami wiatru, który szalał na podwórku. Można było jednak wychwycić kilka słów mamy, całkowicie pozbawionych żalu czy rozpaczy. Przerazająco zimnych.

– W gruncie rzeczy może wyjdzie jej to na dobre. Nie będzie miała źle – usłyszałyśmy głos kumy Nenny.

Wymieniłyśmy się z Cornelią spojrzeniami, patrząc sobie prosto w oczy w milczeniu. Czy nas również to czekało? Byłam przekonana, że obie zadawałyśmy sobie te pytania.

Na pewno o to właśnie chciałabym zapytać, ale nie zrobiłam tego z obawy, że może Cornelia знаła już tę okrutną prawdę, tak samo jak było z kwestią miesiączki.

Nie chciałam, żeby jakiś nieznajomy prostak porwał mnie, ot tak, w biały dzień, aby potem zaprowadzić mnie przed ołtarz. Ja nawet nie chciałam nigdy stanąć przed ołtarzem, chciałam być wolna.

Przez jakiś czas siedziałam blisko drzwi do sypialni mamy, oparta o ścianę, bezwładna. Byłam pewna, że Margiala mogła mnie widzieć z miejsca, w którym się znajdowała. Siedziała na krześle przed lustrem i obserwowała swoje smutne odbicie. Ale nic nie mówiła i ja też nie zdecydowałam się odezwać do niej ani słowem.

W jakimś sensie czułam się jak intruz, ponieważ naruszałam jej chwilę samotności, ale myślę, iż ona rozumiała, że wtedy potrzebowałam być tam i po prostu się jej przyglądać, dzielić z nią ból. To właśnie ból sprawiał, że mama wydawała się bardziej ludzka, łagodna.

Margiala odwróciła się raz, aby na mnie spojrzeć, i prawie drgnęła, jakby targana spazmami. Jej oczy były wilgotne, chociaż po policzkach nie spływały łzy.

Giuseppe zareagował na to, co się stało, z takim samym lekceważeniem, z jakim podchodził do wszystkich innych spraw. Kiedy mama wytłumaczyła mu, jaki los czekał naszą siostrę, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nią zdezorientowany. Stał przy stole nakrytym już do kolacji. Wpatrywał się w nieobecne, smutne oczy Margiali, po czym przeniósł wzrok na mnie i na Cornelię. W końcu chwycił kawałek chleba i wgryzł się w niego pazernie.

– W gruncie rzeczy to dobry człowiek. Nie będzie jej z nim źle – powiedział i uznał temat za zamknięty.

CZĘŚĆ VI
WOJNA

Rok później...

Pierworodny syn Rosetty przyszedł na świat ponurego wieczora, który nie mógł zapowiadać nic dobrego. Rozpętała się straszliwa burza – jedna z tych, które czasem zrywają się wiosną – zapowiadana przez stopy śmieci niesionych przez wiatr oraz głęboki i tępy gwizd, rozbrzmiewający w powietrzu jak przestroga przed tym, by nie wychodzić z domu.

– To znak od Boga, który nie był przychylny temu małżeństwu – wymamrotała pod nosem mama, wypływając łupinki bobu do zlewu.

Nadgryzała je szybkim ruchem, dwa albo trzy naraz, a wtedy słodkie, mięsiste ziarenka prześlizgiwały się pomiędzy jej wargami. Potem wypływała pozostałą w ustach skórkę. Kiedy się tak zachowywała, wyglądała jak mężczyzna. Obserwując ją, przestawałam się dziwić moim chłopięcym zachowaniom, w końcu byłam jej córką.

Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak Margiala przewidywała. Nazajutrz po porwaniu Domenico „Białe Oko” pojawił się w naszym domu w towarzystwie swego ojca, który poręczył za dobre intencje syna.

– To dobry i pracowity chłopak – rzekł gromkim głosem, podciągając sobie pas spodni. – Zapewniam, kumo Anito, że twojej córce, Rosecie, nie będzie niczego brakowało.

Mama poczęstowała ich okrągłymi sucharami z pomidorami i oregano, które macza się w wodzie, oraz kieliszkiem wina. Usiadła i od razu wzięła łyk trunku, pochyliła się do przodu, przyjmując waleczną pozycję, i wciąż napinała mięśnie trzymanej wzdłuż uda ręki, w gotowości do ataku.

Ale dobry, stary „Białe Oko” był łagodnym typem i nie miał najmniejszego zamiaru wchodzić w spory ani wnosić jakichkolwiek roszczeń.

– Nawet jeśli dziewczyna nie ma posagu, to dla nas bez znaczenia, jej uroda jest wystarczającym darem dla mojego syna – dodał po cichu, wyobrażając sobie, że wdowie z pięciorgiem dzieci na pewno się nie przelewa.

Mama wyczytała jednak w tych słowach zniewagę. Jej twarz nabrała pąsów, trochę ze złości, a trochę z powodu wypitego wina.

– Oczywiście, że moja córka ma posag, i to jaki. Co pan sobie myśli? Że skoro jestem wdową, to nie stać mnie na wiano dla Rosetty?

– Ależ nie, kumo Anito, nie to miałem na myśli. Sądziłem tylko, że... – przerwał w środku zdania, ponieważ twardy kawałek suchara stanął mu w gardle i ledwo co udało mu się przełknąć ślinę.

Pomyślałam, że to pewnie Margiala rzuciła na niego jakiś urok, który zadziałał wyjątkowo szybko. Rosetta przez cały ten czas stała w rogu, cichutko popłakując i nie wążąc się powiedzieć ani słowa.

Zaciskała mocno pięści z wściekłości i upokorzenia. Miała stracić swą wolność i prawo do marzeń na rzecz honoru. Zdawała sobie sprawę, że jeśli mama porozumie się z mężczyzną, nikt nie będzie mógł podać w wątpliwość jej godności. Gdyby zaś sprzeciwiła się małżeństwu, żaden mężczyzna nie zechciałby pojąć nieczystej dziewczyny za żonę.

Margiala dobrze wiedziała, że nie było już żadnego wyjścia, ktoś inny zdecydował o losie jej córki. Ona właściwie nie miała już nic do powiedzenia. Jediną pozytywną rzeczą w tym wszystkim był fakt, że „Białe Oko” zgodził się, żeby małżonkowie zamieszkali w wolnym pomieszczeniu, które tata wybudował naprzeciwko sadu. Był to tylko pokój sypialny z malutką kuchnią. To jedyne, o co

poprosiła mama, chcąc sprawić, by Rosetta czuła się mniej samotna.

Przez rok, jaki minął od „porwania”, przyglądałam się uważnie mojemu szwagrowi. Był to wyjątkowo dziwny, milczący i samotny typ. Niewiele razy miałam okazję usłyszeć jego głos i nawet wtedy zawsze z trudnością mogłam zrozumieć sens tego, co mówił, tak jakby wypowiedane słowa grzęzły mu gdzieś w gardle.

Jego wargi wydawały się miękkie jak guma i, gdy już starał się coś powiedzieć, każdą sylabę poprzedzały maleńkie strumyki śliny wydostające się z buzi – szerokiej i jasnej plamy na jego niezwykle ciemnej twarzy. Przyglądając się mu z bliska, stwierdzałam, że nie byłby wcale brzydki, gdyby nie ta wyjątkowa chudość jego twarzy. Już z daleka było widać, że to nie jest mężczyzna dla Rosetty.

Ona dumna i elegancka, a on mizerak, sama skóra i kości, bez wigoru.

– Przynajmniej ma dobre serce – powiedziała kiedyś Margiala, gdy moją siostrą targał kolejny przypływ gniewu.

– I co mi po jego dobroci. Jest zimny jak szklanka z grattamarianną.

Grattamarianna była specjałem, który można było skosztować jedynie w tych chwilach, gdy nasze okolice pokrywały się śniegiem. A w Carbonarze zdarzało się to wyjątkowo rzadko.

Zbierało się tę najbardziej czystą i puszystą warstwę śnieżnej pokrywy i mieszało się ją w szklance z odrobiną kawy, likieru albo syropu wiśniowego. Ja najbardziej lubiłam tę z syropem. Margiala zawsze miała gotowy słoiczek syropu w spiżarni, do dekoracji ciasteczek. Płyn wsiąkał w kryształki lodu, ocieplając je i nadając im wyśmienity smak.

W każdym razie, w wieczór porodu z nieba spadały kulki gradu wielkości dojrzałych czereśni. Mama zjadła ostatnie ziarenka bobu, wyjęła czyste ręczniki z szuflady w sypialni i podążyła żwawym krokiem w kierunku podwórka.

– To twój siostrzeniec. Chcesz zobaczyć, jak się rodzi, czy nie? – zapytała mnie, zatrzymując się w drzwiach.

– Ty też – zwróciła się do Cornellii – chcesz zobaczyć?

Spojrzałyśmy sobie z siostrą w oczy. Oczywiście, że obie chciałyśmy uczestniczyć w tym wydarzeniu, niesione niepohamowaną ciekawością. Przebiegłyśmy ten odcinek od wyjścia na podwórko do drzwi pokoju Rosetty, zakrywając sobie głowy starymi gazetami.

Moja siostra leżała na łóżku w swoim maciupkim pokoju i już zaczynała ciężko dyszeć. Jej mąż, wysoki i zasepiony, krążył po pokoju falistym krokiem, który z jakiegoś powodu przyprawiał mnie o mdłości.

– Ty lepiej stąd idź – zwróciła się do niego Margiala tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Popatrzył chwilę na nią, potem spojrzał przez okno na czarne niebo ciskające ogromnymi kulkami lodu. Wykrzywił usta w grymasie, jakby w wyrazie sprzeciwu, spróbował nawet coś powiedzieć, wydobywając z ust potok śliny. Mama jednak nie ustąpiła.

– Idź sobie, tutaj nic nie pomożesz – rzekła, podchodząc do niego.

Wziął płaszcz, poprawił melonik i wyszedł powolnym krokiem, tylko raz spoglądając na swą żonę coraz bardziej cierpiącą na ich małżeńskim łożu. W progu skinął lekko głową – to był chyba jego sposób na życzenie jej powodzenia.

Ogromne siwe chmury przesuwały się po niebie niesione silnymi porywami lodowatego wiatru, smagając ziemię gwałtownymi strugami deszczu i gradu. Doszedł nas głos Giuseppe, który przybiegł, gdy tylko dowiedział się o porodzie. Spróbował wejść do pokoju cały przemoczony, ale mama wściekła się również na niego.

– Ki czort! Nie macie gdzie się podziać?

– Widzę, że to nie najlepszy moment – powiedział zniechęcony. Podeszedł do łóżka Rosetty i uszczypnął ją czule w policzek, po czym też zanurzył się w czarną otchłań panującą na dworze.

Vincenzo urodził się w środku nocy. Cornelia i ja przysypiałyśmy już zwinięte w kłębek na karmazynowym fotelu stojącym obok łóżka. Zziębnięte i zmęczone, od czasu do czasu budzone głosem Margiali, która przeklinała Boga lub krzyczała, by przynieść jej gorącej wody, lub też pojękiwaniami Rosetty.

W tym czasie burza ustała, ale niebo nie zmieniło swego zatrwazającego i ponurego oblicza. Kiedy biegałam do kuchni, aby podgrzać wodę, słyszałam głosy Giuseppe i Domenica dochodzące z korytarza. Ich konwersacja ciągnęła się przez kilka godzin, po czym również w tej części domu zapanowała cisza.

Pomyślałam, że najwidoczniej mój szwagier nie miał problemów z wystawianiem się, gdy rozmawiał z mężczyznami, bo wtedy się nie jękał. Może to kobiety go onieśmiały. Ale jak można było się temu dziwić, skoro odkąd ożenił się z Rosettą, prawie zawsze w pobliżu znajdowała się władcza Margiala.

Kilka miesięcy przed przyjściem na świat Vincenza wybuchła wojna. Plotki z targu przemieniły się w czarną chmurę wiszącą nad naszymi głowami. Póki co przypominała ona jeszcze niewielką chmurę, która jednak musiała prędzej czy później przybrać bardziej namacalną formę i dać o sobie znać.

Kilka dni po narodzinach Vincenza wydarzyło się wiele różnych rzeczy, które na zawsze miały zmienić bieg historii.

Wszystko wokół mnie nabierało nowych kształtów, a na scenie mojego życia pojawiali się nowi bohaterowie. Pozostawałam sama na tej karuzeli, starając się zrozumieć, gdzie było moje miejsce, i oczekując na słoneczne dni.

Od czego zacząć?

Od wojny, od Giuseppe, od Cornelii, od mamy?

Od Giuseppe, zacznę od niego.

Kiedy mój brat zdecydował się ją o tym poinformować, Margiala zajęta była akurat pielieniem w ogrodzie. Wysoka i szczupła sylwetka z wąskimi biodrami i twarz, która z biegiem lat stawała się coraz bardziej wychudzona. Jej sukienka, zebrana z jednej strony i przywiązana do fartucha, odsłaniała jej szczupłe, ale umięśnione nogi i bose stopy.

Usta, które również z czasem stały się węższe, pokrywały teraz małe zmarszczki biegnące od górnej wargi ku brzegom buzi. Ponieważ schudła, jej nos wydawał się bardziej spiczasty i uniesiony ku górze, ale mówią, że nos jest jedyną częścią ciała, która rośnie przez całe życie, podczas gdy wszystkie inne kurczą się nieuchronnie. Obserwowała uważnie pięć oleandrów, które tworzyły zieleniący się krąg liści. Co jakiś czas kiwała głową i uśmiechała się, nie dowierzając temu cudowi. W momentach tej krótkiej przerwy opierała motyczkę na ramieniu niczym strzelbę. Gdy jakiś chwast zwracał jej uwagę, pochylała się nad nim w rozkroku. Wbijala żelazne ostrze w ziemię i poruszała rękojęścią, obejmując ją obiema dłońmi. Korzeń podnosił się, a Margiala z dumą wyciągała chwast i wyrzucała go na szmatę rozłożoną na trawie.

Było ciepło i bezwietrznie, a ład panujący w ogrodzie wprowadzał mnie w błogi nastrój. W mojej dziecięcej głowie mój dom był symbolem pokoju i nawet jeśli gdzieś toczyła się wojna, wiedziałam, że jęki trwogi nie mogły przedrzeć się przez grube ściany, które ojciec wybudował dookoła nas.

Od czasu do czasu mama ocierała pot z czoła dłonią, drugą ręką odgarniając kosmyki, które niesfornie wysuwały się z koka. Te cienkie, czarne nici powoli zaczynały pokrywać się szarością, jedna po drugiej. Trudno było uwierzyć, że Margiala też mogła się zestarzeć. Wskazywał na to jednak nie tylko kolor jej włosów, ale także zmarszczki na dłoniach, suchość skóry zniszczonej chłodem i słońcem, zmizerniałe policzki, brak blasku w jasnych oczach, których odcień teraz zmieniał się jak kolor morza w zimie, i biust, który zmniejszył się, po tym jak przestała karmić Francesca. Wcale nie dlatego, że braciszek nie chciał pić mleka, chociaż już podrósł i zaczynał jeść zwykłe potrawy, ale po prostu mama nie chciała już jęczeć z bólu od rana do wieczora, gdy ostre ząbki tego wygłodniałego szkraba zaciskały się na jej sutkach i do krwi rozdrapywały tworzące się strupki. Ten przebiegły brzdąc doskonale wyczuwał, że mógł zaspokoić swój głód gdzie indziej, więc Rosetta zajmowała się nie tylko swoim synem, Vincenzem, który był wciąż jeszcze niemowlakiem, ale również tym brudaskiem, który nie gardził nabrzmiałą od mleka piersią starszej siostry.

– Będiesz takim samym nieszczęśnikiem jak twój dziadek – wykrzykiwała mama, przeklinając okrutny los, który według niej czekał tego spryciarza, równie godny potępienia, co los jej teścia – nieznającego wstydu kobieciarza, robiącego na złość żonie zbyt pochłoniętej plotkami i nienawiścią, by utrzymać małżonka z dala od biustów innych kobiet.

– Ale dzisiaj gorąco – zaczął Giuseppe, gryząc źdźbło trawy.

– No tak – odpowiedziała zdawkowo mama.

Delektowałam się leniwie pogodnym dniem, siedząc w cieniu drzewa cytrynowego i głaszcząc Tommasa, która znowu była w ciąży.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

Mój brat, lekko zawstydzony, przerzucił czubkiem buta grudkę ziemi z jednego miejsca w drugie. Wciąż przygryzał źdźbło trawy, które teraz przełożył sobie na drugą stronę ust.

– Zabrakło ci języka w gębie? – zapytała nieco rozdrażniona Margiala, najwyraźniej wyczuwając kłopoty.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Chyba nie straciłeś pracy? Mamy już wystarczająco dużo problemów.

– Nie straciłem. Ale muszę jechać w pewne miejsce.

Kopczyk ziemi przed jego stopami robił się coraz większy.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi?

Margiala odłożyła motyczkę i patrzyła teraz prosto w oczy syna.

– Chodzi o to, że się zaciągnąłem. Idę na wojnę.

Jego stopa w końcu się zatrzymała. Oczy mamy zrobiły się wilgotne. Przez chwilę myślałam, że się rozplacze albo zacznie krzyczeć, aby zatrzymać przy sobie syna, zaklinając go, by nie wyjeżdżał.

Taka byłaby naturalna reakcja matki.

Ale ona nie zrobiła nic z tych rzeczy. Zwilżyła sobie wargi czubkiem języka i spojrzała na Giuseppe pustym wzrokiem, jakby chciała wyryć dobrze w pamięci ostatni radosny obraz syna.

On podrapał się po karku, po czym wsunął obie ręce do kieszeni, świadomy bólu, jaki sprawiał matce. Powinien był w jakiś sposób wyjaśnić jej swoją decyzję. Powiedzieć, że jest mu przykro, że jedyny mężczyzna w rodzinie opuszcza dom i jedzie, nie wiadomo dokąd, tylko po to, by zasłużyć sobie na miano bohatera, ale, na miłość boską, Margiali tak trudno było cokolwiek wytłumaczyć.

– A jak tam jest na tej wojnie? – zapytała niemądrze.

– Nie wiem. Jak wrócę, będę mógł ci opowiedzieć.

W tamtym momencie pomyślałam, że to było oczywiste, że wróci do domu cały i zdrowy. Nawet nie przychodziła mi do głowy myśl, że mogłabym już nigdy go nie zobaczyć, chociaż nie raz słyszałam opowieści o tych, którzy z wojen nigdy już nie wracali.

Ale to było całkiem co innego. Nie wiem jak i dlaczego, ale w mojej głowie ta wojna była inna i na szczęście przewidywała podróż w obie strony.

Margiala obserwowała jeszcze przez jakiś czas Giuseppe, gdy rozmawiał ze mną, odpowiadając na pytania, chociaż sam przecież nie był pewny odpowiedzi. Przetarła sobie czoło i oczy ręką, chwyciła za motyczkę i jak gdyby nigdy nic wróciła do pracy.

Kilka dni później Giuseppe wyjechał w kierunku Taranto. Było lato 1941 roku.

Reszta lata upłynęła pod znakiem upałów i duchoty. Wieczorem trudno było zasnąć i często budziłam się nagle w środku nocy targana jakimś złym przeczuciem, podskakując na odgłos dźwięków, które istniały tylko w mojej wyobraźni. Uspokajałam się, gdy docierało do mnie, że jestem w moim pokoju, razem z Cornelią, która słodko śpi obok mnie. Podchodziłam do okna, które wychodziło na podwórko, mając nadzieję na choć lekki powiew wiatru.

Niewiele było jednak nocy, w których można było odetchnąć. Nawet drzewa i krzewy rosnące w ogrodzie nie były w stanie przynieść ochłody.

Wielokrotnie dostrzegałam w dole szczupłą sylwetkę Margiali, która krzątała się pośród roślin. Wtedy opierałam się łokciami o parapet i przyglądałam jej się w ciszy. Patrzyłam, jak przedziera się ukradkiem pomiędzy cukiniami i ogórkami, i co jakiś czas pochyła się, urywa kilka z nich i wkłada je w zagłębienie utworzone w cienkiej koszuli nocnej. Owinięta tą jasną bielą wyglądała jak duch unoszący się powoli w ogrodzie w poszukiwaniu warzyw. Wiedziałam, że nie mogła uciszyć swojej nieokiełznanej natury, że Margiala zawsze była nocnym stworzeniem, przypominającym bardziej wilka niż kobietę. Wiedziałam również, że na pewno myśli o losach Giuseppe nie dawały jej spokoju, że była już zmęczona oczekiwaniem na wieści.

O dziwo, ta nowa sytuacja doprowadziła do poprawy relacji między mną a mamą. W jakimś sensie było mi jej żal z powodu jej samotności, a pogłębianie się jej słabości rozczulało mnie. Toteż czasami patrzyłam na nią łagodnym wzrokiem, jak na matkę, z którą dzieliłam nieszczęsny los. Tak jakby smutek i pretensje chwilowo zbladły, nie zniknęły zupełnie, ale ukryły się gdzieś w dalekim zakamarku mojego serca, gotowe do wyjścia przy najbliższej możliwej okazji. Dostrzegałam wyraźnie grymas jej twarzy, nienaturalny sposób, w jaki energicznie odgarniała sobie włosy, oczy, które przekształcały się w zimne, szklane kulki.

Wszystko to razem zapowiadało nadchodzące zawieszenie broni. Tak jakby Margiala była bliska rzucenia maski, odsłonięcia ukrytej siebie – zrozpaczony kobiety schowanej za chłodnym obliczem obojętności.

Tymczasem dni mijały i jeszcze tego samego roku, jesienią, również mąż Rosetty pojechał na wojnę. Nieśmiały i ponury jak zawsze pożegnał się z żoną tymi samymi słowami, jakich używał, gdy wychodził do pracy w kuźni.

– To do zobaczenia – rzekł typowym sobie tonem, poruszając wiotkimi wargami.

Moja siostra przygotowała dla niego pakunek, do którego włożyła coś do jedzenia, wełniane skarpety – ponieważ zbliżała się zima – i swetry, które oczywiście zrobiła własnoręcznie.

– Będzie ci w nich ciepło – tymi słowami pożegnała go Rosetta, podczas gdy Vincenzo łapczywie chwycił w zęby jej sutek i żwawo ssał mleko.

Domenico „Białe Oko” skierował swoje małe, wąskie oczy na jej dekolt, jakby chciał pożegnać się również z nim. Potem wyszedł, żegnając się skinieniem głowy. Ja i Cornelia jeszcze długo patrzyłyśmy, jak oddalał się wzdłuż polnej drogi, razem z innymi przyszłymi bohaterami wojennymi.

– Już nie wróci – wykrzyknęła niespodziewanie Cornelia, trzymając ręce bezwładnie wzdłuż tułowia, podczas gdy jej oczy zachodziły łzami.

Nie sądzę, aby jej wzruszenie wynikało jedynie z przyglądania się naszemu szwagrowi. Nie udało się poczciwemu Domenicowi wzbudzić w mojej rodzinie wielu ciepłych uczuć. Nie dlatego, że nie był dobrym człowiekiem, raczej przez ten jego nadmiernie łagodny charakter, który sprawiał, że stąpał

po ziemi prawie niezauważalnie, jakby przeproszał cały świat za sam fakt, że żyje.

Margiala stała przez chwilę w proggu w typowej dla siebie pozycji bojowej, z rozstawionymi szeroko nogami, rękami opartymi na biodrach, a prawą nogą wybijała rytm oburzenia.

– Wszyscy oni sprowadzą na nas nieszczęście – splunęła na ziemię. – Tfu! Wojna to gnój.

Rosetta zerknęła na nią chyłkiem, pełnym oburzenia wzrokiem.

– Niektórych rzeczy nie powinno się mówić na głos. Co najwyżej wyszeptać i schować z powrotem gdzieś głęboko – powiedziała ściszym głosem.

– No co? Niech przyjdzie Mussolini i mnie uciszy. – I splunęła ponownie, a paskudna, gęsta maź wylądowała o kilka centymetrów od mojej stopy. Rosetta wzruszyła ramionami. Nie było sensu dyskutować z mamą.

Nie wiedziałam dokładnie, kim był ten Mussolini, ale wyobrażałam sobie, że skoro wszyscy się go bali i wypowiadali jego imię przez zaciśnięte zęby, to musiał to być ktoś, kto się liczy; ktoś bardzo ważny. Właśnie dlatego, gdy nadarzała się okazja, by pójść na ryby na przystań – a było ich coraz mniej – a tam jakiś smarkacz zaczepiał mnie, mówiąc, że to nie jest miejsce dla dziewczyn, odpowiadałam, żeby lepiej liczył się ze słowami.

– Nie wiecie, kim ja jestem? – mówiłam, imitując zdanie, jakie słyszałam kiedyś w jakimś filmie.

– Niby kim? – pytali z ciekawości.

– Jestem wnuczką Mussoliniego.

Wtedy opierałam obie ręce na biodrach, tak jak robiła to mama, gdy była wyjątkowo poirytowana, a oni uciekali co sił w nogach. W ten sposób Mussolini stał się moim przyjacielem, prawdziwym asem w rękawie, którego wyciągałam w razie konieczności obrony.

Zaczął się dla mnie nowy etap życia. Już nie walczyłam z całym światem; światem, który przez wiele lat wydawał mi się zupełnie poprzewracany i w którym nie potrafiłam się odnaleźć. Znajdowałam się teraz w fazie dorastania, w której rzeczywistość przeplatała się z przepelnionymi fantazją opowieściami, w której codzienne życie urozmaicane było czystą inwencją, tak wyrafinowaną i doskonale skonstruowaną, że czasami nawet ja sama miałam trudność z odróżnieniem jednego od drugiego.

Sny przeobrażone w prawdę oraz fakty przeinaczone i przeistoczone za pomocą tej samej materii, z której zrobione były sny. Stałam się nawet specjalistką od przywoływania zmarłych. W mojej głowie zawsze było miejsce dla taty i Pietra. Po mojej prawej stronie widziałam dobrego Agostina karcącego mnie czułym wzrokiem, gdy znowu coś przeskrobałam, a po mojej lewej – radosną twarz Pietra, który zagrzewał mnie do niepoddawania się słabościom. Nie wiem, czy sztuka rozmawiania ze zmarłymi należała do cudownych mocy Margiali, ale w tamtym okresie mego życia stała się skuteczną tarczą przeciwko wszystkiemu, co w moim życiu szło źle. Deszczowe i szare dni zamieniałam w promieniste letnie popołudnia, moje krepie i pulchne nogi ukazujące mi się w lustrze przeobrażałam myślami w długie, kształtne i szczupłe – takie jak miała Ferida.

Zmieniłam też uczesanie, bo w tym wieku naprawdę istotnym było spróbować się sobie podobać. Skróciłam włosy do ramion i zrobiłam sobie grzywkę, która według mnie podkreślała moje duże, okrągłe, brązowe oczy.

– Przypominasz Claudette Colbert⁸ – powiedziała mi kuma Antonietta, gdy po raz pierwszy pokazałam się publicznie w nowej fryzurze.

Tym zdaniem udało jej się wywołać uśmiech również na twarzy Margiali. Spojrzałam na nie obie, robiąc minę osoby, która powoli zyskuje wiarę w samą siebie, chociaż nie miałam pojęcia, kim była ta Colbert. Jeśli miała coś wspólnego z kinem, na pewno musiała być piękna. Z tego względu przez długi czas nie rozstawałam się z moją rozwichrzoną grzywką, dzięki której ja też czułam się jak

gwiazda.

– Diamante ma w sobie piękno – skomentowała mama, wprawiając mnie w osłupienie.

W jej spojrzeniu wyczytałam nutę zrozumienia, a wręcz zadowolenia. Może ona też przechodziła nowy etap osobistej wojny przeciwko którejś z nas. Może złożyła broń i zrozumiała, że ludzi toczących wojnę było w tym czasie aż nadto, więc przynajmniej ona powinna z niej zrezygnować.

Wraz z nadejściem lata Giuseppe dostał przepustkę z frontu. Wrócił wychudzony i tak zmizerniały, że wyglądał, jakby zostały z niego tylko skóra i kości.

– Dają ci tam coś jeść? – To była pierwsza rzecz, o jaką zapytała mama.

Uśmiechnął się do niej i nic nie odpowiedział. Ale widać było, że bardzo cieszył się z powrotu. Był słaby, a po czerwonych obwódkach wokół oczu można było przypuszczać, że oprócz tego miał też gorączkę. Wysłali go do domu, żeby się wykurował. Gdyby został tam w takim stanie, na pewno wyzionąłby ducha.

– Rosetto, zerwij kilka renet w ogrodzie. A ty, Diamante, pozbieraj liście laurowe i mięte. Cornelio, ty weź kadź, która stoi na podwórku, wymyj ją dobrze, to napełnimy ją świeżą wodą ze studni.

Giuseppe miał na sobie obdarte szmaty.

– Tak was wysyłają na wojnę?

– Tak, mamó – odpowiedział krótko, opadając bezsilnie na krzesło stojące przy wejściu.

– Zdejmiemy z ciebie te łachmany. Za kilka dni będziesz jak nowo narodzony – wykrzyknęła z satysfakcją, przeciągając dłonią po idealnie zaczesanych włosach, po czym podwinęła sobie rękawy koszuli, które jej zdaniem koniecznie musiały być długie, nawet latem.

Margiala przygotowała napar z renet i liści laurowych, które podgrzewała przez piętnaście minut na ogniu. Kiedy płyn już dobrze się zagotował, przelała go do filiżanki i dodała kilka listków świeżej mięty.

– Wypij póki gorący, od razu postawi cię na nogi.

Giuseppe zastosował się do jej słów potulnie jak dziecko i skulił się w sobie z zamiarem zapadnięcia w upragniony sen.

– O nie. Najpierw musimy zbić tę gorączkę.

Wszystkim nam trzem kazała zająć się swoimi obowiązkami. Jedyne małemu Francescowi dane było przyglądać się jej zabiegom. Rozebrała swego najstarszego syna do naga. Nawet nie starał się protestować, wiedział, że było to wyłącznie dla jego dobra.

Przez kilka sekund stała nieruchomo, przyglądając się temu, do jakiego stanu te ostatnie miesiące doprowadziły ciało jego syna, może szukając wytłumaczenia dla tych zapadłych policzków i spiczastego podbródka, które przyćmiły każdy najmniejszy akcent jego dawnej urody.

– Przeklęta wojna i przeklęty Mussolini.

– Mamó... – odrzekł zmartwionym tonem.

– Myślisz, że tutaj też mogą nas usłyszeć ci parszywi faszyci? W moim domu?

Potrząsnął głową i dał za wygraną. Zanurzył się w chłodnej wodzie, skulił się w sobie i całkowicie pobrał, a jego ciałem targały dreszcze.

– Bądź mężczyzną i wytrzymaj. Zobaczysz, jak zaraz spadnie gorączka. Jutro będziesz zdrowym człowiekiem. – Zaczęła przemywać ciało Giuseppe szmatką nasączoną octem. Po zakończeniu tego rytuału owinęła go dużym, lnianym prześcieradłem i zaprowadziła do swojej sypialni. Miał spać właśnie tam, niczym pan domu, obok wyblakłego już zdjęcia babci Diamante i tego wciąż jeszcze pulsującego wspomnieniami zdjęcia taty, w pobliżu palącej się nieustannie świeczki, będącej odbiciem niegasnącej pamięci Margiali.

Tamtego wieczoru kładłam się do łóżka z dziwnym niepokojem w sercu.

– Jak myślisz, jaka jest ta wojna? – zapytałam kilka razy Cornelię przed zaśnięciem.

Za każdym razem jednak jej odpowiedź nie spełniała moich oczekiwań.

– Jak gnój – mówiła zatrwożona, chowając się pod kołdrą.

– Tak mówi mama. Ja pytam, jaka jest twoim zdaniem.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że to coś brzydkiego. Bardzo brzydkiego.

– Tak, ale ciekawe, jak musi czuć się Giuseppe? Jak zmuszają go do brania udziału w bitwach.

Musi zabijać innych żołnierzy? Jak się czuje człowiek, który zabija innych ludzi?

– Ech, nie powinnaś myśleć o takich rzeczach. To nie są sprawy dla kobiet.

– Tylko dlatego, że kobiety nie idą na wojnę? – zapytałam, podnosząc głos. – Mama powtarza zawsze, że wszyscy bierzemy udział w wojnie – ci, którzy idą na front, i ci, którzy zostają w domu – dodałam rozjuszona.

– Widzisz, powinnam była poprzestać na tym, że wojna to gnój i tyle, ale powiem więcej – wojna to wielki gnój. Jesteś teraz zadowolona?

Tak brzmiała jej ostateczna odpowiedź, nim odwróciła się do mnie plecami na znak, że nie chce być już więcej męczona takimi pytaniami.

Ten temat niezmiernie mnie intrygował i to nie tylko z powodu widoku wybiedzzonego Giuseppe. Było coś jeszcze, co mnie niepokoiło. Może to był pewien rodzaj poczucia winy z powodu mojego wymaginowanego pokrewieństwa z Mussolinim. Odkąd ujrzałam Giuseppe wymęczonego wojną, już nigdy więcej nie chciałam o nim wspominać. To było pewne.

Wyskoczyłam z łóżka cała roztrzęsiona i spocona, i na bosaka zbiegłam szybko po schodach, ochładzając stopy dzięki zetknięciu z zimnym marmurem. Z sypialni mamy sączyło się przyćmione światło, rzucające na ścianę korytarza długie cienie przypominające widma. W całym domu panowała wyjątkowa cisza, nawet Francesco spał błogim snem.

Podeszłam do drzwi i spojrzałam na bezwładne ciało mojego starszego brata. Tak bardzo różnił się od tego zuchwałego i spontanicznego młodzieńca, któremu tyle razy zazdrościłam, że jest mężczyzną. Teraz leżał cały podkulony, jak małe dziecko, które dopiero co dostało lanie, wyniszczony chorobą i losem, który sam sobie zgotował. Skierowałam wzrok na makabryczny ołtarzyk, który zawsze budził we mnie strach, i dostrzegłam zarys sylwetki mamy. Nie zauważyłam wcześniej, że nie leżała obok Giuseppe. Ona też zwinęła się w kłębek, ale na fotelu, który zazwyczaj stał u stóp łóżka. Przesunęła go bliżej kłęcznika.

Wciąż odziana była w swą czarną, długą sukienkę, którą nosiła w ciągu dnia, z rękawami podwiniętymi do łokci. Zauważyłam, że trzymała jedną dłoń pod udem, tak samo, jak robiłam ja, żeby ukołysać się do snu, a drugą dłonią przyciskała do serca zdjęcie. Spojrzałam w stronę ołtarzyka i dostrzegłam wyblakłe zdjęcie babci Diamante wpatrującej się we mnie z założonymi rękami i wibrującym wzrokiem, tak żywym, że sprawiał wrażenie, jakby wciąż mógł wydawać wyroki i ciskać piorunami.

Trzymała zdjęcie taty. Czarno-siwy kosmyk opadał jej na piersi, przysłaniając fragment ramki. Jej usta wykrzywiały się w krótkich i szybkich drgawkach powracających co jakiś czas, a mimo to zawsze niespodziewanych. Może rozmawiała z kimś we śnie, może z Agostinem, który odwiedzał ją w nocnych marzeniach.

Widząc ją w takiej sytuacji, bezbronną i śpiącą, roztkliwiłam się. Nie czułam już żadnej złości ani nienawiści. Wojna, którą z nią ciągle toczyłam, wydała mi się teraz nieistotna, zupełnie bez znaczenia. Czułam, że pomiędzy nami jest miłość, choć żadna z nas by się do tego nie przyznała.

Nigdy nie zapomnę widoku mamy i łez, które wtedy spływały mimowolnie cienką strużką po moich policzkach, chociaż bardzo starałam się je powstrzymać.

Dwa dni później Giuseppe całkowicie już doszedł do siebie. Nawet jego cera, mimo znacznego wychudzenia, nabrała zdrowszego koloru.

Margiala potrafiła przygotować wyjątkowo skuteczne maści i napary o uzdrawiających właściwościach. Kilka razy jednak musiała wysłać mnie do zielarza po zioła o niewymawialnych dla mnie nazwach: kardam czy kardamon. Zawsze miałam problem z ich zapamiętaniem. Reszta roślin pochodziła z jej ogródka, który jawił mi się niczym fantastyczny, leczniczy krążganek, magiczne herbarium jakiegoś zapomnianego siedemnastowiecznego klasztoru.

Mama często opowiadała mi, że w dawnych czasach ludzie pokonywali choroby jedynie dzięki specjalnym ziołowym mieszankom. Ponoć największą wiedzę na ten temat posiadały zakonnice. W naszej okolicy jednak mało kto korzystał z dobrodziejstw siostr Świętego Krzyża. Większość ludzi pomocy szukała właśnie u mamy.

Tamtego ranka czekało nas poważne zadanie do wykonania w domu, obowiązek, którego nie znosiłam. Na szczęście, zgodnie z regułami Margiali, pracę tę wykonywałyśmy tylko raz w roku, gdy słońce już przyjemnie przygrzewało, ale jeszcze nie spalało wszystkiego dookoła. To, według mamy, była najlepsza pora roku, ponieważ wcześniej rano cieszyliśmy się orzeźwiającymi powiewami wiatru, wieczorem z kolei, na skutek bryzy dochodzącej znad morza, na skórze pojawiała się gęsia skórka; był to najlepszy moment na rozczesywanie, pasmo po paśmie, wszystkich kłaczek wełny wypełniających poduszki i materace domowników.

Margiala była dumna z tej wełny, bo stanowiła część jej posagu. Jej ojciec musiał się niemało napocić, żeby obdarować córkę całym tym złotym puchem.

Była to bardzo męcząca czynność, którą wykonywało się przez kilka dni w pozycji klęczącej.

Wolałabym od rana do wieczora robić na drutach i psuć sobie wzrok, aniżeli poddawać się tego rodzaju uciskowi, ale mama powtarzała nam zawsze, że to niezwykle ważne zadanie, pozwalające uniknąć tworzenia się twardych i sprawiających ból grudek wełny.

Myślę, że Margiala nie wymyśliła sobie tego wytłumaczenia tylko po to, żeby zagonić nas do pracy, która wyraźnie i nas, i ją męczyła. Wierzyłam tak jak ona, że nasza praca nie idzie na marne, co nie zmieniało faktu, że nienawidziłam tej czynności w najbardziej szczerzy i głęboki sposób, w jaki można czegoś nienawidzić.

– Zaczniemy od mojego materaca, bo jest największy – rzekła, wiążąc sobie chustkę na karku.

Rosetta również pomagała nam w pracy, podczas gdy jej malec odkrywał nowe zakamarki pokoju. Szczerze mówiąc, choć to ja byłam tą najsilniejszą, to właśnie mnie najbardziej brakowało sił przy wykonywaniu tej czynności.

Margiala rozłożyła na podłodze trzy duże, bawełniane płachty, na które miałyśmy wyłożyć całą wyjętą wełnę. Ciężko było przytrzymać Vincenza w miejscu i przypilnować, żeby nie zaczął turlać się po tych płachtach.

– Giuseppe, weź dziecko do siebie – krzyknęła Margiala, tracąc powoli cierpliwość.

Mój brat, który natychmiast pojawił się w drzwiach, miał już pod swą opieką Francesca, a teraz drugi szkrab uczeplił się nogawki jego spodni. Zajmował się nimi nieporadnie, w sposób typowy dla mężczyzn. Pewnie przeklinał wtedy swoje ozdrowienie, może nawet sam fakt, że wrócił do domu. Dobrze jednak wiedział, że Margiala nikomu nie odpuści, w naszym domu każdy miał wyznaczone zadanie, tu nie było miejsca na beczynność.

– Rosetto, złap za jeden róg, ty, Cornelio, za drugi. Diamante, chodź tutaj, z mojej strony. Na mój znak podnosimy wszystkie razem.

Ciężar wełny sprawiał, że udawało nam się unieść płachtę tylko odrobinę nad podłogę, a i tak musiałyśmy ścisnąć mocno pięści, aby żaden róg się nie wysmyknął, a pasma wełny nie wysypały. W taki sposób musiałyśmy przetransportować wełnę na taras, ponieważ jej rozczesywanie było pracą, którą należało wykonywać na świeżym powietrzu, a nie w domu, aby wszystkie meble i przedmioty nie pokryły się gryzącym skórę pyłem.

Dopiero kiedy przeniosłyśmy pięć takich ciężkich, ogromnych płacht wypełnionych wełną, jedna po drugiej, mogłyśmy pozwolić sobie na chwilę odpoczynku i ugaszenie pragnienia. Mama przyniosła lemoniadę, którą przygotowała rano i postawiła do schłodzenia w piwnicy. Wypiłyśmy ją duszkiem, pozwalając, by strużki wody i soku z cytryn spływały nam z kącików ust na szyję, ubrania aż do piersi i brzucha.

Właśnie w tym momencie poczułam coś dziwnego.

Uderzenie gorąca i ostry ból w brzuchu. Skuliłam się, instynktownie przykładając ręce do podbrzusza, gdzie czułam ból jednocześnie szarpiący w dół i promieniujący do góry. Potem skurcze, jeden po drugim, jakby ktoś zabawiał się moim kosztem, tnąc moje wnętrzności na kawałki i wykręcając je na milion różnych, okrutnych sposobów.

– Co ci jest? – zapytała zmartwiona Cornelia.

Wykrzywiłam usta, ale ból był tak silny, że nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, przytłoczona tym w pełni fizycznym i nieustającym cierpieniem.

– Diamante, twoje uda – rzekła Rosetta, a mama, pochylona nad płachtą po drugiej stronie tarasu, odwróciła się, by na mnie spojrzeć, i gromko się roześmiała.

– Ach, również nasza mała Diamante stała się kobietą.

Spojrzałam z obrzydzeniem na gęstą krew spływającą ciemnymi strużkami po mojej różowej skórze, rozstawiłam szerzej nogi i – ku mojemu przerażeniu – zauważyłam, że moje białe majtki pokryte były jedną, wielką, czerwoną plamą.

– Dostałam okres – wydusiłam z siebie przejęta.

– To nic poważnego. Tak mają wszystkie kobiety – podsumowała mama.

Wymieniłam porozumiewawcze spojrzenie z Cornelią, która przygotowała mnie na ten moment, i ogarnęło mnie zaskakujące uczucie satysfakcji. To wydarzenie oznaczało, że w wieku trzynastu lat powinnam już myśleć o sobie jako o kobiecie. Z drugiej strony, myśl o fizycznym bólu paraliżowała mnie i chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym, dlaczego zostałyśmy w ten sposób stworzone, jaki jest sens tego cierpienia, po co krew wypływa właśnie stamtąd.

Były to pytania, których na pewno nie mogłam zadać Margiali. Według niej chodziło o zwykły moment zmiany i wszelkie inne wyjaśnienia zostaną mi dane przez samo życie.

– Idź się umyć, a potem otwórz drugą szufladę w mojej sypialni i wyjmij z niej białe ręczniki. Owiń nimi to miejsce i zepnij agrafkami. Dla pewności użyj dwóch ręczników, bo pierwszy okres jest bardzo obfity. Potem przygotuj sobie gorący napar z pietruszki i połóż się gdzieś, może tutaj w cieniu, bo wszystkie materace są opróżnione.

Nie byłam pewna, czy doszły do mnie wystarczająco wyraźnie wszystkie pouczenia mamy, ale wiedziałam, że na pewno w drugiej szufladzie miałam znaleźć śnieżnobiałe ręczniki. One miały zatrzymać krwawienie, tak myślałam, a może krwawienie wcale się nie zatrzyma, a one służą tylko temu, by wszystkiego nie zabrudzić... Miałam mętlik w głowie, ale wstałam posłusznie, kierując się w stronę sypialni mamy.

Gdy schodziłam po schodach, przyciskając rękami sukienkę do ud, przychodziło mi do głowy

mnóstwo pytań, które powinnam była zadać: „Jak długo miałam tak krwawić, jak ranne zwierzę? Skąd będę wiedziała, kiedy zmienić ręcznik? Skąd będę wiedziała, ile krwi straciłam? A poza tym, ile razy miałam przeżywać tę torturę?”.

Uznałam jednak, że zdążę dokładnie wypytać o wszystko Rosettę. Tymczasem mój okres pozwolił mi ominąć pierwszy dzień pracy, a to wprawiło mnie w wyśmienity nastrój.

– Ach, nasza Diamante jest już duża! – wymamrotał Giuseppe, zabawiając dwa szkraby w ogrodzie.

Odpowiedziałam mu tylko pełnym onieśmielenia chichotem.

Więc on też wiedział. Ciekawe, która z siostrzyczek wypaplała. Zastanawiałam się, czy mężczyźni też mieli trudne dni. Nie chciałam jednak mojemu bratu dać odczuć, że niewiele wiem na ten temat, więc udałam, że doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co mi się przytrafiło.

– Wiesz, co to oznacza? – ciągnął dalej, uśmiechając się szyderczo.

– Oczywiście, że wiem! – odparłam, chociaż chciałam odpowiedzieć zupełnie przeciwnie, wytłumaczyć mu, że mama i Cornelia ograniczyły się jedynie do powiedzenia mi, że to był moment, w którym przestałam być dzieckiem, a stałam się kobietą.

Ale nawet Cornelia nie wiedziała na ten temat dużo więcej. Mogłam zapytać jego, poprosić, żeby wszystko mi wyjaśnił – w końcu on był już dorosły – brał nawet udział w wojnie.

– I wiesz też, czego od teraz nie wolno ci nigdy robić?

Jego spojrzenie nabierało coraz bardziej ironicznego i zaczepnego wyrazu. On wiedział wszystko i drwił ze mnie, a ponadto na pewno zdawał sobie sprawę, że ja zupełnie nie rozumiem, o czym mówi.

– Oczywiście, że wiem. Co ty sobie myślisz? Jestem już duża.

Gdy wymawiałam te słowa, czułam, jak moja dłoń staje się wilgotna. Musiałam zakończyć tę rozmowę, ponieważ opanował mnie wstyd, a ból wciąż był tak silny, że broniłam się, przygryzając wewnętrzną stronę policzka. Zostawiłam brata w ogrodzie, obserwującego, jak maluchy człapią nieporadnie od jednej rośliny do drugiej. Cieszyłam się, bo znów był promienny jak kiedyś, z lekko zaróżowionymi policzkami i błękitnymi oczami, które błyszczały jak rybie łuski.

Ironiczny uśmiech Giuseppe prześladował mnie jeszcze przez kolejne dwa dni, ale byłam zbyt przejęta przeszywającymi mnie skurczami i tęnym bólem. Myślałam sobie, że może to właśnie ten próg ostrego, fizycznego bólu stanowił o przejściu z okresu dzieciństwa w dorosłość.

Nie mogłam przestać popłakiwać w ciszy, mimo że znów słyszałam Pietra, który starał się mnie ożywić i zmusić do działania. Słyszałam również tatę, który radził, bym dała upust swoim emocjom.

– Muszę prosić cię o przysługę – zwrócił się do mnie mój brat trzeciego dnia mojej męczarni, podczas gdy Margiala i reszta wciąż pochylały się nad pasmami wełny, rozczesując je w słońcu, zanim miały trafić z powrotem dokładnie w to samo miejsce, skąd zostały wyjęte.

– Mnie? – spytałam, kręcąc się na krześle z rękami przyciśniętymi do brzucha, który wciąż mnie bolał, mimo wielu już wypitych filizanek naparu.

– Chcę ci to dać – powiedział, pokazując mi kopertę. – Chciałbym, żebyś zaniósła to Annie.

Tym razem to moje spojrzenie nabrało szyderczego wyrazu.

– Nie szukaj wymówek, zrób to i już. Koperta jest zamknięta. Pod żadnym pozorem nie próbuj jej otwierać.

Kiedy chwyciłam list, Giuseppe wzruszył ramionami lekceważąco jak każdy mężczyzna świadomy tego, że zrobię to, o co prosi. Pewny siebie odszedł z uśmiechem na ustach i wrócił do swoich obowiązków opiekuna dzieci. W ciągu ostatnich dni coraz lepiej wcielał się w tę rolę i teraz mógł rozkoszować się słońcem, zadowolony z autorytetu, jaki udało mu się uzyskać w oczach szkrabów. Te dwa łobuzy sprawiały wrażenie, jakby zdawały sobie całkowicie sprawę z tego, kto miał coś do powiedzenia w życiu, ponieważ nie zwracały najmniejszej uwagi na upomnienia mojej siostry ani moje, natomiast słuchały we wszystkim Giuseppe.

Udałam, że otwieram kopertę, jednocześnie zwilżając sobie usta językiem niczym kot o krok od złapania myszy. Odwrócił się i spojrzał na mnie przenikliwie. Na jego twarzy malowało się ostrzeżenie mówiące, że bym nie ważyła się otwierać listu. Spuściłam głowę, co odczytał jako gest posłuszeństwa. Wiedział, że popędzę zaraz do domu Pietra i dostarczę korespondencję tej jego dziwnej siostrze o rudych włosach, że pognam tam choćby od razu, trzymając się za brzuch, jakby był budyniową masą.

Ale mylił się co do jednego – myślał, że nie otworzę koperty. A ja właśnie chciałam popełnić ten haniebny czyn. Może to przez ten mój paskudny charakter, który od czasu do czasu brał górę nad dobrymi manierami. Jak wtedy, gdy rozdeptałam tę niewinną jaszczurkę w wąwozie, albo wtedy, gdy przez okiennice podglądałam mamę i tatę w ich sypialni.

Tkwiał we mnie jakiś zarodek perfidnych i pochopnych gestów, które wykonywałam pomimo poskromionych już, ładnie ułożonych loków. Skończyłam dwie klasy podstawówki, więc moje umiejętności w zakresie języka włoskiego były wystarczające do odszyfrowania pisma mojego brata, który ukończył trzy klasy, a potem nie chciał już słyszeć o nauce.

Wślizgnęłam się do sypialni mamy, gdzie mogłam liczyć na chwilę spokoju. Przykłękłam na kłęczniku i ujrzałam wpatrujące się we mnie oczy babci Diamante oraz taty.

– Na co tak patrzysz? – szepnęłam, zerkając na wizerunek babci. Zawsze miałam wrażenie, że jej oczy, przypominające oczy żmii, są w każdej chwili gotowe porazić jadem. Spojrzałam na zdjęcie taty w nadziei, że chociaż on zlituje się nade mną i mnie nie potępi.

Charakter pisma mego brata ujawniał drżenie jego ręki. Kto wie, ile czasu spędził Giuseppe na

maczaniu stalówki w atramencie i rysowaniu liter, jedna po drugiej, starając się nie narobić kleksów, podczas gdy skupiał myśli na tym, co podpowiadało mu serce. Nigdy nie czytałam słów, które moim zdaniem wymieniali między sobą zakochani, i nie mogłam nawet wyobrazić sobie mojego brata zakochanego.

Zawsze otoczony pełną arogancji aurą odziedziczoną po Agostinie Valentim. Najczęściej widziałam go z założonymi rękami, opartego o murek jednego z niskich domków na placu Umberto, przekładając sobie wykałaczkę z jednej strony ust na drugą, imitującego te same artystyczne pozy, jakie nadały tacie przydomek fascynującego Osvalda. Teraz tę rolę pełnił on, Giuseppe Valenti.

Nie byłam przyzwyczajona do romantycznych stwierdzeń w stylu „Wciąż o tobie myślę”. „Chciałbym przytulić cię do siebie”, „Chciałbym już nigdy nie wyjeżdżać na wojnę”. Toteż poczułam, jak policzki mi płoną, gdy zajęłam się czytaniem. Poczułam dziwną zazdrość względem siostry Pietra i zadawałam sobie pytanie, czy kiedyś jakiś chłopak zaadresuje podobne słowa do mnie. „Nic mnie to nie obchodzi” – skomentowałam sama własne myśli przez zaciśnięte zęby. Przynależałam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż i – na miły Bóg – nie mogłam przecież rozplýwać się jak roztopione lody z powodu kilku cukierkowych słów.

„Chciałbym już nigdy więcej nie wyjeżdżać na wojnę” – to było zdanie powtarzające się najczęściej.

Dlaczego? Żeby się z nią już więcej nie rozstawać? Czy może dlatego, że on też zdał sobie sprawę, że Margiala jak zawsze miała rację, mówiąc, że wojna była wielkim gnojem?

Pospiesznie włożyłam list z powrotem do koperty i spróbowałam zakleić ją śliną, ale mi się to nie udało. Pomyślałam sobie jednak, że i tak nie ma to większego znaczenia, bo na pewno Anna nie zwróci na to uwagi, zajęta wzdychaniem i ronieniem łez nad tymi kartkami.

Zerwałam kilka cytryn i brzoskwiń z ogrodu. Przygotowałam koszyk i pożegnałam Giuseppe, nieświadomego straszliwego czynu, jakiego dopiero co dokonałam.

„To ja wygrałam” – miałam ochotę szpenąć mu do ucha, gdy znów posyłał mi to pełne wyzwania spojrzenie, w którym tym razem pojawiła się również nutka wdzięczności.

– Zaraz wrócę. Wiesz, dokąd idę – pożegnałam go obojętnie.

Tamtego wieczoru materace znowu zostały wypełnione wełną i były teraz przyjemnie twarde i nabite. Wydawało się, że podwajały swoją objętość, gdy wełna była dobrze rozczesana.

Następnego ranka Giuseppe znów wyjechał i nasze życie powróciło do swojego monotonnego rytmu, jaki przyjęło w ostatnim roku, jakby czas był zawieszony gdzieś pośrodku, w jakimś dziwnym wymiarze, pomiędzy snem a rzeczywistością. Jedynie wybiórcze nowiny z wojny dochodziły do naszych uszu, ponieważ Margiala unikała posyłania nas na dwór i wolała sama załatwiać wszystkie sprawy.

To był jej sposób na ochronę jej świata, jej własnych reguł, bez których nie mogłaby już czuć się władczynią, przynajmniej w swoim domu i ogrodzie. W królestwie Margiali panowało coś w rodzaju błogiej obojętności, wymieszanej z codziennymi modlitwami o to, by Giuseppe wrócił cały i zdrowy.

Nie wiem, czy Rosetta też modliła się o powrót swojego męża. Żadna z nas nigdy nie miała odwagi jej o to zapytać. W gruncie rzeczy nie jestem nawet pewna, czy można było czuć żal lub miłość wobec mężczyzny, który doprowadził do małżeństwa w taki sposób. Może w jakimś stopniu miała nawet nadzieję na to, że wojna zabierze ze sobą Domenica „Białe Oko”, żeby mogła opisać go swemu synowi jako bohatera, a nie porywacza dziewcząt.

Dopiero wtedy, gdy zaczęli racjonować artykuły spożywcze i zaczęło brakować mąki, wojna stała się naszym realnym wrogiem, przebiegłym i wtrącającym w ubóstwo. Do tego czasu wydawała mi się

tak daleka od naszego życia, że prawie nieszkodliwa.

Dopiero gdy zaczęła dotyczyć naszych pustych brzuchów, poczułam, że jej nienawidzę, tak mocno, jak nienawidziła jej Margiala. Przestałam też powoływać się na Mussoliniego, gdy potrzebowałam zasłonić się wpływowymi krewnymi.

Choć opowieści o pierwszej wojnie wypełniały niejedną z wieczorów naszego dzieciństwa, dla nas pozostawały wyłącznie ciekawymi historiami. Dziadek Pietra opowiadał nam wiele razy o swoich przeżyciach z wojny, ale robił to w typowy dla siebie, ironiczny sposób, który sprawił, że nie traktowaliśmy jej zbyt poważnie.

Narzekał na przykład na okropne jedzenie, na zanieczyszczoną wodę, którą byli zmuszani pić, na czerwone i na to, że czasem musieli załatwiać się z tyłkiem wystawionym na pastwę much i kleszczy.

W jego opowieściach nie było ani jednej wzmianki o bombach, śmierci i podłości, którą niosła ze sobą każda wojna. Kiedy ja i Pietro rozmawialiśmy o niej, wyobrażaliśmy sobie długi rząd okrągłych, białych księżyców pokrytych ukąszeniami wszelkiego rodzaju insektów. I wybuchaliśmy śmiechem. Zrywaliśmy boki na myśl o wojnie, żałośnie nieświadomi tego, co naprawdę kryło się za tym powierzchownym, wyobrażonym obrazem.

Toteż nawet wtedy, gdy docierały do mnie przerażające informacje o zabitych, nie bardzo się tym przejmowałam. Była to jakaś obca i odległa śmierć, śmierć na froncie. Ewentualność jej wejścia do mojego domu i zabrania ze sobą Giuseppe nawet nie przemknęła mi przez myśl. Poza tym poznałam ją tak wcześnie w moim życiu, że się na nią, w pewnym sensie, uodporniłam. Myślałam sobie: „Już mnie dotknęła, poznałam jej oblicze. Poczulałam jej dreszcz przebiegający mi po plecach. Nie może znów mnie spotkać”.

Nie wiedziałam nic o tej wojnie. Cornelia i Rosetta także. A Margiala, nawet jeśli wiedziała więcej, unikała rozmowy na ten temat z nami. W tamtych czasach kobiety nie rozmawiały o swoich mężczyznach przebywających na froncie. Można było je zobaczyć siedzące przy wejściu do domu. Robiły na drutach, dziergały ciepłe skarpety i swetry niezbędne na froncie, szaliki i czapki. Nigdy jednak nie rozmawiały o wojnie, o śmierci.

I tak mijał dzień po dniu. W miasteczku zapanowała niesamowita cisza. Chaotyczny gwar panujący zazwyczaj na targu ustąpił miejsca przytłumionym, ledwo słyszalnym głosom. Starzy sprzedawcy mówili cicho, ponieważ byli smutni i zmęczeni, i wcale nie chcieli poznawać tej nowej wojny. Matki mówiły cicho, ponieważ zajęte były wyczekiwaniem na swych synów, którzy, jak podpowiadało im serce, wkrótce wrócą do swych domów. Nikt nie miał ochoty rozmawiać, śmiać się czy targować. Kupowało się to, co było niezbędne. Towarów brakowało, jedzenia brakowało, ale to nie było ważne, i tak lepiej było nam tutaj niż tam na froncie.

Nawet w domu rozmawiało się przyciszonym głosem z obawy, że jakieś nieprzyjacielskie oczy i uszy mogłyby czaić się za rogiem. Kiedy kumy Nenna, Antonietta i Nannina przychodziły do nas w odwiedziny po południu, siadały wszystkie przy wejściu, obok amarantowej szafki. Rosetta ustawiała wiklinowe krzesła w okrąg, a ja siadałam zawsze najbliżej schodów, żeby móc z łatwością wstać w razie konieczności. Wszystkie wyciągały z toreb jakąś robótkę na drutach do dokończenia.

Jeśli Stara Pleciuga zaczynała opowiadać którąś ze swoich historii o jakimś biedaczynie, który oddał życie na froncie, Margiala natychmiast podnosiła rękę. W tym jej geście było tyle złości i zdecydowania, że mieliśmy wrażenie, że nawet poruszające się lekko powietrze zatrzymywało się nagle. Nasze oddechy też się wyciszały. Dopiero wtedy do starej kumy docierało, że również ona powinna zamilknąć.

Lata wojny były więc dla mnie latami wielkiego oczekiwania, dniami spędzonymi na robieniu na

drutach, wyprawami na pogrążony w posępnej ciszy targ, popołudniami mijającymi na cichych rozmowach kobiet o wszystkim, tylko nie o wojnie. Spędzało się wtedy znacznie więcej czasu razem. To pamiętam doskonale. Ludzie, bardziej niż kiedykolwiek, potrzebowali się wzajemnie. Duch wspólnoty łączył kobiety, starców i dzieci. W stadzie ludzie czuli się silniejsi. Panowało przekonanie, że nic złego nie mogło się zdarzyć, gdy byli wszyscy razem.

Czas wypełnił się oczekiwaniem. Każdy dzień, każdy miesiąc, każdy rok mógł być tym, który przyniesie radość.

„Nie martw się. Wojna wkrótce się skończy”, podpowiadał mi jakiś głos w mojej głowie, kiedy tylko się budziłam. Bo nawet jeśli nie znałam jej z bliska, bardzo chciałam, żeby to wreszcie nastąpiło. Chciałam, żeby Giuseppe wrócił już do domu, chciałam nawet, żeby wrócił Domenico „Białe Oko”.

„Dlaczego nie dziś rano?” – powtarzałam sobie i wyobrażałam sobie kumę Nanninę pędzącą co tchu w piersi przez ulicę i krzyczącą, że mężowie, synowie, wnuczki niedługo powrócą do domów. Na razie jednak nic takiego się nie działo.

CZEŚĆ VII
TANCE

Lato 1947 roku

– Popraw mi kokardę.

– Twoja kokarda jest idealna. Za to ja muszę zmienić spódnicę, ta jest zbyt obcisła w biodrach, jak myślisz?

– Żartujesz? Chciałabym mieć takie biodra!

Przeglądałyśmy się z Cornelią w dużym lustrze w sypialni mamy, ja zachwycałam się swoimi biodrami, a ona ważyła w dłoniach swoje niewielkie piersi.

– Oddaj torebkę, łobuzie – wrzasnęłam w pewnej chwili na Francesca.

Nasz młodszy brat wyrastał na straszego urwisa. W jego wyglądzie wciąż jeszcze było coś z dziewczęcej delikatności, anielskiej wręcz niewinności, ale nie można było powiedzieć tego samego o jego charakterze.

Szybko nauczył się kraść. Początkowo były to drobiazgi, a to pomidor, a to rzepa, ale z biegiem czasu jego skłonności do kradzieży nasiliły się.

Francesco wracał do domu ze wszystkim, co tylko nawinęło mu się pod rękę. Nie było na niego sposobu. Margiala próbowała siłą zatrzymać go w domu, ale gdy tylko spuściła go z oka, ten natychmiast uciekał. To powodowało, że była zrozpaczona. Wciąż ubolewała, że ma w domu czarną owcę.

– Powinnam była wiedzieć już wtedy, jak dobierałeś się do cycka swojej siostry, że nie wyrosnie z ciebie porządny człowiek.

Pewnego razu mama złoila go tak bardzo, że na jego czole pozostał trwały ślad – długa blizna.

– Teraz dobrze zapamiętasz wszystkie cukinie, które ukradłeś – zdierała gardło rozzłoszczona.

Doprawdy żadna z nas nie była w stanie pojąć, do czego były mu potrzebne wszystkie te cukinie. To jeszcze bardziej doprowadzało Margialę do wściekłości – kraść nie z konieczności, ale dla rozrywki.

Innym razem, jakby nie miał już dość batów, pojawił się w domu z rowerem większym niż on sam.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Znalazłem – wytłumaczył z miną aniołka. Jego blizna wciąż jeszcze była świeża, lśniła czerwienią.

– Od kiedy to rowery znajduje się na ulicy?

Wzruszył ramionami, nie zważając na wzburzenie matki.

– Jeśli zaraz nie pójdziesz oddać go tam, skąd go wzięłeś, dostaniesz takie lanie, że na twoim czole pojawi się druga blizna, jeszcze większa – krzyknęła głosem stanowczym i nieznoszącym sprzeciwu, chwytając gruby kij.

Kiedy oburzała się do tego stopnia, jej oczy zwężyły się i nabierały ciemniejszych barw, odzwierciedlając zachmurzenie jej duszy. Stawały się dwiema metalowymi pinezkami na mlecznym oceanie.

– Długi Tonino ma taki sam rower – odważył się odpowiedzieć.

– Nic a nic nie obchodzi mnie Długi Tonino. On ma ojca, który napęłnia brzuchy żony i dzieci. Nic dziwnego, że ma rower.

– To nie moja wina, że nie mam ojca – odpowiedział, turlając po ziemi kamyk przetartym czubkiem buta.

Odpowiedź Margiali była bardziej stanowcza i wymowna, niż mogłyby to wyrazić słowa.

Pompatycznym gestem uderzyła tę anielską twarzą.

– Lepiej uważaj i nie przywołuj ojca, bo to był dobry człowiek i serce by mu pękło, gdyby widział, jakiego syna spłodził.

Słowa przyszły dopiero po gestach, wymówione z większym skupieniem i już pozbawione złości, ponieważ mama chyba tak mocno zadawała ciosy, że wyładowywała w ten sposób cały gniew, po czym uspokajała się i odzyskiwała panowanie nad sobą.

Francesco, masując dłonią bolący policzek, skierował się do wyjścia, by odstawić rower tam, gdzie go znalazł.

– Długi Tonino ma taki rower – mruzczał pod nosem jak małe dziecko, oddalając się w stronę placu Umberto. Może właśnie tam go ukradł. Wielu starszków zwykło zostawiać swoje rowery bez opieki w uliczkach odchodzących od placu i szło oddawać się swoim codziennym pogaduszkom albo wchodziło do baru Riccarda, by napić się dobrej kawy i schrupać nadziewane ciastko.

Jeśli chodzi o Długiego Tonina, był on synem rzeźnika – wysokim, chudym i niezwykle bladym chłopcem. Gdy był mały, zachorował na polio i teraz kulął na jedną nogę, która wyraźnie była słabsza i chudsza od drugiej.

Był o dwa lata starszy od Francesca. Jego ojciec miał trochę grosza, dzięki czemu chłopak mógł w jakiś sposób zrekompensować sobie poczucie niższości względem innych dzieciaków biegających po ulicy zwinnie i szybko jak zające. On mógł im się jedynie przyglądać. Czasem tylko pozwalał sobie na szybszy marsz i ciągnął po ziemi tę chudą nogę, która nie nadążała za drugą.

Jeśliby posłuchać mego brata, można było odnieść wrażenie, że inni mieli zawsze wszystkiego więcej niż on – pieniędzy, jedzenia, ubrań, butów, nawet powietrza. Według starego Drzazgi takie były wszystkie dzieci, które wychowywały się bez ojca. Mamę irytowały konstatacje tego typu i najchętniej Drzazgę też zdzieliłaby po plecach. Nie dziwiłam się jej jednak wcale, że wciąż obawiała się, że któregoś dnia jej syn skończy jako przestępca i przez swoją głupotę zarobi kulkę w łeb.

Czasami myślałam sobie, że to może jakiś demiurg zesłał Margiali tego syna, będącego żywym dowodem na to, że nawet w jej królestwie nie wszystko zawsze toczyło się tak, jak ona tego chciała.

Gdy Francesco oddał portmonetkę Cornelli, była już opróżniona ze wszystkich monet, które wcześniej brzęczały w środku. Wykradł je ze zwinnością godną sroki.

– Jesteś małym rzezimieszkiem – rzuciła gniewnie moja siostra.

Wydawało się jednak, że nic nie ruszało ani nie raniło tego małego łobuza o anielskiej twarzy, niezważającego na reguły panujące w naszym domu. Zupełnie tak jak niektóre krzewy wybijające się z dziesiątek innych rosnących równiutko obok siebie roślin, wypuszczające pączki w zupełnie przeciwną stronę, mimo że rodzą się z identycznego nasiona, są podlewane z taką samą pieczołowitością, ogrzewane jednym słońcem i zraszane tym samym deszczem.

– Przez ciebie się spóźnimy – wymamrotałam, wprowadzając ostatnie poprawki w mojej fryzurze.

Od jakiegoś czasu nie miałam już grzywki à la Colbert, zbyt wyrafinowanej i niepasującej – jak uznałam – do mojej natury. Ciemnokasztanowe loki opadały mi na ramiona i żeby utrzymać ich elegancki kształt, wsmarowywałam w nie brylantynę.

Pewnego dnia, gdy na polecenie mamy udałam się do zielarza Alda, ten, widząc zmianę, powiedział mi, że przypominam teraz Luisę Feridę.

– Naprawdę, wyglądasz jak Lucrezia – rzekł, myśląc o wieśniaczce, którą grała Ferida w filmie o Salvatore Rosie. Jego słowa przepełniły mnie dumą. Nie wiedziałam, jak wyglądała tamta Colbert, lecz słysząc jej imię, wyobrażałam sobie, że była elegancką i smukłą piękną. Natomiast

o Feridzie wiedziałam wszystko i nigdy nie przegapiłam żadnej okazji, by zobaczyć film z jej udziałem, szczególnie od kiedy otworzyli kino Carella. Kino to było prawdziwą atrakcją i zastąpiło objazdowe kina z czasów reżimu oraz stare taśmy, które jeszcze czasem wyświetlano w oratorium⁹. Niestety, zarówno ja, jak i Cornelia miałyśmy kategorię zakaz chodzenia do kina.

– To tylko kolejna wymówka, żeby się poobściskować – krzychała mama, gdy prosiłyśmy ją o pozwolenie.

Natomiast ona sama chętnie wybierała się na jakiś film. Lubiła patrzeć na Feridę, tak samo jak lubiła patrzeć na Valentiego, na widok którego wzruszała się za każdym razem, ponieważ przypominał jej świętej pamięci męża.

Cornelia miała na sobie różową sukienkę z bufkami, dopasowaną w talii i wydekoltowaną na plecach. Ja natomiast włożyłam koszulę w kropki i czarną spódnicę, która podkreślała moje krągłe biodra i upodabniała mnie jeszcze bardziej do Lucrezii. Moja siostra wciąż była smukłą niczym nordycka piękność i miała jasną, zaróżowioną skórę. Brzoskwiniowe wargi, powabne i pełne, były jedyną zaokrągloną częścią jej ciała. Narzekała zawsze na swoje niewielkie piersi i teraz, gdy obie byłyśmy już kobietami, stosowała sztuczkę, dzięki której nadawała swoim krągłościom objętości – wsuwała w stanik odrobinę waty. Oczywiście w tajemnicy przed Margialą.

Patrząc na nas, zapewne nikt nie powiedziałby, że jesteśmy siostrami – wiadomo, że już od dziecka zawsze odstawałam od reszty rodzeństwa, teraz jednak te różnice jeszcze się pogłębiły.

W wieku osiemnastu lat wciąż miałam lekką nadwagę i nie straciłam niepohamowanego apetytu. Nauczyłam się jednak, że nie zawsze krągłości muszą być czymś złym, więc nawet jeśli nadal nie lubiłam moich umięśnionych i dość krępych nóg, to na szczęście podobały mi się moje miękkie i duże piersi.

Gospoda kumy Antonietty idealnie nadawała się do przekształcenia jej w prowizoryczną salę taneczną, a dla takich dwóch młodych kobiet jak ja i Cornelia nie istniało w owym czasie nic bardziej ekscytującego niż tańce.

Powodów do świętowania mogło być wiele, a fakt, że ludzie w końcu pozbyli się osaczającego smrodu wojny, a także dotkliwego głodu, na pewno nie należał do mało istotnych. Wokół czuło się coraz bardziej radosną atmosferę, bo nawet ci, którym wojna odebrała synów, mężów czy domostwa, powoli zaczęli wieść normalne życie.

Giuseppe wrócił cały i zdrowy, podobnie jak Domenico „Białe Oko” czy moja siostra tego chciała, czy nie. Mój brat nie zmienił się ani z wyglądu, ani z charakteru. Cieszył się, że znowu jest w domu i nie musi już rozmawiać o tym, czego doświadczył. Margiala na wszelki wypadek, o nic nie pytała, zresztą kobieta tak kochająca ciszę jak ona nie mogła nie szanować milczenia innych. My po prostu przyjęliśmy do wiadomości fakt, że życie znowu toczyło się swoim torem, mniej więcej tak jak przedtem.

Natomiast obecności Domenica prawie się nie zauważało. Dwa dni po powrocie z wojny poszedł z powrotem do pracy w kuźni, u boku brata i ojca. Ich życie płynęło dalej dokładnie od tego miejsca, w którym zostało zawieszona. Domenico zrobił się tylko jeszcze bardziej chudy. Wyglądał teraz jak ogromny patyczak.

Z dalekiej Ameryki wrócił też mąż kumy Antonietty, co było chyba najważniejszym powodem, dla którego kuma chciała zorganizować zabawę – musiała przecież uczcić ten fakt.

Po długich latach nieobecności, podczas których zaczęła się już nawet uważać za wdowę, jej mąż pojawił się niespodziewanie w rodzinnych stronach.

Zachodziłam w głowę, jakich wyjaśnień udzielił jej ten człowiek, by wytłumaczyć swoje zniknięcie. Może winne były listy, które nigdy nie dochodziły, a może praca, która całkowicie go pochłonęła. W każdym razie choć przegapił dorastanie swoich dzieci i narodziny pierwszych wnuków, nie wydawało się, żeby jakoś specjalnie się tym przejmował.

Jego żona natomiast znów chciała, by Margiala wróżyła jej z fusów kawy.

– Może lepiej nie – powiedziała mama ostrożnie, gdy kuma pojawiła się u nas w domu z taką prośbą.

– Ale teraz mój mąż już wrócił. Nic złego nie może mnie spotkać. Chyba nie myślisz, że znowu wyjedzie? – odpowiedziała swoim jak zawsze piskliwym głosem.

– No dobrze, ale potem nie mów, że cię nie ostrzegałam. Uwierz mi, że byłoby lepiej, gdyby niektóre rzeczy pozostały dobrze ukryte na dnie filizanek.

Kuma Antonietta jednak na co dzień karmiła się plotkami i prosić ją o to, by poskromiła swoją ciekawość, było jak prosić słonia o ostrożność.

– Widzę czarną kobietę – zaczęła Margiala, na co kuma wyprostowała się na krześle i wyciągnęła szyję, chcąc ujrzeć dno filizanki, którą mama trzymała w dłoniach.

– Co jeszcze widzisz?

Mama spojrzała na nią surowo swymi zimnymi oczami, które mieniły się jak kamienie szlachetne, po czym podniosła się z krzesła i poszła opłukać filizankę w zlewie.

– Zobaczymy następnym razem, co dalej. Teraz lepiej idź i ciesz się powrotem męża – spuentowała pospiesznie i oschle, nie ujawniając kumie, że przy czarnej kobiecie, którą ujrzała, był

również jej mąż i gromadka dzieci.

Kuma Antonietta wyszła, przyciskając torebkę do piersi i pomrukując po cichu wciąż te same dwa słowa: „czarna kobieta”. Zastanawiała się, co to mogło oznaczać. „Czarna, czyli ubrana na czarno, czy może czarna, bo miała czarną skórę?” – rozważała głośno.

Gdy już przeszła przez próg drzwi, które Margiala przed nią otworzyła, przez chwilę chciała zawrócić i wypytać o szczegóły. Odwróciła głowę i spojrzała na mamę swymi wąskimi oczami, otwierając usta i nabierając oddechu, już prawie gotowa do wyrażenia swoich wątpliwości. Potem, może ogarnięta chwilowym przebłyskiem rozsądku, wycofała się z tego zamiaru i wróciła do mrużenia sobie pod nosem, zostawiając za plecami dom Margiali. Tydzień później zaprosiła wszystkich mieszkańców okolicy na uroczyste uczczenie powrotu męża.

Takie tańce stały się w ostatnim czasie w naszych stronach powszechne, zapewne dlatego, że stanowiły dobrą okazję do spotkań. A po wojnie ludzie bardzo lubili cieszyć się z życia. Toteż takie potańcówki organizowano dość często, gdzie tylko się dało, także w przydomowych gospodach, w których najważniejsze były dwa elementy: muzyka i wiklinowe krzesła. Pierwszy służył wielu różnym celom, spośród których taniec był chyba ostatnim. Nuty rozluźniały napięte języki i pozwalały podnieść tę kurtynę, która od tysiącleci dzieliła świat mężczyzn od świata kobiet.

Krzesel natomiast nie mogło zabraknąć, ponieważ wszystkie dziewczęta prezentowały swe wdzięki, siedząc na nich jak na wystawie. Jedna obok drugiej, często trzymające się za ręce, oczekiwały na jakiegokolwiek spojrzenie, na spełnienie marzenia, może nawet na miłość.

Jeśli o mnie chodzi, mimo iż byłam już w odpowiednim wieku, by wyjść za mąż, wciąż zamiast typowego dla kobiet zainteresowania płcią przeciwną odczuwałam raczej frustrację kogoś, kto nie czuł się dobrze w swojej skórze.

Mężczyźni reprezentowali sobą wszystko to, co zawsze chciałam mieć, i w efekcie czułam do nich coś w rodzaju zawiści. A może raczej chorej i upartej zazdrości. I tak, podczas gdy inne dziewczęta, które przychodziły na tańce, wzdychały do jakiegoś śmiałego młodzieńca, ja również wzdychałam, ale wcale nie dlatego, że podziwiałam jego urok czy inteligencję, lecz dlatego, że czułam, jak coś gryzło mnie od środka i nie dawało spokoju.

Margiala zgodziła się, żebyśmy poszły na tańce, dopiero po długiej litanii prośb i pod dwoma warunkami: po pierwsze Giuseppe musiał nam towarzyszyć, a po drugie mogliśmy chodzić tylko na te tańce, które były organizowane w domach znajomych i zaufanych osób.

– Chyba nie myślicie, że pozwolę wam iść do gospody jakiegoś niegodziwca, razem z tym całym motłochem. Niektórym się poprzewracało w głowach po tej wojnie. Bo wojna to gnój i pozostaje nim nawet wtedy, gdy już się kończy. Niektórym się wydaje, że wszystko im wolno tylko dlatego, że już nie słyszą bomb.

W pewnym sensie Margiala miała rację. Rzeczywiście ostatnimi czasy uważało się, że można sobie pozwolić na więcej swobody. Teraz, gdy wojna się wreszcie skończyła, ludzie czuli przyzwolenie do robienia głupstw, przekraczania granic, zupełnie jak osoby, które dowiadują się, że będą żyć, po tym jak został im już wydany wyrok śmierci.

Większość z nas miała wrażenie, że wszystko zaczęło się odradzać. Oczywiście nie Margiala, która zawsze twardo stąpała po ziemi i miała się na baczności, ponieważ dostała od losu już tak wiele ciosów, że chyba wciąż przygotowywała się na nadejście kolejnych.

– Oddaj monety siostrze – wrzasnęła Margiala, spoglądając na anielską twarz Francesca.

– To był tylko żart, mamo.

– Tak samo jak z rowerem, prawda? – Uderzyła go dłonią w kark, ale nie ze złością. Tamtego dnia nawet Margiala była w dobrym humorze. Po raz pierwszy ona też szła z nami na tańce. Nie mogła

odmówić, ponieważ Stara Pleciuga by jej tego nie wybaczyła.

Jedynym kobiecym akcentem, na jaki sobie pozwoliła, było pociągnięcie ust oliwą z oliwek. Co do reszty, była taka jak zawsze – zawinięta w swoim kokonie, który nosiła przez całe życie, czyli czarnej sukience sięgającej do kostek, z dłońmi splecionymi na brzuchu i włosami ściągniętymi w kok. Obserwowałam ją przez kilka chwil, gdy przeglądała się przelotnie w lustrze.

Czasami wzbudzała we mnie ogromną czułość. Także teraz. Może to przez tę sukienkę, tę samą od dwudziestu lat. W szafie, którą trzymała zawsze zamkniętą na klucz, miała je tylko dwie na zmianę. Potrzebowała tak niewiele do życia, odkrywała tak niewiele z siebie, że czasem naprawdę pragnęłam, by coś w niej pękło, by zdecydowała się żyć znowu tak jak inne kobiety.

– O, tu są moje kobiety – rzekł Giuseppe, wchodząc do sypialni. Poprawił sobie kołnierzyk koszuli i chwycił Francesca za ucho.

– Au, to boli! – krzyknął jego młodszy brat, przewracając oczami.

– Na pewno dzisiaj coś przeszkrobałeś, więc ci się należy.

Potem uszczypnął mamę w policzek. To, że ośmielił się jej dotknąć, obdarzając ją czułym gestem, aż odebrało mi dech w piersiach. Ona wykrzywiła swoje usta, już nie tak pełne jak kiedyś, w delikatnym uśmiechu. Myślę, że na nic więcej nie było jej stać. Dostrzegłam wtedy jej zaróżowione policzki, jak u młodego dziewczęcia, i przez chwilę pomyślałam, że może je sobie pomalowała, ale potem ta myśl wydała mi się tak nierealna, że natychmiast o niej zapomniałam.

Spojrzałam na starszego brata zdziwiona jego zachowaniem. Spontaniczność, z jaką wykonał ten pełen synowskiej czułości gest, wprowadził mnie w zdumienie. Pomyślałam, co by było, gdybym to ja zrobiła, gdybym czule dotknęła policzka Margiali albo objęła ją w pasie. Chyba nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić takiej sytuacji. Jakakolwiek czułość między mną i Margialą była nie do pomyślenia, w pewnym sensie sam fizyczny kontakt z nią wydawał mi się prawie nieprzyzwoity.

– Francesco – oznajmiła władcym tonem Rosetta, zwracając się do młodszego brata – zostaniesz pod opieką wuja Domenica.

Wyglądała przepięknie w lekkiej, kwiecistej sukience, którą uszyła specjalnie na tę okazję. Spięła swoje piękne, jedwabiste włosy, wypuszczając kilka pojedynczych, perfekcyjnie ułożonych loków, które opadały jej na policzki. Miała na nogach błyszczące czarne buty z niewielkim obcasem podkreślającym jej długie i zgrabne nogi.

– Wujek Domenico nie lubi tańców, a ty jesteś jeszcze za mały, żeby z nami pójść – wyjaśniła.

– Zawsze tak jest. Dorosli się bawią, a dzieci muszą znosić targanie za uszy. – Burknął gniewnie.

Zniknął w korytarzu, drepcząc szybko jak pająk po chwiejnej pajęczynie. Miał na sobie krótkie spodenki, które odsłaniały jego pozdierane kolana oraz przybrudzone już ziemią białe skarpetki.

Tuż obok domu kумы Antonietty, od strony drogi, znajdował się uroczy ogród otoczony niskim murkiem z bielonych cegieł. Rosło w nim mnóstwo drzewek owocowych. Gałązki uginały się pod ciężarem brzoskwiń, owoców poziomkowca i śliwek, którymi można było napęlić fartuchy. Szelest liści poruszanych delikatnym wietrzykiem przypominał szum falującego morza.

Już od tak dawna nie widziałam morza! Przeszła mi zupełnie ochota na wędkowanie, a tamte czasy, gdy pędziłam w wąwozie co tchu w piersi razem z Pietrem, ścigając się do przystani, wydawały mi się tak odległe.

Pamiętam podmuchy smagające nasze twarze, tym mocniejsze, im bardziej roślinność i sucha ziemia wąwozu ustępowały miejsca przybrzeżnym skałom. Pamiętam różnokolorowe łódeczki kołyszące się wzdłuż plaży. Najbardziej podobały mi się te czerwono-niebieskie, ponieważ przypominały mi jednocześnie morze i ziemię. Figlarne rozpryski białej piany uderzającej o skały i szum wiatru, który wzburzał fale, nim ocierał się o nasze twarze.

Wszystko miało teraz takie poetyckie barwy, pachniało mglistymi wspomnieniami, czymś bardziej wyobrażonym niż naprawdę przeżytym, tak jakby Pietro był wymyśloną postacią, jakby nigdy nie żył i tym samym – nigdy nie umarł.

Wieczór spędzony na tańcach u kумы Antonietty miał na zawsze odmienić moje życie, zaznaczając wyimaginowanym pędzlem na wyimaginowanym płótnie to, co naprawdę miało znaczenie, i to, co było tylko przelotne.

Zanim weszłyśmy, zauważyłam, że Rosetta wyciągnęła ze swojej miniaturowej torebki malutki złoty przedmiot w kształcie walca, zdjęła jego nasadkę i pokryła swoje pełne usta dwiema warstwami jasnej czerwieni. Mama skarciła ją wzrokiem i szturchnęła łokciem.

– Przypominam ci, że jesteś mężatką.

Moja siostra schowała szminkę do torebki i udała, że słucha Margiali, ale i tak jej usta już nabrały niezwykłej czerwoności. Zazdrościłam jej. Mama na pewno złołaby mi skórę, więc musiałam nacieszyć się oliwą z oliwek, której ostry smak czułam od czasu do czasu w gardle.

Ta żywa czerwień idealnie kontrastowała z lekką sukienką w kolorze jaskrów sięgającą kolan, luźną w biodrach i talii. Cięża w żaden sposób nie zmieniła jej sylwetki i w moich oczach Rosetta jawiła się zawsze jako ta najładniejsza z nas wszystkich, najbardziej podobna do mamy. Wyobrażałam sobie, że mama za młodu musiała być tak samo piękna jak jej pierworodna córka.

W gospodzie kумы Antonietty, która przypominała trochę karczmę dla typów spod ciemnej gwiazdy, było nas tak dużo, że chłód, jaki zazwyczaj panuje w takich podpiwniczonych pomieszczeniach, zamienił się w nieznośną wilgoć, która osadzała się na szyi w postaci potu.

Moja koszula w kropki przyklejała mi się do skóry i do piersi tak, że ogarniała mnie ochota zerwania z siebie tego duszącego materiału i pozostania w samej bieliźnie, czym na pewno wprawiłabym wszystkich w zdumienie. Nie znosiłam tego uczucia ściśnięcia szorstką tkaniną, w żadnym wypadku nie podobało mi się bycie skrepowaną – zarówno jeśli chodziło o ubrania, jak i o życie.

Usiadłyśmy z Cornelią dokładnie na wprost schodów, mając nadzieję na to, że przynajmniej tam dochodziły lekkie powiewy wiatru z zewnątrz, a jednocześnie chcieliśmy jako pierwsze widzieć wszystkich gości, którzy pojawiali się w drzwiach.

Obok nas usiadły bliźniaczki Laterza, córki jednego z dwóch tapicerów z naszej okolicy, tego,

który – jak mówiono – dobrze wykonywał swój zawód, ale był zmuszony do wielomiesięcznych przerw z powodu swojego złego stanu zdrowia. Były mniej więcej w wieku Corneli, może trochę starsze, ale wyglądały o wiele poważniej – zapewne z powodu makijażu, który sobie sprawiły, chcąc zwrócić uwagę jakiegoś potencjalnego kandydata na męża.

Tak czy inaczej, ani róż na policzkach, ani czarna kredka na powiekach, ani jaskrawa szminka na ustach nie wystarczały, by naprawić to, co stworzyła matka natura. Niestety, brzydoty bliźniaczek nie były w stanie zatuszować żadne pudry. Może winny temu był zbyt wydatny podbródek, może haczykowany nos, który zdawał się ocierać ostrym czubkiem o usta zredukowane do wąskiej, bladej kreski. Jako małe dziewczynki często stawały się pośmiewiskiem chłopców, którzy przezywali je wiedźmami.

Rosetta i Margiala usiadły w pobliżu czegoś w rodzaju lampionu pokrytego pajęczyną, przez który wpadało do pomieszczenia wątłe, delikatne światło spotęgowane blaskiem żarówki zwisającej z sufitu. Tynk odchodził ze ścian pokrytych wilgocią i w całym pomieszczeniu unosił się zapach pleśni i stęchlizny. Wydawało się jednak, że nikt z obecnych nie przykładał wagi do wyglądu tej prowizorycznej sali tanecznej. Najważniejsza była rozmowa, dobre jedzenie i muzyka.

Tadino, mąż kumy Antonietty, zajmował się zabawianiem żonatych mężczyzn, trzymając kieliszek wina w jednej dłoni, a papierosa w drugiej. Na szczęście niezapalonego.

Płyta gramofonu obracała się powoli, roznosząc w powietrzu romantyczne nuty. Nie znałam tej melodii, w przeciwieństwie do Corneli, która zaczęła cicho podśpiewywać, rozglądając się dookoła.

– Masz piękny głos. Powinnaś śpiewać. Mogłabyś zrobić karierę.

– Jasne – odparła, próbując mnie zbyć. Wydawało mi się, że nawet lekko się zarumieniła, słysząc, że chwałę jej talent, ale było zbyt ciemno, by powiedzieć to z całą pewnością.

Prawie wszystkie krzesła, ustawione w rzędzie dookoła sali, były pozajmowane, ale siedziały na nich głównie kobiety pochłonięte rozmową. Mężczyźni woleli stać i dyskutować o ważnych, jak się wydawało, sprawach.

Bliźniaczki Laterza nie należały do interlokuterek, z którymi chętnie prowadziło się konwersacje, więc ograniczałam się jedynie do wymienienia z nimi kilku grzecznościowych zdań i obserwowania nowych przybyłych, w oczekiwaniu na kogoś, o kim można byłoby poplotkować.

Okazja pojawiła się szybciej, niż sądziłam. Zobaczyłam zbliżających się w naszą stronę dwóch mężczyzn o wyglądzie zgoła różnym od wyglądu innych gości. Pierwszy z nich, starszy, jedną ręką trzymał cygaro przy ustach. Drugą dłoń chował w kieszeni. Schodził po pogrążonych w mroku schodach z taką swobodą, jakby ciemność nie stwarzała dla niego żadnej przeszkody. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jego garnitur uszyty był z wysokiej jakości szarego lnu, a złote spinki do mankietów błyszcząły jak rybie łuski w słońcu.

Drugi zaś był wierną kopią tego pierwszego, tyle że o jakieś dwadzieścia lat młodszą. Mężczyźni byli do siebie niesamowicie podobni, z tym tylko wyjątkiem, że u tego pierwszego pojawiły się już siwe pasemka we włosach. Młodzieniec miał na sobie taki sam garnitur i identyczne spinki do mankietów. Na szczęście ten nie palił cygara. Zauważyłam tylko, że jego usta były niezwykle czerwone, wręcz powabne, śmiało mogłyby należeć do kobiety.

Jego jasne, mieniące się złotymi refleksami włosy były uczesane z przedziałkiem na boku i dobrze wygładzone, zapewne kilkoma warstwami brylantyny.

Kuma Antonietta od razu podbiegła do swoich gości, zasypując ich mnóstwem pochlebstw. Tymczasem po sali zaczęły już krążyć ciche komentarze. – Adwokat Loiacono – szeptali wszyscy naokoło.

Starszy z mężczyzn pochylił się i uściskał dłoń kumy w życzliwym powitaniu. Również Tadino

opuścił kompanię, którą dotąd zabawiał rozmową, wyrzucił niezapalonego papierosa na podłogę i uklonił się przed swymi gośćmi. Młody chłopak stojący za adwokatem był niezwykle wysoki i garnitur jeszcze bardziej wysmukłał jego sylwetkę. Kiedy te dwie postaci zbliżyły się do nas i zostały oświetlone bladym światłem żarówki, zauważyłam, że nad górną wargą młodzieńca widniał delikatny, jasny wąsik, który dodawał mu kilka lat. Miał duże, kasztanowe oczy i długie rzęsy. Również one, tak samo jak smukłe palce i dłonie, które zapewne nie wiedziały, co to praca fizyczna, zdradzały niezwykle delikatny i wyrafinowany charakter.

– To adwokat Loiacono, jeden z najlepszych w Bari, i jego syn, Lorenzo – rzekła jedna z bliźniaczek Laterza.

Cornelia przytaknęła szybkim ruchem głowy, ja również, ale w inny sposób niż moja siostra, prawie od niechcienia. Inni obecni mężczyźni poszli w ślady gospodarza i zaczęli po kolei witać się z nowo przybyłymi. Prawdę mówiąc, zastanawiałam się, co mogli robić tak dystyngowani panowie w takim obskurnym miejscu, do którego zresztą w żaden sposób nie pasowali.

Jedna z bliźniaczek chyba czytała w moich myślach, bo natychmiast zwróciła się do mnie, udzielając mi niezbędnych wyjaśnień.

– Zdaje się, że adwokat rozwiązał sprawę własności. Antonietta sprzedała ziemię, przez którą będzie prowadzić droga. Na pewno dostała dużo pieniędzy.

Powinłam była się domyślić, że miały z tym wszystkim związek pieniądze i interesy, ponieważ w innym wypadku takie osobistości nie mieszały się z nami, plebejuszami.

Pochłonięta opowieściami bliźniaczki nawet nie zorientowałam się, że obok mnie coś się dzieje.

Moja siostra i Lorenzo stali wpatrzeni w siebie. Trwało to dłuższą chwilę. Cornelia, może ośmielona mrokiem, który nie zdradzał jej zaczerwienionych policzków, i młody adwokat, który – jak przypuszczałam – miał wrodzoną pewność siebie. Te ich spojrzenia szybko przyniosły konsekwencje.

Kilka tygodni później, gdy obraz siostr Laterza, adwokata Loiacono i dusznej gospody kumy Antonietty stawał się bladym wspomnieniem, ktoś sprawił, że odzyskał on nagle wszystkie swe kolory. Adwokat Loiacono pojawił się u nas w domu razem ze swym synem.

To był jeden z tych upalnych dni, w których nawet cień na tarasie nie był w stanie uczynić gorąca bardziej znośnym. Jeden z tych dni, w których najchętniej pobiegłabym nad morze i pozwoliłabym się kołysać szumowi fal, zamiast wsłuchiwać się w metaliczny brzdęk wrzeciona i koncentrować się na wykańczaniu grubych swetrów na zimę.

Francesco jak zwykle gdzieś się włóczył. Tydzień wcześniej wrócił do domu z okropnym guzem na głowie.

– Furтка była otwarta, mamó – próbował się tłumaczyć przed Margialą, która, gdy tylko dowiedziała się, co się rzeczywiście wydarzyło, wściekła się jeszcze bardziej i sprąła go na kwaśne jabłko.

Tego dnia nawet Rosetta się w swoim mieszkanku, aby uchronić małego Vincenza przed rozżarzonymi promieniami. Ciężko było utrzymać go z dala od ogrodu, więc moja siostra napełniała niewielką balię wodą ze studni, zanurzała w niej malca i pozwalała mu pluskać się pod daszkiem przy wejściu do jej pokoju.

Obserwowała go uważnie przez okno, ciesząc się, że przynajmniej on mógł się trochę ochłodzić.

Warsztat, w którym z Cornelią musiałyśmy dziergać swetry, był zbyt ciasny i niski, aby mógł się w nim pojawić choćby najmniejszy powiew wiatru. Było tam tylko jedno okrągłe okno, które na dodatek otwierało się tylko w połowie i przepuszczało niewiele światła. Siedziałyśmy z podsuniętymi do góry spódnicami, żeby się ochłodzić, ale i tak pot spływał nam po nogach i podrażniał rozgrzaną do czerwoności skórę.

– Ach, najchętniej ściągnęłabym nawet majtki – westchnęła Cornelia, wycierając pot wewnętrzną stroną dłoni.

– To zrób to. Kto cię tu może zobaczyć?

Uśmiechnęła się i podniosła sukienkę aż po piersi, wachlując się jej lekką tkaniną.

– Ciekawe, jak mama znosi ten okropny upał. Szczelnie zawinięta w ciemną sukienkę i opasana dziesiątkami szarych fartuchów – zapytałam i ostentacyjnie owinęłam się trzema szalami, udając Margialę przechadzającą się po pokoju.

Mama ostatnio zamęczała nas swoim nieustannym biadoleniem, które towarzyszyło jej obojętnej postawie wobec nas wszystkich. Może – lecz ta myśl przyszła mi do głowy znacznie później – Margiala uświadamiała sobie, jak bardzo wydorosłałyśmy. A skoro my byłyśmy dorosłe, to oznaczało, że ona nieuchronnie się starzała. Świadomość tego mogła ją doprowadzać do wściekłości.

– Cornelio, swetry mają być idealne... A ty, Diamante, pamiętaj, żeby wszystkie naczynia w zlewie ułożone były w tę samą stronę, gdy je zostawiasz do wyschnięcia. Nie zapominaj o tym!

Gdy to mówiła, wybijała rytm, uderzając palcami o stół. Tak jakby jej głos nie był wystarczająco ostry, by utrzymać w ryzach roztargnione córki. W rzeczywistości robienie swetrów szło Corneli i znakomicie i ja też dawałam sobie nieźle radę. Ale Margiala była niesiona niepohamowaną koniecznością zachowania swojego sztywnego porządku, tak jakby przeczuwała, że coś powoli, ale bezlitośnie przecieka jej przez palce.

Resztki młodości stawały się coraz bledszymi i boleśniejszymi wspomnieniami, długi okres milczącej żałoby zdejmował z niej maskę, ukazując prawdziwą kobietę.

Coraz rzadziej pozwalała nam na chwile wolności. Kiedy wydawała swoje rozkazy, robiła to z obsesyjną powtarzalnością, obligując nas wymierzonym w naszą stronę palcem do perfekcyjnego wykonania jej poleceń, w dokładnie takiej kolejności, jaką wyznaczyła. Zatrzymywała się, skupiając się na tym, co powiedziała, po czym po raz kolejny powtarzała tę swoją instrukcję.

– Swetry mają być zrobione porządnie. Ludzie muszą wiedzieć, że dostają dobrą robotę. – Ileż razy słyszałyśmy już to zdanie!

Mama niechętnie zostawiała nas same z naszymi powinnościami, uznając, że pod jej nieobecność na pewno rozmawiałybyśmy sobie beztrosko, zamiast ciężko pracować.

Lubiłam ją przedrzeźniać, naśladowując jej ruchy, zdecydowany chód i obsesyjnie powtarzane gesty – od śmierci taty mama nie mogła pozbyć się nawyku zbierania niewidzialnych okruszków ze stołu. Gdy ją w tym naśladowałam, Cornelia zaśmiewała się do rozpuku, ale często jej szczery śmiech zamieniał się w duszący kaszel. Robiła tak, gdy chciała mnie ostrzec, ponieważ Margiala, niczym duch z zaświatów, potrafiła pojawiać się znikąd, milcząca i wściekła.

Także tego dnia, gdy naśladowałam ją owinięta w niewygodne szale, pojawiła się zniecka. Mimo upału była szczelnie opatulona, a na jej czole nie sposób było dojrzeć choćby kropelkę potu. Spojrzała na mnie z ukosa, ale tym razem, o dziwo, nic nie powiedziała. To podsunęło mi myśl, że musiało się stać coś naprawdę ważnego.

– Mamy gości – rzekła oschle.

Wymieniłyśmy z Cornelią zdziwione spojrzenia.

– Przyszedł adwokat Loiacono ze swoim synem. Doprowadźcie się do porządku.

Mogłabym przysiąc, że ekspresja, jaka malowała się na twarzy mamy, miała coś z zakłopotania. Być może związane to było ze wstydem spowodowanym tym, że taki człowiek jak adwokat Loiacono mógł zobaczyć nędzę panującą w naszym domu, dostrzec odrapane schody i nadgryzione zębem czasu poszarzałe filizanki.

Ze zdumieniem obserwowałam Cornelię, jej wielkie oczy, ten sam wyraz zdziwienia i oczarowania, jaki rodzi się na twarzy dziecka na widok kosza ze słodyczami. Czy ta iskierka pomiędzy dwoma spojrzeniami mogła wywołać całe to zainteresowanie?

To była jakaś dziwna chemia, której jeszcze nie mogłam rozumieć, mimo moich kobiecych bioder i dużego biustu. Nie znałam jeszcze tego uczucia, gdy serce wali jak młot, a ślina zasycha w gardle, gdy spotykasz wzrok jakiegoś nieznajomego i coś podpowiada ci, że dałabyś wszystko, żeby wtulić się w jego ramiona. Tak jak nie wiedziałam również, że Cornelia nie będzie moja na zawsze, że matczyne dom jest łonem, w którym zagrzewa się miejsce tylko na pewien czas. Z drugiej strony, można było się domyślić, że ktoś taki jak Cornelia przyciągnie swą nieprzeciętną urodą kogoś naprawdę wyjątkowego. I wszystko wskazywało na to, że tak się właśnie stało.

Margiala pobiegła zawołać również Rosettę. Zobaczyłam siostrę, jak idzie pospiesznie do nas, prowadząc za rękę dziecko. Założyła buty na wysokich obcasach podkreślających jej zgrabne stopy. Na ustach znów miała tę wyzywającą czerwień i zapewne mama znów skarciła ją za to wzrokiem.

Mnie jednak nie interesowała Rosetta, z którą zresztą, odkąd wyszła za mąż, miałam gorszy kontakt, lecz Cornelia.

– Matko święta, i co ja teraz na siebie włożę? – wzdychała bliska popadnięcia w histerię.

– Spokojnie, siostrzyczko. Jesteś tak piękna, że podbijesz jego serce, nawet jeśli wyjdiesz w łachmanach.

– Jestem cała spocona. Wyglądam naprawdę okropnie – Cornelia panikowała coraz bardziej

i w sumie trudno było się jej dziwić.

Chwyciłam ją mocno za ramiona, podczas gdy z dołu już dochodziły nas głosy starszego Loiacono, który podziwiał urodę małego Vincenza.

– Oddychaj głęboko, otwórz szafę, wyjmij jakąś koszulę, najlepiej tę białą w czerwone kwiaty, i czerwoną spódnicę, tę z falbankami, którą uszyła ci mama. Rozpuść włosy i zobaczysz, że będziesz jak gwiazda filmowa.

– Dobrze – odpowiedziała, wzdychając. – Gdybym tylko miała choć trochę tej szminki Rosetty.

– Daj spokój ze szminką. Nie byłoby ci w niej do twarzy.

Ubierała się bardzo pośpiesznie, prawie rozrywając szew spódnicy.

– Ja zejść na dół i zobaczę, co się tam dzieje.

Chociaż starałam się uspokoić Cornelię, czułam, że również wewnątrz mnie coś drżało, i to uczucie nie było do końca pozytywne. Cieszyłam się, że być może Cornelia będzie szczęśliwa, ale zdawałam sobie też sprawę, że to wydarzenie może wiele zmienić także w moim życiu. Na razie jednak nie chciałam myśleć o tym dłużej, toteż odganiałam od siebie natarczywe myśli.

Margiala posadziła gości przy wejściu, na tych samych wiklinowych krzesłach, na których każdego popołudnia spoczywały wielkie pośladki kum z sąsiedztwa. Poprosiła Rosettę o wyjęcie z kredensu eleganckich kieliszków, tych amarantowych ze złotymi obwódkami, i znalezienie likieru cytrynowego, który był jej specjalnością. Sekret jej przepisu tkwił w dodaniu do niego papryczki, która nadawała mu wyjątkowo intensywny aromat.

Inna rzecz, że mama, gdyby tylko mogła, dodawałaby papryczkę do wszystkiego, ponieważ była przekonana o jej dobroczynnych właściwościach wzmacniających układ krwionośny, serce i odporność.

– Wystarczy łyk i od razu przejdzie panu katar – powiedziała, podając kieliszek starszemu Loiacono. Nie było to może najlepsze zdanie na rozpoczęcie konwersacji godnej salonów, ale jedynym salonem, jaki знаła mama, były przecież wiklinowe krzesła przy wejściu.

Adwokat wypił wszystko jednym haustem, mrużąc z zadowolenia, gdy delektował się tym słodko-kwaśnym napojem.

– Przepyszny, pani Anito, moje uznanie.

Mama uśmiechnęła się zawstydzona. Nieczęsto zdarzało się, że ktoś zwracał się do niej tak oficjalnie i grzecznie, prawie już nie pamiętała swojego prawdziwego imienia.

Obserwowałam z ukosa młodego Loiacono odzianego w zgoła inny strój niż tamtego wieczoru na tańcach. Zarówno on, jak i jego ojciec mieli na sobie przewiewne spodnie z ochrowego lnu, na jaki mój ojciec nie mógłby sobie pozwolić, nawet pracując ciężko przez cały miesiąc. Ich koszule były proste, obie w pastelowych odcieniach, z rękawami podwiniętymi do łokci, a brązowe buty były wykończone delikatnym szwem. Młody Loiacono siedział ze skrzyżowanymi nogami. Zatrzymałam wzrok na jego skarpetkach wykonanych z delikatnego materiału, który wyglądał jak jedwab. Te szczegóły nie mogły przejść niezauważone i jestem pewna, że Margiala również je dostrzegła.

Usiadłam naprzeciwko Lorenza, przyglądając mu się uważnie, podczas gdy on posyłał mi radosne spojrzenie, które przypominało mi łagodność, z jaką patrzy się na małe dzieci. Zrozumiałam wtedy, że w gruncie rzeczy dla niego byłam tylko młodszą siostrą tej wspaniałej, pięknej kobiety, która wzbudziła w nim tak wielkie zainteresowanie.

Wtedy poczułam do niego niechęć. Nabrałam bowiem pewności, że przyjechał tutaj, by zabrać moją siostrę. Miałam ochotę wstać, wyjść na środek szczerego pola, stanąć z szeroko rozstawionymi nogami, tak jak zwykła robić to mama, i wrzeszczeć w niebogłosy. Dlaczego chciał mi odebrać moją siostrę, jedyną, z którą żyłam w symbiozie? Jeśli utrata Rosetty wywołała we mnie przerażliwie

uczucie pustki, to już tylko myśl o utracie Cornellii sprawiała, że odczuwałam niemożliwy ból.

Vincenzo kręcił się wokół nas, zainteresowany gośćmi. Był już na tyle duży, że powinien się z nami jakoś komunikować, a jednak mówienie przychodziło mu z trudem. Myślę, że robił to z premedytacją i przebiegle zdecydował się nie ujawniać tej umiejętności, przekonany o tym, że lepiej jak najdłużej trzymać język za zębami.

Mówię to dlatego, że gdy już stwierdził, że nadszedł odpowiedni moment, sylaby i dźwięki wydobywały się z jego ust strumieniami, bez ustanku, niczym nieprzerwany łańcuch terminów i zwrotów, niekiedy wręcz zbyt błyskotliwych jak na dziecko. Już w tej decyzji można było wyczytać jego kalkulacyjną naturę, która zresztą miała przejawiać się w wielu przyszłych skłonnościach.

– Nie ma się co dziwić, patrząc na to, jakiego ma gadatliwego ojca – tłumaczyła Rosetta, zrzucając winę na biednego Domenica, co było z jej strony bardzo złośliwe.

– To naprawdę godne podziwu, jak pani, samotna kobieta, daje sobie z tym wszystkim radę – ciągnął adwokat, który najwyraźniej zdecydował zjednać sobie twarde serce Margiali pochlebstwami.

– Robi się w życiu to, co się musi. Najczęściej bywa tak, że to samo życie wybiera za nas – odpowiedziała, popijając likier.

Mama nie mogła poszczycić się tak wyszukanyim językiem, jakim posługiwał się adwokat, ale w jej słowach kryła się prosta mądrość, której nawet taki ktoś jak Loiacono nie mógł nie docenić.

– Święte słowa, pani Anito. Ja również zawsze uważałem, że za to, do czego doszliśmy w życiu, musimy dziękować albo przypisywać winę komuś, kto jest ponad nami. To dlatego powtarzam mojemu synowi, żeby twardo stąpał po ziemi, ponieważ to, co dzisiaj wydaje się szczęściem, jutro może przestać istnieć.

Młody Loiacono przytakiwał tak, jakby nauki wygłaszane przez ojca były lekcją, którą znał już na pamięć.

Po chwili zauważyłam, że jego wzrok powędrował w stronę schodów i stał się dziwnie rozmarzony.

Cornelia schodziła pospiesznie, jej zwiewna spódnica falowała przy każdym ruchu, a ona okazywała spokój, którego wcale nie odczuwała.

– Dzień dobry – odezwała się, jak przystało na dobrze wychowaną niewiastę.

Rosetta rzuciła jej pełne zdziwienia spojrzenie, poirytowana jej niewymuszonym wdziękiem. Miedziane włosy bujnymi falami opadały miękko na jej ramiona. Przed pójściem spać moja siostra zaplatała sobie warkocze i kładła się z nimi do łóżka. Rankiem, kiedy je rozplatała, jej włosy układały się w gęste, wijące się fale sięgające prawie do pośladków.

Wyglądała jak prawdziwa wróżka i w tym momencie Ferida, do której miałam być tak podobna, wydała mi się prostacka i dzika w porównaniu z nią.

– Droga pani Anito, chciałbym zamienić z panią kilka słów. Zostawmy młodych, niech konwersują sobie swobodnie na tematy, które bardziej interesują ich w tym wieku.

Cornelia i Lorenzo wymienili się spojrzeniami na odległość, ona widocznie onieśmielona, on z pewną siebie miną, jaką mogły mu zapewnić jego pozycja i portfel.

– Czym się pan zajmuje, panie Lorenzo? – wtrąciła się Rosetta, ale zrobiła to w taki sposób, jakby chciała wejść na scenę i zwrócić na siebie uwagę i spojrzenia młodzieńca, odbierając tym samym prymat swojej siostrze.

– Studiuję prawo – odpowiedział. – Za rok powinienem skończyć studia. Chcę pójść w ślady mojego ojca.

– No tak, to musi być wspaniałe doświadczenie. Wie pan, że Cornelia skończyła naukę na trzeciej

klasie – skomentowała z żalem w głosie.

Spojrzałam na nią groźnym wzrokiem, ale zlekceważyła mnie. Dlaczego, u licha, musiała podkreślać teraz pozostawiające wiele do życzenia wykształcenie naszej siostry? To było nikczemne posunięcie.

Cornelia zaczerwieniła się i spuściła wzrok, nie mogła przecież zaprzeczyć.

– Kobieta może mieć inne talenty, a poza tym mądrość nie zależy od tego, ile klas się ukończyło – spuentował Lorenzo, okazując wciąż to samo opanowanie.

Spodobała mi się jego odpowiedź i to, jak potrafił dobierać słowa, wyszukując te, które najlepiej pasowały do danej sytuacji. Niezbyt skąpe, niezbyt wylewne, a idealne, by trafić w samo sedno. Poczułam gulę w gardle, ponieważ coraz trudniej było mi czuć oburzenie wobec tego młodzieńca, który okazywał tyle szacunku dla kobiet. Nie byłam przyzwyczajona do takich mężczyzn. Nie żeby mój ojciec nie szanował Margiali, wręcz przeciwnie, ale robił to w bardzo prosty sposób, bez ubierania swoich myśli w piękne, czułe słowa. Bez zbytej ostentacji, dyskretnie i z typowym dla wieśniaków przekonaniem, że każdy miał na świecie swoje określone miejsce zarówno mężczyźni, jak i kobiety – i niektóre rzeczy nawet z biegiem czasu nie mogły ulec zmianie.

– Pij swój likier – nakazałam Rosetcie, napawając się satysfakcją ze zwycięstwa, jakie odniósł nad nią Lorenzo.

Okres narzeczeństwa trwający rok. Kilka odwiedzin w tygodniu, koniecznie w domu Margiali, i parę wspólnych wyjść do kina albo na spacer po placu Umberto, wyłącznie pod czujnym okiem Giuseppe.

Takie warunki postawiła mama starszemu Loiacono. Ślub miał się odbyć zaraz po zakończeniu studiów Lorenza. Cornelia miała przeprowadzić się do Bari, do domu przyszłego męża, który był wystarczająco duży, by pomieścić dwie rodziny – tym bardziej, że adwokat był wdowcem i obecność kobiety w domu mogła okazać się dla niego prawdziwym błogosławieństwem.

A więc tak to działało? Wystarczyło przyjść w odwiedziny któregoś pięknego upalnego dnia, wypić łyk likieru, przejść się po ogrodzie, podziwiając kwiaty, zamienić kilka zdań w cztery oczy, uścisnąć dłoń, a los dziecka był przesądzony.

Wydawało mi się to wszystko niedorzecznie proste i absurdalne w swojej banalności. Więc za kilka lat jakiś inny młodzieniec miał się pojawić w naszym domu, chwając moje wdzięki i żądając mojego życia w zamian? A może miałam skończyć jak Rosetta, porwana i zmuszona do poślubienia człowieka, którego nie kochała? Nie podobała mi się żadna z dwóch możliwości. I chociaż nie znałam miłości, byłam pewna, że chciałam najpierw poczuć jej smak, zobaczyć, jakie emocje wywołuje, dogłębnie poznać znaczenie uderzeń mojego serca. Cała sprawa ze ślubem mogła przyjść dopiero po tym wszystkim.

Prawdę mówiąc, nie byłam nawet przekonana, czy chciałam znaleźć miłość. Czułam się całkowicie odporna na jakiegokolwiek uczucia, które mogłyby przybrać tę nazwę. I choć z jednej strony wyobrażałam sobie romantyczne zachody słońca nad brzegiem morza, fale roztrzaskujące się o skały, oślepiające promienie słońca padające na czarne kamienie, słowa szeptane na wietrze i obietnice wiecznego zjednoczenia, z drugiej uważałam się za osobę zimną i twardą jak Margiala, niezdolną do odczuwania prawdziwej miłości. Ze mną będzie inaczej. Przynależało mi tego dnia, w którym ręka Corneli została obiecana pięknemu adwokatowi.

Tym, co najbardziej złościło mnie w kwestii małżeństwa Corneli, była – po raz kolejny – reakcja Margiali. Czy naprawdę nic nie obchodził jej fakt, że miała stracić córkę? Czy nie było jej ani trochę żal? Po tym jak Cornelia wprowadzi się do nowego domu, nic już nie będzie takie samo; jeśli się z nią spotkamy, to zapewne tylko podczas niedzielnego obiadu, z czasem przestaniemy mieć kontakt, bo ona będzie już żyła w swoim świecie, do którego my nie będziemy miały dostępu. Czy naprawdę mamie nie zależało na swych dzieciach?

Przerażał mnie również fakt, że mogę zostać sama z Margialą. Domyślałam się, że jej gniew i wściekłość się skumulują i spadną na mnie z jeszcze większym impetem niż dotychczas.

Na razie jednak mama wykazywała obojętność zarówno wobec mnie, jak i Corneli.

Jej chłód był jak gęsty, szary dym wypełniający cały dom. Wnikał we wszystko i przejawiał się we wszystkim, co robiła. Obojętność, z jaką normalnie przygotowywała krem do nadziania ciastek świętego Józefa, z jaką przyrządzała roladki cielęce, z jaką wykańczała ostatnie elementy posagu Corneli. W tym czasie prawie wcale ze sobą nie rozmawiałyśmy, zwłaszcza nie rozmawiałyśmy o Corneli, o jej przyszłości. Mama w ogóle nie zastanawiała się, jak bolesna okaże się dla mnie utrata siostry.

Czasami przyglądałam się jej z daleka. Patrzyłam tak wnikliwie, że aż bolały mnie oczy. Nie dojrzałam jednak cienia emocji na jej twarzy, jakby w ogóle zaręczyny, a potem małżeństwo

Cornelii nie istniały.

Myślę, że moja nienawiść do Margiali pogłębiła się właśnie w tym okresie. Znów weszłam z nią na wojenną ścieżkę. Wszystko robiłam dokładnie odwrotnie, niż sobie tego życzyła. Jeśli chciała, żeby talerze były poukładane w zlewie w równe stosy, od największego do najmniejszego, ja odkładałam je zupełnie bezładnie. Jeśli chciała, żebym wieszała koszule na sznurkach na podwórku za rękawy, ja zaczęłam je za kołnierzyki. Pokrywa studni miała być zawsze zamknięta na kłódkę. Ja zostawiałam ją otwartą. Zmieniałam ustawienie garnków, jak mi się żywnie podobało, i zostawiałam krem na ogniu dokładnie w momencie, kiedy zaczynał się gotować. W ten sposób kleisty gorący płyn kipiał, buchając żółtawą pianą. Łamałam, jedną po drugiej, wszystkie jej zasady, przekonana, że ta moja wojna to dobra kara za jej obojętność.

Margiala reagowała na moje nieposłuszeństwo zawsze z taką samą stanowczością, wciąż tymi samymi, pełnymi wściekłości słowami:

– Nigdy się nie zmienisz, Diamante.

Zauważyłam jednak, że jej głos stawał się już coraz bardziej drżący, coraz słabszy. Jakby zrozumiała wreszcie, że nie ma już nade mną żadnej kontroli, że w gruncie rzeczy mogę robić, co chcę, a ona i tak nad tym nie zapanuje.

Jeszcze więcej problemów mama miała ze swoimi dwoma synami. To oni spędzali jej sen z powiek. Giuseppe, odkąd wrócił z wojny, przestał interesować się domem. Był nieuchwytnym cieniem, który pojawiał się i znikał, a jeśli już gościł w domu, najczęściej robił to tylko po to, by się najeść.

Mama psioczyła wtedy na niego, wyrzucając, że trwoni czas i pieniądze w burdelu. Byłam już na tyle dorosła, by mieć jakieś pojęcie, co miała na myśli, choć prawdę mówiąc, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak wyglądały kobiety, które tam pracowały. Oczywiście wyobraźnia podsuwała mi rozmaite obrazy, nie miałam jednak możliwości skonfrontować ich z rzeczywistością.

O ile ze mną czy z Giuseppe udawało się mamie czasem dojść do porozumienia, zupełnie inaczej było w przypadku Francesca. Kradzieże stały się dla niego codziennym zajęciem, wręcz rozrywką. Ostatnim razem przyszedł do domu z głębokim rozcięciem na głowie i mama, zazwyczaj odporna na takie widoki, tym razem niemal zemdląła, kiedy go zobaczyła.

Później dowiedzieliśmy się, że braciszek dostał niezłe lanie od właściciela drzewek oliwkowych i figowych, które w sezonie obsypywały się owocami wielkimi jak jabłka. Teren ten był ogrodzony murkiem, ale dla mojego brata znaczenie słowa „własność” było niezrozumiałe. Zdecydował, że te figi będą jego i nie zważał na możliwe konsekwencje swojego czynu. Wdrapał się na największe i najbardziej dorodne drzewo i zaczął wypełniać owocami fartuchy mamy, które zabrał ze sobą z domu. Tym razem jednak kradzież się nie udała. Trafił w ręce krzepkiego, barczystego mężczyzny, który wymierzył mu sprawiedliwość, nie bacząc na to, że ma do czynienia z dzieckiem.

– Kiedyś cię zabiją – powiedziała Margiala prawie ze łzami w oczach – ale zanim to nastąpi, wcześniej ja cię zatłukę gołymi rękami.

W tym czasie polala ranę octem, czując się zupełnie bezsilna wobec tak dużej ilości krwi, która sączyła się z głowy Francesca na szarą posadzkę. Margiala wywoływała Matkę Boską i wszystkich świętych, prosząc o zmiłowanie się nad jej synem, ale wydawało się, że mój najmłodszy brat nie brał sobie do serca tych lekcji i każdy bat jeszcze bardziej podsycił jego odwagę.

Margiala sprawiała wrażenie coraz bardziej zmęczonej, coraz bardziej doświadczonej przez życie, wychudzonej i coraz bardziej schowanej pod swoim czarnym pancerzem.

Nadeszło lato, a moja siostra miała wziąć ślub na początku lipca. Jej posag był już gotowy. Ona

sama pracowała nad nim przez cały ten rok, wykańczając prześcieradła falbankami i wyszywając na rękawnikach imiona swoje i swego przyszłego męża. Przypominała mi mniszkę, która z zaangażowaniem i pasją oddaje się żmudnej, precyzyjnej pracy, pochylona nad igłą i tkaniną, bez narzekania, bez najmniejszego nawet jęknięcia.

Podczas tych miesięcy, gdy obserwowałam ją, jak rzetelnie pracuje, zdałam sobie sprawę, że myliłam się, sądząc, że jest ona najslabszą z nas. Cornelia może była wątła i nadmiernie wrażliwa, ale odmawianie jej hartu ducha było z mojej strony głupotą. Po latach okazało się, że to właśnie ona miała mieć w życiu najlepiej z nas wszystkich, być może dlatego, że od początku wiedziała, czego chce.

Myśl o tym, że Cornelia opuszcza nasz dom, nie dawała mi spokoju i nie pozwalała mi zasnąć. Podczas jednego z takich bezsennych wieczorów spędzanych na przechadzkach po ogrodzie, wsłuchiwaniu się w koncert świerszczy i cykad dostrzegłam zapaloną świeczkę w sypialni mamy. Okiennice były ledwie uchylone i przy odrobinie szczęścia mogłam spróbować zobaczyć jej sylwetkę.

Podeszłam do okna z nadzieją, że złapię ją na chwili słabości. Podobnie jak uczyniłam to w dzieciństwie, nie zważałam na to, że naruszam granice jej prywatnego świata.

– Jesteś złą dziewczyną – szeptałam sama do siebie, jak wtedy, gdy byłam mała, ale świadomość tkwiącego w moich czynach zła wcale mnie przed nimi nie powstrzymywała.

Włosy, zwykle zaczesane do tyłu tak mocno, że wydawały się odrywać od skóry, opadały teraz w nieładzie rozpuszczonymi puklami, w większości siwymi, z czarnymi prześwitami. Oczy błyszczały w świetle świeczki, ale wydawały się zmęczone i niezwykle smutne. Margiala była naga i przeglądała się w lustrze.

Opuszczone wzdłuż ciała ręce, piersi wciąż jędrne i okrągłe, pulsujące, chowane pod jarzmem szarych fartuchów. Brzuch, kiedyś twardy, teraz był wiotki, tworzący kilka fałdek, które opadały na łono. Pośladki zaś – spłaszczone i obwisłe. Jedyne nogi okazywały wciąż werwę kobiety pracującej, smukłe i umięśnione, z wystającymi kościstymi kolanami.

Prawie brakowało mi tchu, gdy obserwowałam ją w tej bezbronnej nagości. Porównywałam suchą linię jej bioder z krągłością moich, jej brzuch, doświadczony przez kolejne cięższe, z moim brzuchem, w którym jeszcze nic się nie rozwinęło.

Czy mama czuła uciekające lata? Postrzępione kawałki młodości przebłyskiwały jedynie miejscami w kształtach jej ciała, a długi okres żałoby chylił ją ku starości i samotności.

Kiedy właściwie Margiala była młoda? Czy kiedykolwiek była szczęśliwa?

Wiedziałam, że następnego ranka zobaczę ją jak zwykle pełną szorstkiej pogardy, zamkniętą w swojej surowej zbroi. Ale w tamtym momencie w moich oczach jawiła się jako kobieta, niewiarygodnie krucha i samotna. Gdyby tylko pozwoliła się dotknąć! Gdyby chciała wtulić się w ramiona córki i wyzalić na swój los.

Tydzień po weselu Cornellii ogarnęła mnie niepohamowana chęć zobaczenia siostry. Nigdy tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebowałam jej bliskości, aż do dnia, gdy mi jej zabrakło. Nie miałam żadnego konkretnego powodu, by ją odwiedzić, ale to nie miało znaczenia. Mogło przecież chodzić o jakiś banał, o jakąś prostą rzecz, jak na przykład o to, jakiego ściegu użyć w swetrze, który robiłam dla wnuczki kumy Antonietty, albo którą spódnicę włożyć na tańce.

Wysłałam szybko, wykorzystując fakt, że Margiali nie było w domu. Na szczęście jakaś kobieta miała wydać na świat potomka i mama udała się, by jej pomóc. Nie wiem, jak to było możliwe, że w tak małej miejscinie codziennie rodziło się jakieś dziecko.

Nałożyłam ciasną koszulę, która spłaszczała mi biust, i czarną, satynową spódnicę. Na wszelki wypadek unikałam patrzenia ludziom w oczy, obawiając się, że mogliby wyczytać na mojej twarzy poczucie winy. Przeszłam pospiesznie ulicę Di Venere, pomiędzy wywieszonymi prześcieradłami, które falowały na wietrze, wdychając zapach sosu pomidorowego, wydobywającego się z mieszkań przez otwarte okna. Upał był tak niemiłosierny, że z trudem chodziło się po ulicy.

Po kilku minutach znalazłam się na stacji kolejki na placu Umberto, napięta jak struna w skrzypcach, ponieważ dookoła mnie byli tylko mężczyźni, wszyscy eleganccy w garniturach i krawatach.

Oddychałam z trudem. Coś w środku sprawiało, że czułam się jak jedna z kobiet z tych domów publicznych, do których uczęszcza Giuseppe. Byłam zakryta od kolan aż po szyję i mogłam być pewna, że nie było widać ani jednego szczegółu mojego ciała, ale i tak czułam się naga i bezbronna.

Na szczęście już po chwili podjechała kolejka i usiadłam na wolnym siedzeniu, obok starszej, dobrze ubranej pani, dzięki której czułam się mniej samotna. Ale ona też zmierzyła mnie wzrokiem, a w jej spojrzeniu było coś z pogardy.

Odwróciłam głowę w drugą stronę, koncentrując się na adresie Cornellii w nadziei, że uda mi się go odnaleźć.

Bari wydawało mi się prawdziwą wieżą Babel. Plac przy dworcu był jednym wielkim rojowiskiem ludzi wchodzących i wychodzących jak szalone pszczoły poszukujące miodu. „Gdzie się wszyscy tak spieszą?“, pomyślałam, oszołomiona hałasem skuterów przejeżdżających tą długą i prostą ulicą, zgiełkiem słów i odgłosów, biciem zegara, który informował, że była punkt dwunasta. Rozejrzałam się wokół, ale gdzie wzrokiem sięgnąć, widziałam jedynie pędzących we wszystkich kierunkach ludzi, kierujących się pewnie do jakiegoś im wiadomego celu, stojących się malutkimi, czarnymi punkcikami znikającymi na horyzoncie, i ogarnęła mnie panika, ponieważ tam nie było żadnej kumy, do której mogłabym zwrócić się z pytaniami. Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam sobie, że przecież adwokat taki jak Loiacono musiał być w Bari powszechnie znany.

Jakiś starszy pan przeszedł przede mną, wachając cygaro.

– Przepraszam pana, szukam tej ulicy – powiedziałam, przybierając skromny wyraz twarzy i wymachując mu przed oczami pogniecioną i wilgotną od potu kartką. Starzec zmierzył mnie od stóp do głów gburowatym spojrzeniem. Instynktownie przesunęłam dłoń za uchem, szukając ratunku przed całym tym onieśmieleniem. Starszy pan zatrzymał swoje zaczerwienione i wilgotne oczy na kartce papieru, po czym pokręcił energicznie głową, mówiąc z obłudną uprzejmością:

– Przykro mi, panienko, ale nie wiem, gdzie jest ta ulica.

I odszedł w swoją stronę.

Wybrałam innych dwóch, trzech przechodniów, przemierzających tę ogromną ulicę, której nazwy nie znałam, i która wydawała mi się nie mieć końca. Wszyscy jednak odpowiadali mi w ten sam sposób.

Oparłam się o ścianę okazałej kamienicy – jej fasada ciągnęła się aż do następnej przecznicy.

Zauważyłam, że za moimi plecami znajdowała się witryna kawiarni, z różowymi zasłonami układającymi się w harmonijkę i girlandami kwiatów na parapecie. Przysłoniłam oczy dłonią, tworząc z niej tarczę przeciwko promieniom słońca, i zajrzałam do środka przez szybę. Nigdy nie byłam w kawiarni, a już na pewno nie w tak eleganckiej.

Zdałam sobie sprawę, że zaledwie parę kilometrów od mojego domu, na wyciągnięcie ręki, znajdował się zupełnie inny świat. Nowoczesność, od której dzieliło mnie kilka kroków. Poczulałam wściekłość, że takie życie nie było mi dane.

Właśnie wtedy ją zobaczyłam. I było to dla mnie jak grom z jasnego nieba. Dłoń schowana w jego dłoni, wdzięczące się usta, z których zapewne płynęły słodkie słowa. Noga założona na nogę, wystawiająca na pokaz cienki obcas buta. Każdy jej gest przejawiał złe zamiary, mimika wydawała się dobrze wystudiowana, dokładnie obmyślona, zmysłowa i lubieżna. Wyteżyłam słuch, żeby poznać chociaż część z tego, co do siebie mówili pomiędzy pełnymi porozumienia uśmieškami, które swą mocą przypominały błyskawice rozdzierające burzowe niebo.

On wyglądał na wyrosniętego chłopaka, miał okrągłe, zaróżowione policzki i delikatny, ciemny wąsik nad wydatnymi ustami. Na nogach miał czarne lakierki, tak samo błyszczące jak jego czarne zaczesane do tyłu włosy, dzięki czemu wyglądał jak dandys. Była w nim pewność siebie godna aktora i właściwie nie można się było dziwić, że Rosetta straciła głowę dla tak fascynującego mężczyzny.

Jej włosy były zaczesane na bok i upięte w luźny kok, z którego wychodziło kilka kosmyków. Przytrzymała go mieniąca się spinka, której mama nigdy nie pozwoliłaby jej założyć. Jasna cera wydawała się biała jak mleko w porównaniu z kontrastującym ogniem ust.

Patrzyłam na Rosettę i pomyślałam sobie, że, ona też przypominała jakąś aktorkę teatralną, jedną z tych femme fatale, które wiedzą, jak sprowadzić mężczyznę do swych stóp.

„Gdzie jest dziecko?“, zadałam sobie nagle pytanie. W pewnym momencie on podniósł jej dłoń, którą do tej pory trzymał w swoich, i przyłożył ją sobie do ust. Pocałował zmysłowo, wpatrując się w nią oczami, które nie ukrywały pożądania. Ona odpowiedziała spojrzeniem. Wstali oboje od stolika, pospiesznie zapominając o dobrych manierach. Przytuliłam się plecami do szyby, próbując stać się niewidzialną, podczas gdy oni wychodzili szybkim krokiem z kawiarni. Ona trzymała pod rękę swojego kochanka i kołysała biodrami jak aktoreczka. Rozmawiali ze sobą jak dwoje zakochanych.

Patrzyłam za nimi, aż zniknęli za rogiem. Początkowo kusilo mnie, żeby za nimi pójść. Wyobraziłam ją sobie w jego objęciach, wzdychającą z rozkoszy. Jednak po chwili odegnałam od siebie tę okropną myśl, zamieniając ją na wizję małego Vincenza, który swym milczeniem skrywał jakieś tajemnice, a nawet na wyobrażenie bezradnej twarzy Domenica „Białe Oko“, który tyrał jak wół od rana do wieczora i nigdy nie zdołał podbić serca swej żony.

Zrobiło mi się go żal. Natomiast nie byłam pewna, co czułam wtedy wobec mojej siostry. W gruncie rzeczy w swoim małżeństwie nie zaznała szczęścia. Czy grzechem było szukanie go gdzie indziej?

Zaczęło mi się kręcić w głowie i nagle ten świat wydał mi się tak inny od mojego świata, przepelniony pułapkami i pokusami. Schowałam kartkę do torebki i ruszyłam z powrotem w stronę przystanku kolejki, odrętwiała i zmęczona.

Pomyślałam o Corneli, o jej pięknym domu, i miałam nadzieję, że przynajmniej ona była szczęśliwa.

CZĘŚĆ VIII
MIŁOŚĆ

Lato 1950 roku

Minęły prawie dwa lata od ślubu Cornellii i dnia, w którym odkryłam, że Rosetta prowadzi podwójne życie. Powoli godziłam się z myślą, że nasze egzystencje obrały różne drogi. Musiałam zaakceptować fakt, że pokrewieństwo do niczego nas nie obliguje. Nieraz zastanawiałam się, czy moja siostra, gdyby przyprzeć ją do muru, przyznałaby się do swych grzechów, czy ograniczyłaby się może do wzruszenia ramionami i stwierdzenia, że powinnam zajmować się własnymi sprawami.

W niedzielę, podczas mszy, obserwowałam ją uważnie. Wyglądała dostojnie, choć miała poszarzałą ze zmęczenia cerę. Siedziała u boku swego męża i syna w ciemnym, skromnym stroju. Na jej twarzy malowało się skupienie, a dłonie składały do modlitwy. Zastanawiałam się, o czym rozmyśla, gdy siedzi tak poważna i milcząca. Czy często wspominała tego pięknego chłopca, z którym widziałam ją w kawiarni? Przyłapywałam się ciągle na tym, że próbuję czytać jej w myślach, i wtedy przenosiłam wzrok na twarz mamy, zastanawiając się, ile bólu sprawiłabym jej, gdybym wyznała tajemnice skrywane przez najstarszą córkę.

Margiala natomiast, może z powodu ciężaru upływających lat, których nie mogła przecież zatrzymać, stała się jeszcze bardziej surowa niż kiedykolwiek wcześniej. Mówiła niewiele. A jeśli już się odzywała, to tylko po to, by wydać nam jakieś rozkazy. Poświęciła się wyłącznie pracy, by, jak twierdziła – chyba trochę przesadzając, bo przecież nie byliśmy aż tak biedni – nie dać się pokonać nędzy.

Zupełnie inaczej wiodło się Cornellii. Rok po ślubie urodziła dziecko, śliczną dziewczynkę z blond loczkami i mleczną cerą. Kiedy przyjeżdżała do nas z córeczką w odwiedziny, mama wprost rozpływała się na widok tego różowego zawiniątka, odnajdując w sobie wreszcie jakąś radość. Miło było widzieć ją taką, choć czasem robiło mi się smutno, że nigdy nie doświadczyłam z jej strony takiej serdeczności. Nie pozwalałam sobie jednak na zbyt dużą tkliwość. Radowałam się, że mama się cieszy wnuczką, od śmierci taty właściwie się nie uśmiechała.

– Jest taka podobna do ciebie – mówiła do Cornellii ciepłym głosem, jaki rzadko mogliśmy usłyszeć.

Naturalność, szczerść jej słów w pewien sposób skreślała długie lata, podczas których mama obsypywała nas naganami, złością i chłodem.

– Zostań na obiad. Robię potrawkę, którą tak lubisz. – Łasiła się wręcz do średniej córki, starając się bardzo skrócić dystans, jaki ją z nami dzielił.

– Nie mogę, mamó. Muszę wracać do domu – odpowiadała za każdym razem Cornelia głosem pełnym uprzejmości. Wiedziałam jednak, i Margiala zapewne też, że w jej słowach kryje się chęć ucieczki. Ona już nie należała do tego miejsca, miała swój dom, w którym była szczęśliwa.

Moja siostra spoglądała na mnie swoim łagodnym wzrokiem, jakby chciała przeprosić za to, że jej życie toczy się teraz zupełnie gdzie indziej, że ten dom i ten ogród zostały schowane gdzieś głęboko w pamięci i wcale nie miała ochoty do nich wracać.

Słyszając jej wymówki, Margiala wracała do mieszania sosu, by się nie przypalił. Milczała. W gruncie dobrze wiedziała, jaką odpowiedź usłyszy.

Zostałyśmy właściwie teraz w domu we dwie, ona i ja. Obie miałyśmy mnóstwo powodów do zmartwień z powodu nieustannych wybryków Francesca. Margiala jednak nauczyła się panować zarówno nad swoją złością, jak i nad rozpaczą z powodu niegodziwego syna. Stała się w stosunku do niego jeszcze bardziej oschła, niż była dla nas. Unikała wszelkiego kontaktu z nim. Chyba

spodziewała się najgorszego – że jej syn kiedyś się doigra, zostanie pobity, albo nawet gorzej. Rzeczywiście, po nim mogliśmy spodziewać się wszystkiego.

– Jakie szczęście, że ojciec nie musi na to patrzeć – mówiła czasem między jedną modlitwą a drugą. I na tym właściwie kończyła się jej ingerencja w wychowanie syna, najwyraźniej zupełnie się poddała.

Po tym, jak Cornelia wyprowadziła się z naszego domu, zaczęłam odczuwać ogromną samotność. Zamknęłam się w sobie. Pochłonął mnie monotony rytym dni, które spędzałam, ciężko pracując. Od czasu do czasu docierały do mnie tylko strzępki rozmów, konstatacje kum, które już wydały na mnie wyrok i przypisały mi etykietkę starej panny. Ich zdaniem nie miałam innego wyjścia, musiałam już do końca życia mieszkać z mamą i opiekować się nią.

– Jeśli Diamante nie wyjdzie za mąż, to na pewno lepiej dla ciebie. W tym wielkim domu, taka samotna – bełkotała kuma Antonietta, zajadając się winogronami.

– Tak, samotność nie jest dobrą towarzyszką, uwierz mi. Ja ją dobrze znam – szeptała przez zaciśnięte zęby kuma Nenna.

Przysłuchiwałam się ich pogawędkom, pracując pochylona nad krosnem. Słyszając te rozmowy, często miałam wrażenie, że jestem zamknięta w jakiś kleszczach, z których zapewne już nigdy się nie wydostanę. Chciałam zatkać sobie uszy, żeby ich już więcej nie słyszeć, by sobie nie uświadomić, że czy mi się to podoba, czy nie, stare kumy mają rację.

Powtarzałam sobie w duchu, że wcale nie jest tak, że jestem już skazana na wieczne życie z mamą, ale mój upór, brak pokory słabły, jakbym już dawno temu pogodziła się z takim właśnie scenariuszem.

Margiala w ogóle się nie odzywała, zupełnie jakby temat jej samotności nie istniał, jakby nie miał znaczenia.

Często, gdy czułam na sobie ciężar presji, reagowałam zmianą nastawienia i wyglądu. Pewnego dnia zdecydowałam, że Ferida już do mnie nie pasuje, ponieważ w gruncie rzeczy odzwierciedla ona wzorzec kobiety odznaczającej się słabością. Była zmysłowa, to prawda, ale też krucha, zbyt delikatna. Taki opis zdecydowanie nie odpowiadał mojemu charakterowi. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Ja przecież pragnęłam czegoś zupełnie innego. Chciałam być panią swego losu, chciałam decydować za siebie. Myślę, że moja natura chłopczycy od czasu do czasu musiała po prostu dać o sobie znać. Zaczęłam więc od zmiany uczesania. Uznałam bowiem, że we włosach kryło się zawsze to coś, co wpływało na moje nastroje.

Któregoś pięknego ranka pokazałam się w domu z krótkimi włosami. Miriady loków okalały moją twarz i policzki.

– Hej, Betty Boop¹⁰ – skomentowała wesoło Rosetta, gdy pojawiła się w kuchni, by wziąć bochenki chleba.

Margiala spojrzała na mnie, przybierając dziwny, jakby zrezygnowany wyraz twarzy, ale nie wydobyła nawet najmniejszego dźwięku. Wzruszyłam ramionami i rozłożyłam ręce, spoglądając na moją siostrę w geście wyrażającym brak zainteresowania jej opinią.

Choć oczywiście porównanie do Betty Boop bardzo mi się podobało. To dlatego, że była ona pełną wdzięku buntowniczką, obdarzoną męskimi cechami i zdaniem konformistów zasługiwała na wykluczenie. Tak, pasowała do mnie jak ulał.

– Ferida mnie już znudziła – skomentowałam, wgrzyzając się w twardą skórkę chleba.

– Gdybyś czasem zechciała być podobna do samej siebie, może byłoby lepiej – odezwała się wreszcie Margiala.

Jej słowa były surowe i niesprawiedliwe. Mówiła pełnym zadowolenia tonem, tym samym, którym wydawała nam polecenia, jakby była otoczona aurą wyższości. Może tym razem jednak miała rację? Najczęściej skupiałam się na innych, podziwiając ich lub wzorując się na nich i budując w samej sobie jakiś rodzaj wewnętrznej sprzeczności, której nie potrafiłam pokonać. Tym samym nie umiałam powiedzieć, czego tak naprawdę chcę od życia.

Doskonale wiedziałam, kim była Cornelia – kobietą wyrafinowaną w swojej niewymuszonej prostocie, przykładną żoną i matką, zakochaną w swym mężu. Dobrze znałam też oblicze mojej siostry Rosetty – wycieczną, niezważającą na swoje powinności, namiętnej i pełnej emocji.

Kim ja byłam? A może raczej kim chciałam być? Colbert, Feridą, Betty Boop? Przyjmowałam cudze tożsamości, myśląc życie z fikcją. Niewykluczone też, że byłam kolejną „margialą”, jak przewidywała mama, skazaną na takie samo życie w surowej samotności, jakie wiodła ona.

– Muszę się przejść – rzekłam, ponieważ te doskwierające memu sercu myśli niemal wyprowadziły mnie z równowagi. Mama na szczęście tym razem nie próbowała się sprzeciwić.

Wyszłam z domu, podnosząc głowę wysoko, z zamiarem udania się na spacer. Z radością wdychałam świeże powietrze, ciesząc się swoją nową fryzurą i lekkością tańczącej na wietrze spódnicy. Słyszałam natarczywie przywołujący mnie szum morza. Oczywiście nie był on realny, byłam jeszcze za daleko, żeby mógł rzeczywiście do mnie dotrzeć, ale był wewnątrz mnie, silny i żywy.

Nawet nie zwróciłam uwagi, kiedy odgłos rozbrzmiewający w moich myślach scalił się w jeden szep z prawdziwym szumem morza. Doszłam do nadmorskich skał. Poczułam coś w rodzaju radości,

może ukojenia. Zatrzymałam się i pozwoliłam, by wiatr kołysał moją spódnicą, wprawiając mnie w przyjemne odrętwienie. Podniosłam głowę, by przyjrzeć się uważnie niebu.

I wtedy nagle otarłam się o plecy jakiegoś nieznanego, którego wcześniej nie zauważyłam.

– Niech panienka wybaczy – powiedział.

Nim zdążyłam się odwrócić, on potknął się i zachwiał niebezpiecznie. Nie zastanawiając się długo, wyciągnęłam rękę, by pomóc mu utrzymać równowagę. Delikatny kontakt, wyładowanie elektryczne, być może takie jak to, które połączyło Cornelię i Lorenza owego wieczoru na tańcach u kумы Antonietty. Byłam tego pewna, to musiało być to samo wrażenie, ale odepchnęłam je z taką siłą, z jaką odpycha się największe nieszczęścia, które spadają na nasze barki.

Nieznanomy uśmiechnął się w sposób, jaki przypominał mi uśmiech mego ojca, pogodny i pełen zadowolenia. Cofnęłam pospiesznie rękę, jakbym się oparzyła, a potem odwróciłam w stronę wody, podczas gdy morska bryza łaskotała moje stopy i kostki, sprawiając, że czułam się wolna i szczęśliwa. Kątem oka zerknęłam za siebie, udając obojętność, z nadzieją jednak, że nieznanomy wciąż mnie obserwuje.

Miał śniadą karnację, musniętą słońcem i czarne oczy, które lśniły niczym kamienie na dnie morza. Poczułam, że się rumienię, lecz mimo to chciałam, żeby to uczucie nigdy nie minęło.

– Często panienka tu przychodzi?

Jego głos był teraz bliżej. Niemal czułam jego oddech na szyi. Wywołało to we mnie przyjemny dreszcz.

– Czasami – odpowiedziałam, usiłując zapanować nad zdenerwowaniem.

– Ja przychodzę tu codziennie, żeby podziwiać morze. Z tej strony plaży można zobaczyć nawet Polignano. A tam, z drugiej, można podpatrzeć łódki rybaków unoszące się leniwie na wodzie, oczekujące na to, by ktoś tchnął w nie życie i zawiódł na grzbiety fal.

Mówił do mnie tak, jakbym była przybyszem z daleka, a on chciał podzielić się wrażeniami z przyjeźdną. Postanowiłam nie wyprowadzać go z błędu i udałam, że pozwalam mu, aby odkrył przede mną to morze i tę ziemię, którą kochałam i której nienawidziłam jak nic innego w świecie. Od tamtej pory, gdy zginął Piętro, to miejsce stało się częścią mnie, łączyła mnie z nim jedyna w swoim rodzaju więź, w pewnym sensie byłam winna wdzięczność morzu, które zechciało mnie oszczędzić.

Miałam wrażenie, że poszczególne części mojego ciała walczyły ze sobą: nogi były jak z waty, zęby znęcały się nad dolną wargą, chcąc koniecznie coś ugryźć, a dziwaczne mrowienie w brzuchu zamieniało się w coraz bardziej odczuwalny i wspaniały zarazem ból.

Żywe wspomnienie tego krótkiego dotyku nieznanego paliło bardziej niż rozżarzone sierpniowe słońce. Przesuwałam palcami po wnętrzu dłoni, w miejscu, którego on dotknął. Słuchałam też w myślach jego przyjemnego głosu, nie chłopięcego, a męskiego.

Ile mógł mieć lat? Trzydzieści, może więcej. Ochrypli, a jednocześnie ciepły głos. Może był marynarzem, a może rybakiem i właśnie dlatego lubił obserwować łódki falujące rytmicznie w słońcu niczym biodra kobiety.

Przyjemne było uczucie, jakie nasze spotkanie wzbudziło we mnie, coś jak natarczywy i pożądany głód, którego zaspokojeniem mógł być jedynie ponowny widok nieznanego. Ale byłam też zszokowana, zaskoczona. Spodziewałam się raczej czegoś w rodzaju pogardy, którą odczuwałam na przykład wtedy, gdy po raz pierwszy pojawił się w naszym domu Lorenzo, by wyrzucić nasze życie do góry nogami. Nie bez powodu często powtarzałam sobie, że w moim życiu było tylko dwóch mężczyzn. Mój tata i Piętro – tylko oni zdawali mi się godni miłości. Nikt więcej.

Odwróciłam się w stronę nieznanego. Jego oczy, zwrócone teraz w kierunku morza,

wpatrywały się w jakiś punkt na horyzoncie i mieniły się wodnistym przeblyskiem, czymś jakby przypominającym powstrzymaną łzę.

„Głuptas ze mnie” – pomyślałam. Obiekt mej fascynacji mógł być przecież żonatym mężczyzną, wielbicielem morza i pięknych widoków, który zwyczajnie zamienił parę zdań z przypadkowo spotkaną kobietą. A jednak wystraszyłam się, że mogłabym to teraz stracić. I jednocześnie przerażała mnie myśl o tym, że to, co się dzieje, jest prawdziwie, że może się ziścić.

Przez chwilę moje myśli powędrowały w stronę Margiali. Zapewne tak czasami musiała się czuć mama, gdy zdawała sobie sprawę, że coś wymyka się jej kontroli. W tamtym momencie miałam przewrotne, ekscytujące wrażenie niezgody z własnymi emocjami.

Musiałam uciekać stamtąd natychmiast, żeby ochronić tę cudowną chwilę, nim kolejne słowa przekreślą jej unikalność. W ten sposób mogłabym wyobrazić sobie nieznanego takim, jakim chciałam go widzieć, ubierając go w fantazję w każdej chwili, gdy tylko zechciałabym o nim pomyśleć. Pozostałby czymś abstrakcyjnym, myślą stworzoną z materii snów, którą mogłabym manipulować, w ten sam sposób, w jaki mój umysł operował słowami szeptanymi mi przez Pietra i Agostina.

– Muszę iść – przelamałam ciszę.

– Tak, oczywiście – powiedział, przyglądając mi się jeszcze przez chwilę. Po raz ostatni podniosłam wzrok w stronę morza, po czym odwróciłam się i odeszłam. Nieznajomy stał nieruchomo, nie robiąc żadnego kroku.

– Ach, panienko! – Aż podskoczyłam na dźwięk jego głosu. – Mam na imię Antonio.

„Antonio. Antonio” – powtarzałam w myśli.

– Jestem Diamante – rzuciłam, nie odwracając się i nie patrząc mu w oczy.

Szłam spiesźnie przez wąwóz, przeżywając w myślach każdą sekundę tego krótkiego spotkania, z taką samą tęsknotą, z jaką w mroźne, zimowe wieczory wspomina się letnie znużenie. Uśmiechałam się na myśl o jego spojrzeniu, dreszczyk przechodził mi po plecach, gdy wspominałam dotyk jego ciemnej skóry, głaskałam ten konkretny punkt, w którym nasze dłonie się spotkały.

Tak zaczęła się historia mojej pierwszej i jednocześnie jedynej w życiu miłości.

Kiedy wróciłam ze spaceru, stół był jeszcze nakryty, ale stała na nim tylko pusta butelka i brudne talerze. Dla mnie nic nie zostawiono. Na obrusie dostrzegłam tylko jakieś okruchy jedzenia. Mama podała obiad o tej samej porze co zwykle, nakarmiła swoich synów, Rosettę, Vincenza i Domenica, lecz na mnie nie zamierzała czekać.

Wiedziałam, że to był sposób Margiali, by ukarać mnie za nieobecność. Nie obdarzyła mnie ani spojrzeniem, ani żadnym karcącym słowem, ale jej gest mówił sam za siebie. Postanowiłam nie okazywać głodu, nie tego dnia. Nie mogła odebrać mi tej cudnej chwili swoją złością.

– Mama zrobiła duszone mięso z ziemniakami i pomidorami – powiedział Francesco, który zdążył zjeść, oblizując się teraz ze smakiem.

Spojrzałam na niego obojętnie. Nawet ten mały szkodnik nie mógł popsuć mi nastroju. Pogwizdywałam sobie, jak przystało na prawdziwą Betty Boop, okazując obojętność wobec ich prowokacji.

– Było przepyszne – ciągnął dalej, jakby nie mając jeszcze dość sprawiania mi przykrości. – Zjadłem dwie porcje.

– Tak, moją i swoją – odpowiedziałam, śmiejąc się.

– Skoro wreszcie wróciłaś, może weźmiesz się do pracy – odezwała się Margiala, która właśnie pojawiła się w kuchni. – Trzeba przynieść wodę ze studni. Weź wiadra. Te większe będą potrzebne do gotowania, a w tych mniejszych zrobimy pranie. Niech Francesco ci pomoże. Potem trzeba wypolerować miedziane garnki, znowu szerniały, i natłuścić wszystkie formy na focacce¹¹. Musisz też skończyć wreszcie dzierganie dwóch swetrów i zrobić kilka podkoszulków, o które prosiła żona tapicera.

List zadań do zrobienia była koszmarnie długa i nie pozostawiała złudzeń, że to ciąg dalszy kary za to, że pozwoliłam sobie na kilka godzin wolnego.

Domenico „Białe Oko” siedział na schodkach swojego domu zajęty przekładaniem zgaszonego papierosa z jednego kącika ust do drugiego. Rozkoszował się sjestą. Miał na sobie brudną bluzę i brązowe spodnie podwinięte do kolan. Chude ramiona zwisały bezwiednie, dłonie czasem krzyżowały się, a czasem unosiły się w powietrze, by odgonić jakąś muchę. Przywitał mnie milczącym skinieniem głowy i chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Francesco uderzył go mocno otwartą dłonią w plecy.

– Miałeś muchę. Taką dużą i zieloną.

Domenico odpowiedział uśmiechem.

– Trzymaj wiadro – nakazałam, posyłając bratu groźne spojrzenie.

Tymczasem Margiala kręciła się wokół stołu, sprzątając leniwie. Była w dziwnym nastroju. Ani rozzłoszczona, ani nawet surowa, zachowywała się tak, jakby chciała odgrodzić się od całego świata, zagubiona w nie wiadomo jakich przemyśleniach, które separowały ją od nas skutecznie. Od czasu do czasu podchodziła ukradkiem do studni, jak podejrzliwy kot, w każdej chwili gotowa do zasypania nas krytycznymi uwagami.

– Musisz ciągnąć powoli, inaczej wylejesz całą wodę. Pamiętaj, żeby skropić patelnię sokiem z cytryny.

Nie protestowałam i nie okazywałam żadnego gniewu, wciąż pogwizdując wymyśloną przez siebie melodię. Nie chciałam robić jej na złość, ale to, że po raz pierwszy w życiu doznałam tak silnych

emocji związanych z mężczyzną, sprawiło, że czułam się silna, pewna siebie i... spokojna. Ta żalсна wojna, jaką od lat toczyłyśmy z mamą, drażniła mnie teraz jak natrętny owad.

Wciąż powracałam myślami do chwili spotkania, starając się odtworzyć i zapamiętać szczegóły. Nie wydawał się wyjątkowo przystojny, a jednak coś sprawiło, może barwa głosu, może kolor oczu, że zrobił na mnie tak wielkie wrażenie. „Przychodzę tu codziennie” – powiedział. Czyżby było w tym zaproszenie? Czy chciał tym samym powiedzieć, że będzie na mnie czekał, wpatrując się tęsknie w morze, dopóki nie przyjdę?

Próbowałam oczywiście odpędzić myśli, które mnie nachodziły, mając nadzieję, że tym sposobem uciszę chaos, jaki zapanował w mojej głowie. W gruncie rzeczy wiedziałam jednak, że nie ma już dla mnie ratunku. Byłam jak kamyk, który stacza się z góry. Nic już nie mogło powstrzymać tej gorącej fali uczucia, jaka mnie ogarnęła. Było to zupełnie nowe i niezwykle silne doświadczenie, które rozpraszało mnie i odciągało od całej reszty. Przeczynałam, że to właśnie jest miłość.

Ta plątania nowych emocji sprawiała, że aż kręciło mi się w głowie. A tym, co niemal doprowadzało mnie do szału, nie był fizyczny ból, tylko ten nowy rodzaj głodu, intensywnego pragnienia, które – im więcej o nim myślałam, poddając się własnemu cierpieniu – tym bardziej się nasilało.

Zdecydowałam wreszcie, że muszę zobaczyć go ponownie. Okłamywałam samą siebie, że powodem tego była wyłącznie chęć sprawdzenia, jakie emocje wzbudzi we mnie ujrzanie raz jeszcze jego oczu, czarnych jak smoła.

Prawda była jednak taka, że umierałam z żądzy zobaczenia go, choć wtedy nigdy bym się do tego nie przyznała.

Minęło kilka dni, nim pojawiła się sprzyjająca okoliczność, by znowu wybrać się na spacer. Zaczynałam się już denerwować, byłam rozdrażniona, rozkojarzona, ponieważ obawiałam się, że w końcu Antonio będzie miał dość czekania na mnie.

Tamtego ranka mama kazała mi przygotować na obiad focaccine, dla nas i dla kumy Nenny. Rozpaliłam w starym piecu węglowym i najprawdopodobniej włożyłam do niego zbyt dużo węgla, albo po prostu nie potrafiłam sprawić, by płomień był delikatny i łagodny, bo niektóre focaccine od razu zaczęły się przypiekać na brzegach, roztaczając po kuchni zapach spalenizny, który wydawał się o wiele bardziej poważny, niż był w rzeczywistości.

– Coś ty narobiła! – wrzasnęła Margiala, odrywając od formy kawałki zwęglonego ciasta. – Nigdy nie będziesz dobrą żoną, skoro nie umiesz gotować.

– Nie mam zamiaru być niczyją żoną – odpowiedziałam wyniośle, doskonale zdając sobie sprawę, że nie tylko Margialę okłamuję, ale też siebie.

Słowa wyrwały się z moich ust, jeszcze nim zdążyłam je przemyśleć. Gdybym tylko chwilę się zastanowiła, może bym ich nie wypowiedziała, dałabym sobie spokój i pozwoliła, by Margiala opanowała swą wściekłość.

Ona jednak popatrzyła na mnie zdumiona, po czym podniosła rękę, jak zwykle gotowa do wymierzenia ciosu. Na kilka sekund zatrzymała dłoń w powietrzu, jakby chciała temu okrutnemu gestowi nadać więcej patosu. Przez moment pomyślałam: „nie robi tego”, potem jednak jej szorstka i twarda dłoń, sucha jak u nieboszczyka, wylądowała na moim policzku.

– Może wreszcie nauczysz się, jak należy odzywać się do matki.

Jej głos drżał z oburzenia, ale ja nie przestawałam wpatrywać się w jej oczy, zimne jak lód.

– Nie zapominaj, że w tym domu panują pewne zasady – mówiąc to, kontynuowała odrywanie przypalonych kawałków, wysypywanie ich na deskę do krojenia i przekładanie z miejsca na miejsce, jakby była to najważniejsza na świecie czynność. Wtedy dopiero domyśliłam się, że odbywałam wciąż

jeszcze karę za moją nieobecność, na jaką pozwoliłam sobie kilka dni wcześniej. Margiala nigdy nie zapomniała.

– To jest mój dom i ja tu rządzę – ciągnęła dalej, ze wzrokiem wciąż utkwionym w formach do ciasta, od czasu do czasu przełamując ciszę kolejnym pogardliwym wykrzyknieniem, kipiącym od oburzenia. Przez chwilę siedziała nieruchomo, z palcami w spalonych okruchach, podczas gdy ja masowałam miejsce, gdzie jej zimne dłonie pozostawiły swój bolesny ślad.

Po kilku sekundach podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Zdawało się, że chciała coś powiedzieć, ale słowa utknęły jej w gardle. Siedziałyśmy tak, patrząc sobie w oczy, jak dwa bezpieczne psy badające się nawzajem, potem mama znowu odwróciła się, chwyciła deskę do krojenia i zdecydowanym, zamykającym gestem, z zaciśniętymi zębami, wyrzuciła wszystkie spalone okruchy do kosza.

Może Margiala domyśliła się, że coś się ze mną dzieje... W końcu była czarownicą. Być może myśl o moim szczęściu ją przerażała. Możliwe, że za wszelką cenę nie chciała dopuścić do tego, bym wreszcie kogoś poznała, przecież wtedy ona zostałaby sama. Nie sądziłam jednak, że bała się samotności.

Do wieczora nie odezwała się do mnie ani słowem, nie skomentowała w żaden sposób tego, co się wydarzyło. Przygotowała od początku wszystkie focaccine, które oczywiście udały jej się znakomicie.

Tymczasem ja z niecierpliwością oczekiwałam nadejścia nowego dnia. Wiedziałam, że mama ma pójść leczyć jakąś kobietę, która była tak słaba, że nie mogła o własnych siłach pojawić się w naszym domu. Spodziewałam się, że potrwa to co najmniej kilka godzin i cieszyłam się na samą myśl o wolności.

Leżałam na łóżku w swoim pokoju i marzyłam tylko o tym, by wskazówki zegara przesuwwały się szybciej, by, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeniosły mnie do tej chwili, kiedy znów będę mogła spojrzeć w oczy Antonia.

Zamykałam i otwierałam powieki, wzdychając głęboko, a przy każdym wydechu serce ścisnęło mi się z emocji i biło coraz szybciej, i szybciej. Tak bardzo pochłonęło mnie wyobrażenie ukochanego, że chwilami traciłam poczucie rzeczywistości, jakby zatarły się zupełnie granice między snem a jawą. Nie przyzwyczaiłam się do tego nagłego uczucia bezbronności. Dotąd byłam przecież obojętną i upartą chłopczycą, która, jak się zdawało, nie jest zdolna do miłości.

Teraz jednak nic innego mnie nie interesowało, nic nie miało znaczenia, tylko tamta jedna chwila, spojrzenie oczu, dotyk dłoni. Uczucia, którym poddawałam się coraz bardziej, były tak silne, że odczuwałam aż ból fizyczny.

Gdy tylko pierwsze przebłyski światła zaczęły przenikać przez okno, usłyszałam odgłosy kur, które dreptały po podwórku, gdacząc jak kumy żądne plotek. To oznaczało, że Margiala już wstała. Każdego dnia o świcie wypuszczała kury, by chodziły wolno po podwórku i dopiero popołudniu zamykała je w zagródce. Mówiła, że dzięki temu, że chodzą swobodnie, znoszą więcej jajek.

Usłyszałam jej szybkie kroki. Domyśliłam się, że przeszła przez podwórko, potem skierowała się w kierunku wyjścia. Po chwili doszedł mnie brzdęk filizanek. To Giuseppe. Zapewne wychodził zaraz do pracy i pił teraz kawę. Potem z kolei dobiegł mnie odgłos otwieranej zasuwki drzwi. Wróciła Margiala. Robiła teraz coś w kuchni, może przygotowywała jakieś mikstury dla tej biednej, chorej kobiety. Dzień wcześniej zrywała w ogrodzie liście laurowe i malwę, aby przygotować z nich napary. Jazgot kur szybko stał się nieznośny. Tylko Francesco jeszcze spał.

Zaczynałam się coraz bardziej denerwować, leżąc w tej piekielnie gorącej pościeli, lecz nie chciałam pojawić się w kuchni zbyt wcześnie, żeby mama niczego się nie domyśliła. Bałam się napotkać jej badawcze spojrzenie, dobrze wiedziałam, że Margiala niewiele potrzebowała, by domyślić się, co dzieje się w moim sercu. Poza tym, znając ją, zaraz dałabym jej powód do kolejnych narzekań i całej litanii zadań do wykonania. Położyłam się więc na wznak i skrzyżowałam ręce za głową, próbując odzyskać spokój. Pocieszałam się, że to tylko kwestia kilku minut, i że za chwilę usłyszę, jak zabiera swoją torebkę, trzaskając drzwiczkami kredensu, i pospiesznie wychodzi.

Szłam zwawo opustoszałym wąwozem, z sercem przepętnionym lękiem. Czułam się jak zbiegły więzień i, prawdę mówiąc, delectowałam się smakiem mojej ucieczki, zupełnie nie zważając na to, co zostawiałam za sobą: Francesca, który jeszcze spał, moją siostrę, która na pewno zacznie się zaraz zastanawiać, gdzie zniknęłam, ale przede wszystkim Margialę.

Włożyłam tego dnia fioletową sukienkę z woalu, którą mama uszyła mi na pogrzeb kuma Uberta, właściciela starego figowca.

– Nie ma potrzeby, żebyś ubierała się na czarno, jesteś taka młoda. W gruncie rzeczy to był tylko stary zrzedła, który okładał batami to Bogu ducha winne drzewo. Pewno zechciało się na nim zemścić.

Rzeczywiście starzec dokonał swego żywota, spadając nieszczęśliwie z drabiny, gdy zbierał, jakże by inaczej, figi. Robił to nieskończenie wiele razy w swoim życiu, ale los zdecydował, że to miał być ten ostatni.

Wiatr przewiewał przez cienki materiał i ochładzał skórę nóg i pachwin, dokładnie w miejscu, z którego płynęło jakieś dziwne ciepło, wędrujące aż do brzucha. Zastanawiałam się gorączkowo, jak się zachować, kiedy spotkam Antonia. Co mu powiedzieć? Czy powinnam udawać obojętność? Potrząsałam głową, by odrzucić wszystkie myśli, zdając się na los.

Na przystani nie było żywego ducha, poza kilkoma rybakami, którzy już powrócili z morza i teraz porządkowali sieci, aby były gotowe na jutro, lub zbierali ryby, by zanieść je na pobliski targ. Spojrzałam przez grubą zasłonę oślepiającego światła słonecznego, mając nadzieję, że ujrzę go pochylonego na którejś z kolorowych łódek i rozplątującego ręcznie robione sieci.

– Myślałem już, że panienka nie przyjdzie.

Głos dochodził zza moich pleców, nieco ochryple i ciepły, taki jak zapamiętałam. Przymknęłam oczy, by nabrać odwagi i przełknęłam ślinę kilka razy, moje usta były suche.

– Byłam zajęta – odpowiedziałam niemądrze.

Nie mogłam przecież wyjawić mu, że nie miałam możliwości wymknięcia się bezkarnie, bo mama bardzo dbała o to, żebym nie miała ani chwili dla siebie. Kiedy odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć, nogi się pode mną ugięły. Wiedziałam już, że moje odczucia nie były wymysłem, to wydarzyło się naprawdę.

Mogłabym wtedy zostawić wszystko i zostać tam na zawsze, napawając się widokiem tych ciemnych oczu. Promienie słońca porażały swym blaskiem, musiałam przysłonić oczy, by móc na niego patrzeć. Wiatr gwizdał niczym syreni śpiew, unosząc w powietrzu rześki zapach.

– Przejdziemy się? Mieszkam tam, za zamkiem Svevo. – Wskazał palcem miejsce, znów zwracając się do mnie tak, jakbym była przyjezdną. – Spacer tutaj zajmuje mi zaledwie kilka minut. Kiedy rankiem otwieram okno w kuchni, morskie powietrze sprawia, że budzę się natychmiast. Nie zamieniłbym tego uczucia za nic w świecie.

Żadnej wzmianki o jakimś „my”. „Czy ma żonę, rodzinę, czy jest sam na tym świecie” – zastanawiałam się gorączkowo.

– Jak panienka zdejmie buty, to będzie wygodniej – powiedział, uśmiechając się znów w ten sam cudowny sposób. Od czasu do czasu delikatne fale uderzały o wielkie skały, rozpryskując się w harmonijne wodne kształty. Krople morskiej wody tańczyły wokół mnie, pokrywając wilgocią moją skórę.

Antonio spoglądał to na morze, to na mnie, jakby czuł jakiś rodzaj onieśmienia, a może po prostu radości ze spotkania. Ja też zerkałam na niego. Za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotkały, uciekałam zawstydzonym wzrokiem. Serce biło mi jak szalone.

– Może panienka coś o sobie powie. Skąd panienka pochodzi?

– Ach, mieszkam kilka kilometrów stąd. Przychodziłam tu często, kiedy byłam mała i wędkowałam razem z moim przyjacielem.

– Przyjacielem? – zapytał, insynuując to, co nie miało możliwości się wydarzyć.

– Pietro. Miał na imię Pietro. Zginął pochłonięty przez morze.

– Przykro mi. Nie powinienem był.

– Byliśmy dziećmi. To się wydarzyło dawno temu.

– Jednak oczy panienki mówią, że to wciąż boli.

– Może i tak. Nie wiem. To dlatego, że mam poczucie winy. Dzieci przeżywają żalobę na swój sposób.

– Tak. Czasem dorośli też.

Jego wzrok znów powędrował w kierunku morza, jakby to ostatnie zdanie obudziło w nim coś, co pozostawało uśpione. Chciałam go o to zapytać, ale nie znalazłam w sobie tyle śmiałości.

– Czym się panienka zajmuje, co robi? – zapytał dociekliwie, odzyskując nagle beztrojski ton.

– Niewiele robię...

„Może lepiej byłoby skłamać? A może jednak powiedzieć prawdę?” Zdecydowałam się na półprawdę.

– Robię swetry – odpowiedziałam krótko, rozbryzgując wodę stopami. – Moja siostra, Rosetta, robi swetry i moja druga siostra, Cornelia, też kiedyś robiła swetry, zanim nie wyszła za mąż.

– Ach, trzy siostry. I wszystkie są tak piękne jak panienka?

To tak łatwo wypowiedziane zdanie powinno było podsunąć mi myśl, że doskonale wiedział, jak postępować z kobietami, że z pewnością znał sztukę uwodzenia, a mimo to spodobał mi się sposób, w jaki to zrobił. Spojrzałam na niego z uśmiechem, nie odpowiadając.

– Mam jeszcze dwóch braci, Giuseppe, no i Francesca, prawdziwe nieszczęście – dodałam po chwili.

– Ojciec panienki musi być dumny z takiej rodziny.

– Mój ojciec nie żyje – powiedziałam, podnosząc wzrok w stronę morza, tak jakby Agostino mógł obserwować mnie spomiędzy tych delikatnych, piniących się fal.

– Przepraszam, czasami nie potrafię zamilknąć. – Wydawał się naprawdę zatroskany, że poruszył ten temat.

– To również wydarzyło się dawno temu.

W rzeczywistości dopiero w tamtym momencie zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę rana, jaka powstała po śmierci taty, jeszcze się nie zabiłżniła, że jego nieobecność wciąż mnie mocno boli. Gdy wysilałam się, żeby przypomnieć sobie twarz Agostina, widziałam obraz utrwalony na zdjęciu, które Margiala trzymała w swojej sypialni. Mój ojciec stał się kimś w rodzaju ikony. Za to prawie już nie pamiętałam, jaki był, gdy coś opowiadał. Jaką miał minę, gdy się na mnie złościł, albo wtedy, gdy grał na swojej harmonijce?

– O, tam jest mój dom.

Znowu powiedział to tak, jakbym była przybyszem z daleka, któremu należy pokazać uroki swojego miasta.

Bardzo dobrze znałam poplątany supel malutkich uliczek starówki, wyłożonych białymi kamieniami błyszczącymi w słońcu, domy przytulone jeden do drugiego tak szczelnie, że sprawiały wrażenie, jakby brakowało im tchu, i prześcieradła wywieszane z okien, tworzące wielkie, powiewające na wietrze, białe płachty rozciągające się na całej szerokości uliczki.

Byłam tam kiedyś z Pietrem, podglądaliśmy mężczyzn grających w karty przed domem, trzymających kieliszki wina w ręku. Czasem któryś z nich, z papierosem w ustach i stolikiem ustawionym przed sobą, naciągał ludzi na pieniądze, pokazując im karciane sztuczki.

Pewnego razu Pietro też postanowił spróbować odgadnąć prawidłową kartę i, nie mając żadnych pieniędzy w kieszeni, zapłacił swój dług czterema umbrynami, które wcześniej złowił.

Starówka w Bari była jak odrębny świat, jeden z tych zamkniętych w szklanych kulach, które wydają się cudowne tylko dlatego, że patrzy się na nie z zewnątrz.

– Chciałaby panienka zobaczyć z bliska?

Przytaknęłam spojrzeniem, bo dobrze zrozumiałam, że w jego twierdzeniu kryło się pytanie, czy chcę pójść do niego do domu. Oczywiście, że chciałam.

Nigdy wcześniej nie widziałam tak pięknego widoku na przystań, jak ten, który rozciągał się z okna jego pokoju. Mieszkał w małym domu z odrapanymi ścianami i kilkoma marnymi roślinkami ozdabiającymi parapet.

Z okna wychodzącego na morze można było podziwiać zamek oraz cudowny krajobraz, spowijający tę majestatyczną budowla. Niebo było przejrzyste, jakby zachęcało do tego, by posmakować pełnego uroku lata.

Dwa pokoje, które zajmował Antonio, stanowiły, jak mi się zdawało, klasyczny dom kawalera. Niewiele przedmiotów, niewiele mebli, parę talerzy i kubków w kredensie. Obrzuciłam szybkim spojrzeniem cały pokój, który zapewne od czasu do czasu był też kuchnią, ale równie dobrze mógł służyć za salon czy przedpokój.

Spodobał mi się ten pomysł dostosowywania funkcji do potrzeb, bez określonych kanonów, w gruncie rzeczy całkowicie mi obcy; w domu, w którym się wychowałam, nawet kolejność zmywania naczyń była dokładnie ustalona.

Antonio miał na sobie dość luźne spodnie podwinięte do kolan i marynarską koszulkę z podniesionym kołnierzykiem.

– Diamante, czy widziałaś kiedyś coś piękniejszego?

Zaskoczył mnie tym, że zaczął nagle zwracać się do mnie po imieniu. Nie miałam jednak nic przeciwko. Byłam nim tak oczarowana, że lekceważyłam wszelkie konwenanse czy dobre wychowanie.

– Raczej nie – odpowiedziałam, odwracając się w stronę okna, ale nie miałam na myśli jedynie krajobrazu. Jego oczy przyciągały mnie bezlitośnie, czułam się bezradna i słaba wobec tego uwodzicielskiego spojrzenia.

Zaśmiał się głośno i oparł dłońmi o parapet, tym samym zbliżając się do mnie. Wystarczyło kilka milimetrów i mogłabym poczuć jego ciepło, dotknąć go.

Przez chwilę rozważałam możliwość ucieczki, zanim wydarzy się coś jeszcze. Robiło się coraz niebezpieczniej. Niebezpieczne były jego oczy, jego ręce, jego usta.

Dłonie Antonia wciąż były tak blisko. Zdawały się szorstkie, nie tak delikatne jak te Lorenza. Zauważyłam ślady czerwonej farby pod paznokciami. Wcześniej nie zwróciłam uwagi na ten szczegół, zresztą nie wydał mi się istotny. Nie mówił przecież, czym się zajmuje. W tamtej chwili nic nie miało znaczenia.

Od naszego pierwszego spotkania jego skóra przybrała jeszcze ciemniejszy odcień, pieszczona promieniami słońca. Ile godzin spędzał tak nad brzegiem, rozkoszując się wiatrem, podczas gdy ja pochylałam się nad krosnem, robiąc ciepłe odzienia dla delikatnej dziecięcej skóry, myśląc już o zimie, gdy na zewnątrz życie rozkwitało tysiącem zapachów?

Nagle moja codzienna monotonia wydała mi się taka płytka i szara. A w tym rozpadającym się domu wszystko oślepiało mnie jaskrawymi kolorami i niezwykłą witalnością.

– Nie chcę, żebyś sobie poszła – powiedział, jakby czytając w moich myślach.

Spojrzałam mu głęboko w oczy, a moje gardło zacieśniało się coraz bardziej, uniemożliwiając mi wyszeptanie jakiegokolwiek słowa.

Potrząsnęłam głową, co w istocie mogło oznaczać wiele rzeczy.

Nie, nie chciałam odchodzić.

Ale też coś mi mówiło, że powinnam uciekać, dopóki jeszcze nie wydarzyło się nic więcej. A jednak nie potrafiłam znaleźć w sobie tyle sił, by odejść.

Stało się to, co było nieuniknione. Nasze usta spotkały się, najpierw w przelotnym dotyku, by nawzajem się zbadać i posmakować. Potem znów się zapragnęły, jeszcze chciwiej, jeszcze intensywniej, wykradając sobie oddech. Nigdy wcześniej nie doznałam takiego uczucia, nie wiedziałam, że można tak pragnąć drugiej osoby. Ręce same zaczęły szukać jego ciała, zamykając się w pełnym pożądania uścisku.

W pewnej chwili jednak coś sprawiło, że się powstrzymałam, jakby owo pożądanie mnie sparaliżowało i przeraziło jednocześnie. Chwyciłam za torebkę leżącą na stole. Spojrzałam na niego. Dostrzegłam coś jakby oczekiwanie połączone z żalem spowodowanym moim gwałtownym wyrwaniem się z jego objęcia.

– Muszę iść – wydusiłam z siebie, czując, jak rumienią się moje policzki.

Chwycił mnie za rękę, próbując zatrzymać, ale ja już biegłam rozgorączkowana wyłożoną kamieniami uliczką starego miasta, trzymając przyciśniętą do piersi torebkę, jakby ta była moim kołem ratunkowym. Łzy napływały mi do oczu. Mimo to biegłam dalej.

Minęłam hałaśliwą gromadkę starców grających w karty. Wydawali się beztroscy niczym dzieci, gdy spierali się o rozegraną właśnie partię. Zwolniłam nieco kroku dopiero koło zamku, kiedy poczułam orzeźwiający podmuchy wiatru. Wciąż jednak brakowało mi tchu. Zatrzymałam się w pobliżu przystani, by nieco ochłonąć. Dopiero po chwili byłam w stanie iść dalej, choć moje policzki wciąż były rozpalone, dłonie drżały, a serce biło jak szalone.

Minęły tygodnie, może miesiące, już nie pamiętam. Wciąż nie mogłam wymazać z pamięci głosu Antonia, smaku jego ust. Im bardziej starałam się zepchnąć jego obraz gdzieś w najdalszy zakątek serca, tym bardziej natarczywie powracał i drapał mnie od środka tysiącami cierni, wywołując okropny ból.

Nawet Margiala, zapewne widząc moje męki, odpuściła i przestała mnie prześladować. Byłam ciągle rozkojarzona i nie przywiązywałam już wagi do niczego, nic mnie nie cieszyło, nic nie interesowało.

Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, układałam naczynia równiutko w zlewie, siedziałam wyprostowana, trzymałam łokcie przy sobie i wieszałam koszule za brzegi. Gdy w końcu to zauważyłam, ogarnęło mnie jeszcze większe poczucie zagubienia. Zrozumiałam, że wszystkie nauki, które wpajała mi mama, tkwią we mnie, choć przez całe te lata usilnie się starałam je odrzucić.

Czułam, że od dnia ostatniego spotkania z Antoniem wszystko uległo zmianie. Przede wszystkim ja się zmieniłam. Przyłapywałam się na rozmyślaniu o nim częściej, niż bym tego chciała, rozdarła między chęcią bycia, jak dawniej, silną i obojętną a pragnieniem poddania się, uległości ukochanemu mężczyźnie.

W tajemnicy przez Margialą często wymykałam się z domu, by pójść w stronę przystani, w poszukiwaniu mężczyzny, który tak bardzo mną zawładnął. Nie byłam już nawet pewna, czy dobrze zapamiętałam rysy jego twarzy. Wyobrażałam je sobie tyle razy, że teraz rzeczywistość mieszała się już z fantazją. Antonio przestał być tylko realnym mężczyzną. Był również mężczyzną z moich marzeń, gdy leżałam w łóżku w moim malutkim pokoju i odtwarzałam w myślach każdy centymetr jego twarzy, próbując zapisać ją w pamięci.

Gdy docierało do mnie, że w przystani nikogo nie ma, że wpatruję się tylko w twarze rybaków, wracałam do domu rozczarowana i zrezygnowana. Te eskapady męczyły mnie coraz bardziej, mimo to nie traciłam nadziei. „Prędzej czy później przyjdzie” – powtarzałam sobie, przekonana, że pewne rzeczy kochankowie po prostu wiedzą. Oczywiście mogłam pójść do niego do domu. Ale naiwnie chciałam wierzyć, że to on będzie mnie szukać.

Pewnego ranka pod koniec lata pobiegłam przez wąwóz na przystań i zatrzymałam się chwilę, by zaczerpnąć tchu i w spokoju popatrzeć na port. Powietrze było rześkie, a linia horyzontu stapała się z nieruchomym, spokojnym morzem. Wydawało się uśpionym gigantem. Zmęczona biegiem opadłam na konar drzewa wyrzucony na brzeg. Morska sól odcisnęła już na nim swój ślad, ale konar wciąż pozostawał twardy i solidny. Przywiódł mi na myśl Margialę i od razu zezłościłam się na samą siebie. Nie chciałam o niej myśleć.

Schowałam twarz w dłonie i potrząsnęłam głową, po plecach przebiegły mi dreszcze. Zamknęłam oczy, by powstrzymać łzy. Wiedziałam, że gdybym zaczęła teraz płakać, długo nie mogłabym przestać. Zatrzymałam więc wzrok na malusieńkim krabie, który walczył z prądem wody, by wrócić na swoją skałę. Uśmiechnęłam się, obserwując starania tej małej istoty.

– Mogę się przyłączyć?

Zamknęłam oczy i głośno przełknęłam ślinę. Moje serce zaczęło bić jak szalone. Pomyślałam sobie, że mam halucynacje. „To na pewno tylko sen” – wyszeptałam, przekonana o tym, że cała ta historia była bardzo długim snem.

Potem odwróciłam się. Może ten głos należy do kogoś innego, kto też miał bursztynową skórę

i czarne jak smoła uczy – pomyślałam.

Patrzył na mnie, uśmiechając się serdecznie. Gdyby wiedział, ile razy marzyłam o tym spotkaniu. A teraz stał przede mną, po tak długim czasie.

– Jak się masz? – zapytał pogodnym głosem.

Powiedziałam coś cicho przejęta, choć chciałam inaczej, głośniej, śmieiej. Odgłos słów wydobywających się z moich ust zrobił na mnie dziwne wrażenie. Ich ton był tak łagodny, jakby należał do jakiejś innej mnie, do kobiety, która ukazywała się jedynie jego oczom.

Antonio podał mi rękę, chcąc pomóc mi się podnieść. Spojrzałam na nią, nim zdecydowałam się jej chwycić, jakby przestraszona konsekwencjami, jakie ten dotyk mógł za sobą pociągać.

Chwilę potem zatapialiśmy stopy w piasku, rozmawialiśmy jak dwoje starych przyjaciół, którzy dawno się nie widzieli i mają sobie teraz mnóstwo rzeczy do opowiedzenia. Doszliśmy do łódek przycumowanych w porcie. Antonio przywitał się z rybakami. Czułam ich spojrzenia na sobie, ale po raz pierwszy nie byłam nimi onieśmielona. Wręcz przeciwnie, sprawiały mi przyjemność.

Poszliśmy powoli w stronę uliczek starego miasta. Przeszliśmy obok staruszków, którzy niezmiennie pochłonięci byli grą w karty. Z radością stwierdziłam, że nic nie zmieniło się od ostatniego razu, kiedy tu byłam. Również jego dom był taki, jak go zapamiętałam – nieco zaniedbany, z kilkoma kwiatkami w oknach i odrapanymi ścianami.

Kiedy Antonio wziął mnie w ramiona, poczułam, że nogi się pode mną uginają. Pocałował mnie delikatnie, jakby chciał powiedzieć, że za mną tęsknił i czekał.

Mogłam uciec, tak jak uczyniłam to ostatnio. Tym razem jednak chciałam zostać. I on o tym wiedział.

Wsunął dłoń pod moją sukienkę, tam, skąd promieniowało intensywne ciepło, zdolne przeniknąć każdy fragment mojego ciała. Zsunął powoli moje majtki. Spojrzałam na niego z uśmiechem, jakby była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

Nigdy wcześniej nic takiego mi się nie przydarzyło. Powinna być czuć lęk, a zamiast tego wydawało się, że od dnia, w którym Rosetta i Cornelia uzmysłowiły mi, że stałam się kobietą, na nic innego nie czekałam tak, jak na ten moment. Czułam jak jego dłonie ocierały się o moją skórę, szorstkie jak papier ścierny, wywołując dreszcze.

Nie mogłam uwierzyć, że zaczął całować mnie właśnie tam, klęcząc u moich stóp, zanurzając głowę między moimi udami. Wygięłam plecy i przyjemne uczucie, jakiego doznawałam, uczyniło mnie całkowicie bezbronną i szczęśliwą jednocześnie.

Przez okno dochodził zapach morza, przywodzony podmuchami wiatru, ale moje nozdrza przyzwyczajały się do innych aromatów, całkiem nowych, bardziej suchych i ciepłych.

Zamknęłam oczy i poddałam się uczuciu gorąca, jakie ogarniało całe moje ciało, odgłosom mew krążących blisko nas, delikatnemu dotykowi jego lepkich ust na mojej skórze.

Pozwoliłam, by jego doświadczone dłonie odkrywały przede mną więcej i więcej. Zdjął mi sukienkę i podziwiał mnie nagą. Przyglądał się moim falistym biodrom, mojemu zaokrąglonemu brzuchowi, moim kształtnym, miękkim piersiom. Położył mnie na podłodze, której zimno nie wystarczało, by ochłodzić moje rozgrzane ciało.

– Nigdy tego nie robiłam – powiedziałam, patrząc mu w oczy, gdy rozbierał się przede mną.

– Wiem.

Dwa lata później

Był wrzesień i winorośle owijające się wokół drewnianych podpór na polach pomiędzy Carbonarą i Ceglie były już dojrzałe. Zdawało się, że szeptały do przechodniów, zachęcając ich do zerwania słodkich i soczystych kiści.

Francesco wrócił do domu na swoim rozklekotanym rowerze, który został przemalowany na czarno, na wszelki wypadek, żeby właściciel nie mógł go rozpoznać. Wyszedł rano z trzema fartuchami mamy, które napełnił dojrzałymi owocami.

Margiala już nawet nie marnowała swojej energii na wymierzanie ciosów w tę upartą łepetynę. I tak nie miało to żadnego sensu. Postanowiła oddać się modlitwom. Uznała chyba, że nie ma już ratunku dla jej syna.

– Nie było żadnego ogrodzenia – tłumaczył przekonany, że zawsze był jakiś dobry powód, by coś ukraść.

– Bóg cię ukarze – odpowiedziała i był to chyba pierwszy raz, gdy odwoływała się do siły boskiej.

Mój brat ani trochę nie przejął się jej groźbą. Za to ja najwyraźniej wzięłam sobie jej słowa mocno do serca, bo w nocy miałam okropne sny. Głosy taty i Pietra znów do mnie przemawiały. Żaden z nich jednak nie zwracał się do mnie ze słowami otuchy, ale z ostrzeżeniami i reprymendami. Obudziłam się zrana z potem.

Rankiem, bardzo wcześnie, weszłam do sypialni mamy, podczas gdy ona była zajęta pracami w ogrodzie. Nieprawdopodobne, że w tym pokoju zachowała się wciąż atmosfera świętości, która panowała tu już wtedy, gdy byłam dzieckiem. I nie chodziło wcale o specjalnie utrzymywany półmrok ani nawet o obrazki święte porozwieszane na ścianach. Było w nim coś wyraźnie wyczuwalnego, co upodobiło go do miejsca duchowego.

Świątynia surowości Margiali.

Uklękałam na drewnianym klęczniku i spoglądałam na zdjęcie taty, unikając wzroku zielonych jak pokrzywa oczu babci Diamante, która, gdyby tylko mogła, zabiłaby mnie spojrzeniem, niezależnie od tego, gdzie się teraz znajdowała.

– Przepraszam, tato – powiedziałam. Nie wiedziałam jednak, czy ten niepokój, jaki zrodził się moim sercu, był wyrzutem sumienia, czy może czymś w rodzaju poczucia niespełnienia, którego ostatnio doznawałam dość często. W tym moim smutku kryło się coś jeszcze, choć nie chciałam się do tego przyznać. Jak zawsze chodziło o mamę.

W pewnym sensie zdawałam sobie sprawę, że choć przez całe życie robiłam wszystko, by oddalić się od Margiali, coś sprawiało, że i tak naśladowałam jej model życia, a przecież niczego nie byłam tak pewna, jak tego, że nie chciałam go przestrzegać, co więcej, że go nie znosiłam.

Po krótkiej modlitwie postanowiłam wrócić do mamy i Francesca. Zastałam ich w ogrodzie zajadających się winogronami. Tym razem mama ich nie wyrzuciła ani też nie kazała mojemu bratu odnieść ich prawowitemu właścicielowi.

– Szkoda by było zmarnować takie dary boskie – oznajmiła, zaskakując nas, i to wystarczyło, by zamienić owoc grzechu w soczysty przysmak.

W tym czasie zjadałam niezliczone ilości owoców i dzięki temu moje krągłości stały się jeszcze bardziej miękkie, mój brzuch bardziej zaokrąglony, a piersi bardziej wydatne.

Antoniowi to nie przeszkadzało.

Kochaliśmy się, kiedy tylko mogliśmy, spotykając się najczęściej u niego w domu. Któregoś razu

ogarnęła mnie chęć zaproszenia go do siebie. Wkrótce nadarzyła się okazja.

W sierpniu obchodziliśmy święto miasta Valenzan. Było to wydarzenie, którego mama nigdy nie opuszczała, podobnie jak ja i Rosetta. Szliśmy tam pieszo, pokonując pięć kilometrów. Cały dzień spędzało się na modlitwie albo wśród straganów ustawionych wzdłuż głównej ulicy miasteczka. Mama zawsze zabierała chleb albo calzone z cebulą i pożywiałyśmy się, siedząc na świeżym powietrzu. Przy odrobinie szczęścia można było schronić się przed słońcem w cieniu jakiegoś rozłożystego figowca.

Tym razem oznajmiłam, że nie wezmę udziału w święcie, wymawiając się „trudnymi dniami”.

– Czy to nie o tydzień za wcześnie? – zapytała Margiala przenikliwie. Nigdy nic nie umykało jej uwadze.

Potrząsnęłam głową zdecydowanie, mając nadzieję, że w ten sposób uda mi się ją oszukać. Marzyłam, by zostać w domu sama choć przez kilka godzin. Udało się. O ósmej Antonio był już u mnie.

Kotłowaliśmy się bezwstydnie w nieskazitelnej pościeli na łóżku w sypialni mamy, tym samym, w którym spała przez wszystkie swoje wdowie noce, na oczach patrzących na nas z góry świętych, a także taty i babci.

– Ten pokój budzi strach – powiedział szeptem Antonio, rozglądając się ukradkiem dookoła. – Czuję się podglądany.

– Nie poznałeś jeszcze mojej matki – zaśmiałam się cicho, jakbym bała się, że ściany mogłyby nas zdradzić.

Porozrzucaliśmy ubrania po podłodze, chcąc pozostawić ślad naszych pragnień, aż do łóżka mamy, które teraz tak czule przyjmowało nasze podniecone ciała. Czułam się, jakbym popełniła świętokradztwo, mimo to moje pożądanie nie ustępowało.

– Chyba pierwszy raz robimy to w ciemności – powiedział.

Rzeczywiście, jego dom zawsze był przepelniony słońcem, które wlewało się oknem wychodzącym na morze zarówno w lecie, jak i w zimie. Nigdy nie ukrywaliśmy przed sobą nawzajem nic z naszych ciał.

Te szarości i ten mrok sprawiały, że moje rysy wydawały się bardziej łagodne, jakby otoczone miękkim puchem.

– Masz skórę jak aksamit – wyszeptał, po czym zaczął mnie całować.

Cieszył mnie ten związek, moja miłość wciąż nie gasła, nie ustawało pożądanie, a jednak nie przestawała mnie dręczyć myśl, że coś jest nie tak. Miałam wrażenie, że w naszym związku czas się zatrzymał, nic się nie działo. A przecież minęły już dwa lata, odkąd się spotykaliśmy. W duchu liczyłam, że mój ukochany wreszcie mi się oświadczy. Jednak nic takiego nie następowało.

Antonio nigdy nawet nie wspominał o jakiegokolwiek możliwości małżeństwa. A ja w naturalny dla siebie sposób milczałam, nie podejmując tego tematu, choć, prawdę mówiąc, myślałam o tym coraz intensywniej.

Czasami usprawiedliwiałam go, wmawiając sobie, że kochamy się wciąż tak bardzo, właśnie dlatego, że nie jesteśmy małżeństwem. „Czy pragnęłabym go w ten sam sposób, gdybym została jego żoną?” – zadawałam sobie naiwne pytanie.

Pocałunki Antonia nagle ustały i szybkim ruchem wniknął we mnie. Natychmiastowość, z jaką wykonał ten gest, prawie odebrała mi oddech. Chciałam powiedzieć mu, żeby był bardziej delikatny, żeby dał mi czas do przystosowania się do jego rytmu. Ale on przywarł mocno do mojego ciała, wrósł w nie siłą.

Potem zatrzymał się, chociaż próbowałam przytrzymać go jeszcze przy sobie. Już wymknął się,

pozostawiając mi jedynie uczucie ciepła pomiędzy rozłożonymi udami, jego wilgoć rozeszła się we mnie.

Podniosłam się z krzykiem przerażona myślą o możliwości poplamienia pościeli Margiali, zostawienia tam śladu naszego grzechu.

– To twój ojciec? – zapytał, stojąc nago przed ołtarzykiem.

Jego ciało było napięte, a każdy mięsień delikatnie drżał. Jego członek wciąż był w zwodzie, wciąż żądający drugiego ciała. Obserwowałam go i ogarniało mnie dziwne wrażenie. To pytanie, zadane w takich okolicznościach, wydało mi się obrazoburstwem.

Wtedy ja i Antonio kochaliśmy się po raz ostatni.

CZĘŚĆ IX
CHOROBA

Jesień 1952 roku

– Nic się nie martw. Zajmę się tobą – wyszeptała Margiala, wzdychając ciężko, po tym jak lekarz skończył mnie badać.

Nie potrafiłam wyobrazić sobie, co wtedy czuła. Złość, strach, może rozpacz? Ja na jej miejscu byłabym chyba rozczarowana, ale przecież Margiala to ktoś ulepiony z zupełnie innej gliny, prawie niezniszczalny.

Wiem, że starała się uczynić wszystko, by ta sprawa nie wyszła poza nasz dom, ale nie wiadomo jakim sposobem, trzy dni później kuma Antonietta pojawiła się u nas i jak się okazało, znała w najdrobniejszych szczegółach – powiedziałałabym nawet, że z naddatkiem – całą moją historię.

– Udusiłabym go własnymi rękami – powiedziała poruszona mama, gdy kuma już sobie poszła. Doskonale bowiem zdawała sobie sprawę, że to, co się wydarzyło, może zaważyć na mojej przyszłości.

Dobrze wiedziałyśmy, jak szybko roznoszą się plotki w naszym miasteczku. O ile w poniedziałek byłam jeszcze kochanką jakiegoś paniczyka z Bari, to już we wtorek moja historia rozrosła się do niewiarygodnych rozmiarów, a we środę trudno było mi rozpoznać, że to w ogóle ma jakiś związek ze mną.

Nie łudziłam się, że wersje wydarzeń będą nabierały coraz to nowych szczegółów, dopóki ludzie nie znudzą się historią Diamante, córki Margiali, i nie zajmą się ciekawszymi sprawami.

Prawdę mówiąc, zupełnie nie obchodziło mnie, co ludzie o mnie mówili, a tym bardziej co mówili ci, którzy nazywali mnie dziwką.

Oczywiście zupełnie inaczej było z mamą. Ona przez całe życie pozostawała wierna swoim zasadom i plotki o rozwiązłości jej córki bardzo jej dokuczały. Dobrze wiedziała, że o ile samo zainteresowanie zdarzeniem dość szybko zgaśnie, to opinia pozostanie na długo, czasem na zawsze, nierzadko stając się hańbą.

Dla mnie co innego było ważne. Miałam straszny mętlik w głowie, chaos myśli, który skutkowałam niepewnością co do moich uczuć. Raz chciałam uciec i odszukać Antonia, by rzucić mu się w ramiona, innym razem z kolei odczuwałam ogromną nienawiść. Tak, powinnam była go znienawidzić za to, co mi uczynił.

Ale niechęć i żal do niego wciąż ustępowały miejsca miłości.

Nie zmieniło to faktu, że byłam wściekła. To jednak bardziej z powodu samej choroby, która niszczyła moje ciało, a nie Antonia. Na razie nie odczuwałam wielkiego bólu, ale rokowania wcale nie były takie dobre. Doktor La Selva, który się mną zajął, był niskim, brodatym człowiekiem z jednym pasemkiem włosów spoczywającym grzecznie na zgrabnej czaszce. Przypominał człowieka, który ma ochotę przeproszać za swoją obecność. Na szczęście ta jego postawa nie przeszkadzała mu w byciu dobrym fachowcem.

To właśnie on wytłumaczył mamie, że syfilis, choroba, którą się zaraziłam, jest bardzo trudny w leczeniu, nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób przechodzi z jednego stadium w drugie i jakie mogą być konsekwencje.

Mówił do mamy, kompletnie lekceważąc moją obecność. Zachowywał się, jakby mnie w ogóle nie było w pokoju, na łóżku w sypialni mamy, tym samym łóżku, na którym kochałam się z Antoniem, pod lnianym materiałem okrywającym teraz intymne miejsce. Właśnie tam na mojej jasnej skórze pojawiła się duża, czerwona rana.

Ten dzień był niezwykle upalny i okazał się jednym z najgorszych dni w moim życiu. Wcale nie dlatego że dowiedziałam się o swojej chorobie i o tym, w jaki sposób się jej nabawiłam, ale dlatego że zdałam sobie sprawę, że to koniec mojej historii, koniec mojej wielkiej miłości.

W nocy nie mogłam zasnąć, więc spacerowałam po ogrodzie. Zatrzymałam się w pobliżu kwitnących oleandrów, wspominając moje dzieciństwo i okres dorastania. Księżyc świecił jasno, malując świetliste cienie na trawie, na drzewkach owocowych, na liściach ziół. Każdy z nich mienił się w świetle na swój sposób, każdy z nich miał ważną rolę w tworzeniu całego obrazu.

Przygnębiała mnie myśl, że właśnie w momencie, gdy wydawało mi się, że odnalazłam wreszcie swoje miejsce w świecie, wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko mnie. W duchu jednak wiedziałam, że to nie złośliwość losu jest winna, a raczej moja naiwność. Mój smutek potęgował fakt, że prawdopodobnie nie byłam jedyną kobietą Antonia. Nie mogłam przestać o tym myśleć. O ile nauczyłam się żyć ze świadomością, że prawdopodobnie nigdy mi się nie oświadczy, o tyle przekonanie o tym, że mnie zdradzał, było dołujące i niezwykle bolesne.

Co więcej, cała ta historia sprawiała, że czułam się jak dziwka. Oczywiście rozumiałam, że nie ma w tym wszystkim mojej winy, a jednak wciąż się jej w sobie doszukiwałam, być może po to, by w jakikolwiek sposób wytłumaczyć Antonia. W całym tym natłoku myśli, które rozbrzmiewały mi w głowie, choroba była najmniej ważną częścią tej nieszczęśliwej historii.

Nocny wiatr igrał z rękawami mojej koszuli, a ja krążyłam wśród zieleni niczym duch. Zamknęłam oczy. „Tak bardzo chciałabym móc wrócić do czasów dzieciństwa” – myślałam.

„Ujrzyć Cornelię, która wygląda przez okno i woła mnie, żebym szybko przyszła do pokoju. Spierać się z Rosettą, która czeka na mnie przy wyjściu, wybijając nogą rytm swojego oburzenia. Chciałabym usłyszeć mruczenie Tommasa szukającej jedzenia, wesolą melodię śpiewaną przez tatę”.

Tata nie żył. Siostry stały się obcymi osobami, na pewno Rosetta. Tommaso już dawno wyzionęła ducha. Została mi tylko Margiala.

Mama zachowywała się, jakby nic się nie stało. Kontrolowała moje czerwone plamy na skórze i dawała mi lekarstwa, tak samo jak wtedy, gdy byłam mała.

– Pomożesz mi dzisiaj zrobić dżem? – zapytała mnie następnego ranka, z większą pobłażliwością niż zwykle.

Napełniłam dwa kosze renetami i wyrzuciłam je na stół w kuchni. Nie był to mój ulubiony smak, może przez ten kolor – ani jasny ani ciemny – i smak ni to słodki, ni kwaśny. Nie miałam jednak ochoty, żeby się nad tym dłużej zastanawiać.

– Zacznij je obierać, a ja przygotuję słoiki.

Mówiła do mnie, jakbym miała robić to po raz pierwszy. Może chciała od nowa wszystkiego mnie nauczyć. Może uznała, że to w tej chwili najlepsze dla mnie zajęcie, które choć na chwilę odciąży mnie od myślenia o przeszłości.

Wzięłam nóż i powolnymi, precyzyjnymi ruchami zaczęłam obierać wszystkie jabłka po kolei, skupiając się najpierw na grubości skórki, potem na kształcie krojonych kawałków. Mój umysł powoli koncentrował się na czynności, którą wykonywałam. Rzeczywiście, takie kulinarne przygotowania miały na mnie dobroczynny wpływ.

– Niewiarygodne, ile ich jest w tym roku! Jabłek, mam na myśli – powiedziała, jakby rozmawianie o owocach było w tym momencie najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Przytaknęłam.

– Kupiłam cydr.

Cydr był idealnym zagęszczaczem i dzięki niemu można było uzyskać mniej słodki dżem,

ponieważ Margiala chciała, żeby było w nim czuć owoce, a nie sam cukier.

– I pamiętaj, żeby włożyć do środka kilka nasion jabłka. – Był to kolejny z jej sekretów, podobnie jak ten z ostrą papryczką dodawaną do roladek.

Pracowałyśmy przez cały ranek, ja obierałam jabłka, a mama mieszała i mieszała, aż wszystkie dwadzieścia słoiczków wypełniło się gęstą mazią dziwnego bladopomarańczowego koloru.

– Dobra robota! – wykrzyknęła, wycierając ręce o ścierkę założoną za fartuch.

– Dobra robota – powtórzyłam za nią.

Myślę, że nigdy nie byłam tak blisko Margiali jak właśnie w tym momencie, gdy stała z rękami brudnymi od dżemu, z chustką zawiązaną na głowie i parą zniszczonych sandałów na nogach.

Wiele lat później...

Musiałam pogodzić się z faktem, że nigdy więcej nie zobaczę Antonia, i żyć dalej własnym życiem, jakby te dwa lata nigdy się nie wydarzyły. Na dobre przestałam też myśleć o zamążpójściu. Po tym wszystkim i tak cieszyłam się, że żyję, a choroba nie postępuje.

Przez wszystkie te lata wielokrotnie próbowałam odnaleźć się w świecie, poczuć, że gdzieś przynależę, poczuć się spełniona. Ale nie potrafiłam. Wciąż robiłam swoje swetry. Kilka razy próbowałam czytać z fusów kawy, ale na dnię filiżanek nie widziałam nigdy nic oprócz niekształtnych brązowych plam.

– Talent trzeba w sobie odkryć – powtarzała mi Margiala, ale ja doskonale wiedziałam, że dynastia margial wygaśnie wraz z jej śmiercią.

Wszystko we mnie było absolutnie „normalne”, żadnego śladu talentów, jakie ona miała nadzieję we mnie znaleźć. Wyglądało na to, że w tym jednym przypadku jednak się pomyliła.

Próbowałam też z małymi dziećmi, tymi, które pojawiały się u nas na rękach mam albo babć, wykręcając się z bólu. Wygłaszałam formułki mamy służące przepędzeniu złej energii, wzmocnione dziesiątkami paciorków i znaków krzyża, ale biedaczyska nie przestawały płakać, więc Margiala musiała zadziałać swoimi suchymi i pomarszczonymi rękami.

Mimo to mama nie chciała się pogodzić z faktem, że żadna z córek nie odziedziczyła jej zdolności do czynienia, jak zwykł mówić tata, „sztuczek”. Dawno już przestała myśleć, że może to najstarsza córka ją zastąpi. Z Rosettą właściwie nie rozmawiała, mimo że widywały się niemal codziennie.

– Phi! Twoja siostra... – mówiła mama od czasu do czasu, nigdy nie kończąc zdania wypowiedzianego przez zaciśnięte zęby. Nie odważyłam się zapytać, czy wiedziała o jej miłosnych przygodach, zresztą byłam chyba ostatnią osobą, która mogła wypowiadać się na temat moralności.

Nawet mnie trudno było porozumieć się z Rosettą. Stała się kimś zupełnie innym. Przyglądałam się jej pięknie zarysowanym kościom policzkowym, idealnym brwiom i ustom w kolorze jasnej czerwieni. Kokietka, w jaką przemieniła się Rosetta, nie miała nic wspólnego z moją skromną siostrą, którą pamiętałam z dzieciństwa. Prawda była jednak taka, że kiedy ją czasem spotykałam w ogrodzie, trochę rozmarzoną, trochę może smutną, lecz zawsze niewymownie piękną, mój żołądek aż ścisnął się z zazdrości. To dlatego, że odważyła się żyć tak, jak chciała. Zazdrościłam jej odwagi, determinacji. Choć oczywiście pamiętałam dobrze, że to pewne okoliczności sprawiły, że moja siostra prowadziła takie, a nie inne życie.

– Na co tak patrzysz? – pytała mnie czasem, gdy zauważyła, że się jej przyglądam. Uśmiechałam się wtedy do niej, nic nie mówiąc. Właściwie to wszystko było nawet zabawne. Rosetta nie mogła wiedzieć, że znam jej tajemnicę.

Domenico „Białe Oko” odszedł z tego świata jeszcze w sile wieku, wyniszczony chorobą żołądka, która uczyniła go jeszcze chudszy i bledszy.

– Lepiej, że umarł wcześniej – powiedziała któregoś dnia mama.

Wcześniej? Co miała na myśli? Czy chodziło jej o to, że zanim zobaczyłby swoją żonę z innym mężczyzną, zanim poznałby prawdę? Czy może wcześniej niż ona, Rosetta? Nie umiałam jej jednak o to zapytać. Zresztą, równie dobrze mogło chodzić o wiele różnych rzeczy. Jedno było pewne – Domenico odszedł wcześniej i uczynił moją siostrę wdową, podczas gdy jej kobiece serce i ciało były jeszcze wciąż pełne życia.

– Miej przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby nosić żałobę – brzmiała jedyna uwaga Margiali,

na którą Rosetta odpowiedziała szarą sukienką z głębokim dekoltem. Był to największy wyraz bólu, na jaki było ją stać.

– Biedna Rosetta, taka młoda i już wdowa – komentowały kumy, myśląc jej milczenie ze smutkiem, ale ja byłam świadoma tego, że moja siostra tylko czekała, aż minie żałoba, i już cieszyła się na moment, w którym będzie mogła poczuć się znowu wolna.

W okolicy krążyło coraz więcej plotek na jej temat, potęgowały się podobnie jak było to w moim przypadku, ale mojej siostry, tak samo jak mnie, wcale one nie obchodziły. W istocie nikt oprócz samej Rosetty nie miał pojęcia, ile było w nich prawdy. Ja sama również wyobrażałam sobie nie wiadomo co, a przecież widziałam ją tylko przez chwilę w kawiarni z mężczyzną, który nie był jej mężem. Co się wydarzyło dalej, nie mam pojęcia. To tylko moja wyobraźnia, nie wiedza, podsuwała mi różne scenariusze. Co naprawdę czuła moja najstarsza siostra, co nią kierowało – wiedziała chyba tylko ona sama.

Wiosna 1989 roku

– Przecież to jest twoja wnuczka, mamó – nalegała Cornelia, patrząc na Margialę błagającym wzrokiem.

– Zastanowię się, jeszcze nie powiedziałam „nie”.

To była jednak bardzo stanowcza odpowiedź, mimo że dawała cię nadziei. Skądinąd okazja uczestniczenia w ślubie wnuczki nie zdarzała się codziennie, a teraz nadszedł czas i na córkę Corneli.

Moja siostra należała już teraz do innego świata, który, choć znajdował się zaledwie kilka kilometrów od naszego, był niewiarygodnie daleki.

Wesele miało się odbyć nad samym morzem, w magicznym miejscu zwanym Grotą Królowej. Słynęło ono z odwiedzin królowej, o której milczały karty historii, ale która ponoć zatrzymała się w tej okolicy, by podziwiać piękno krajobrazu. By tę wizytę utrwalić, miejsce, w którym się zatrzymała, nazwano właśnie Grotą.

– Nie rozumiem, w czym problem – odpowiedziała Cornelia.

Siedziałyśmy wtedy w ogrodzie, napawając się widokiem letniego zachodu słońca.

– Ona już taka jest – rzekłam od niechcenia, jakbym próbowała powiedzieć, że znam Margialę lepiej niż ktokolwiek inny.

W tym przypadku zresztą ją rozumiałam. Tu nie chodziło tylko o różnice w pochodzeniu czy status materialny, raczej o to, że mama musiałaby wreszcie, po tylu latach, pojechać nad morze. A to znaczyło dla niej tyle, co zrezygnować z przyjętych i przestrzeganych przez całe życie zasad, które, nawet jeśli wydawały się nie mieć sensu, sprawiały, że jej życie go nabierało.

Poza tym mamie coraz trudniej było uchwycić momenty, kiedy dobrze się czuła, a okazanie własnej słabości traktowała jako coś poniżającego. W ostatnich czasach żyła jakby w innym wymiarze, zamglonym i gorzkim, tak przynajmniej wyobrażałam sobie rzeczywistość, w jakiej żyją ci, którzy, tak jak ona, zaczynają tracić wspomnienia.

To samo przydarzyło się również matce kumy Nenny. Nie była już w stanie odróżnić butów od pary spodni, nie pamiętała, do czego służyły i jak się ich używało, i zaczęła nazywać swą córkę imieniem swej siostry, Chiary, którą pięć lat wcześniej zabrało polio.

Sędziwa kuma nie potrafiła odróżnić lata od zimy i nieraz wkładała gruby sweter, gdy na dworze panowała niemiłosierna duchota, więc córka w końcu musiała zacząć ubierać ją sama, jak małe dziecko. Nie widziała już różnicy między ciepłem a zimnem. W jej mglistym umyśle nawet fizyczne uczucia zamieniły się w dalekie i rozmyte wspomnienia.

Margiala wiedziała o tym i myślę, że w głębi serca zdawała sobie sprawę, że może ją spotkać coś podobnego. Jednak była jeszcze w stanie rozpoznać te dziwne momenty hipnotycznego zastoju, jaki ogarniał jej pamięć, która z biegiem lat pozbywała się mniej ważnych elementów, z taką samą łatwością, z jaką mama kumy Nenny pozbywała się swoich ubrań, gdy zimowymi nocami przechadzała się półnaga po mieszkaniu, liczącą wyimaginowane cyprysy i fiołki.

– To zły znak – trajkotała kuma Nenna tonem znawczyni tematu cudów, wizji i świętych. Staruszka jednak, mając w nosie przewidywania najstarszej córki, wciąż żyła w tym dziwnym wymiarze, szyjąc i rozpruwając poplątany wątek myśli, które teraz wędrowały bez żadnego ładu i składu po jej głowie, nie znając ani przeszłości, ani przyszłości.

Często zatrzymywałam wzrok na Margiali siedzącej przy stole w kuchni. Wydawała się skupiona,

zajęta porządkowaniem przeszłości, jakby prowadziła jakąś wyimaginowaną walkę z własnymi myślami. Lubiała obserwować malusieńkie, ulotne punkciki pyłu, widoczne w świetle padającym przez okno. Siedziała tak z szeroko rozstawionymi nogami, stabilnie spoczywającymi na zniszczonej podłodze. Od czasu do czasu potrzasała głową i wtedy spiczasty, chudy podbródek falował z jednej strony na drugą. Zastanawiałam się, jakie wspomnienie starała się ożywić w tym właśnie momencie.

Potem próbowała chwytać te punkciki zawieszane w wiązce światła. Palce zamykały się, chcąc je złapać i uwięzić. Przyglądała się zaciśniętej pięści, jak robi się zwykle, gdy chce się złapać muchę. Po czym powoli otwierała dłoń, aby napawać się tym, co zdawało się, że złapała. Niestety, pyłek był nieuchwytny. Margiala mogła więc tylko przyglądać się swoim pomarszczonym palcom. Trudno mi się do tego przyznać, ale jej postać, malutka i niezwykle szczupła, wzbudzała we mnie w takich chwilach jakieś dziwne rozczulenie. Nie mogłam uwierzyć, że jej pancerz traci, jedna po drugiej, wszystkie swoje żelazne części, które przez całe lata czyniły ją tak odporną na miłość i czułość.

O wiele łatwiej było mi myśleć o niej jako o kobiecie niezwykle twardej, takiej, której nic nie pokona. Czasami zdarzało się, że jej wyniosła pogarda wobec całego świata dochodziła do głosu, jak kiedyś, i w takiej chwili Margiala znowu okazywała hart ducha kobiety w sile wieku. Gdy przyłapywałam ją, próbowała się wykręcić, twierdząc, że to wina którejś z kum, która odciągnęła ją od obowiązków, dobrze wiedząc, że jej tłumaczenie brzmi absurdalnie.

Czasami w nocy krzyczała przez sen imię zmarłej matki albo Agostina. W chwilach takiego amoku targały nią silne wstrząsy, poruszała szybko głową we wszystkie strony. Spieszyłam do niej, aby wyrwać ją z tych koszmarów. Otwierała wtedy szeroko oczy, wpatrywała się oszołomiona w kredens, ale jej spojrzenie wciąż było nieobecne. Dopiero po chwili przecierała zaropiałe oczy i prosiła mnie o łyk wody. Nic więcej nie mówiła. Nie tłumaczyła się z niczego. Wciąż przecież była Margialą...

Czułam ucisk w piersi na myśl, że moja mama kruszeje, jakby rozpadała się na kawałki, gubiąc po trochu różne historie ze swego życia, jak rzeka, która pomalutku zmienia swój bieg, występuje z brzegów, wylewa się na okoliczne pola, zanim słońce znów nie osuszy jej wód i nie sprowadzi ją na dawne tory. Tak wyobrażałam sobie umysł mojej matki.

Od czasu do czasu, szczególnie wieczorami, niewielkie ubytki zamieniały się w ogromne urwiska, rzeka traciła swoje kształty, zaczynała zalewać to, co jeszcze pozostało. Rzeczywistość i wyobrażenia zlewały się w jedną, niekształtną hybrydową formę, mieszały się ze sobą.

– Wyłączyłaś ogień pod gulaszem? – odzywała się nagle w mroku, zapominając o tym, że gulasz już dawno został zjedzony.

– Przyszła dzisiaj twoja siostra? – pytała innym razem, nie pamiętając, że wyszła dopiero przed godziną.

Z biegiem dni nauczyła się kamuflować również te niewielkie luki w pamięci. Znalazła na to prosty sposób – unikała rozmowy ze mną. Ukrywała te swoje dziwne zachowania, starając się być zupełnie niezauważalną.

– Opowiadałam ci kiedyś, jak twój ojciec przyciągnął mnie tu z Cerignoli? – zapytała pewnego wieczoru i w tym pytaniu kryło się coś w rodzaju pośpiechu. Być może była to nagląca konieczność odtworzenia przeszłości, wyłącznie po to, by nie stracić teraźniejszości.

Zaprzeczyłam. Byłam zdziwiona, że nigdy nie przyszło mi do głowy, aby zapytać ją o coś takiego. W gruncie rzeczy Margiala wydawała mi się tak związana z tym miejscem, że chyba wyparłam z pamięci fakt, że pochodziła z innych stron. Nie mieściło mi się w głowie, że mogła kiedyś czuć się tutaj obco, że wścibskie i płonące oczy kum mogły obserwować ją tak, jak zwykle obserwuje się

przybyszów z innych krain.

Zapomniałam już, że urodziła się i wychowała pośród dusznych pól, a nie nad morzem. Pamiętałam jednak, że czasem oskarżała ojca o coś, co nazwała „wrażliwością ducha”. Tę wrażliwość, która zapewne była w jej oczach rodzajem słabości, przypisywała właśnie ludziom, którzy pochodzili znad morza. Tym jej konstatacjom towarzyszyło przesłanie, że ona, wychowana wśród łąk i pól, z daleka od wielkiej wody, należy do ludzi, których trudno złamać. I rzeczywiście, chyba tak było.

Kiedy przybyli na miejsce, słońce chyliło się ku zachodowi. Kobiety krzętały się przed swymi domami, zajęte energicznym zmiataniem schodów. Nie potrzebowały wiele czasu, by zorientować się, że Anita nie była stąd. Smukła i piękna postać nieznajomej zaintrygowała je do tego stopnia, że porzuciły swoje miotły i kurz i podążyły ciekawskim wzrokiem za „obcą”.

– Jak owady, które wyczuwają wibracje z powietrza – stwierdziła Margiala, imitując ich miny.

Patrzyła na nie pewna siebie, przekonana, że ma święte prawo do skomentowania tych wścibskich spojrzeń. W sposobie, w jaki się im przyglądała, nie było ani cienia uprzejmości, a jedynie manifestacja wyższości. Drażniło ją tylko nieprzyjemne wrażenie, że te nieznajome próbowały czytać w niej jak w otwartej księdze. A może wszystkie znały już ich historię?

Margiala szła żwawym krokiem i wcale nie słuchała tego, co szeptał jej Agostino. Panował nieznośny upał. Na szczęście o tej porze wyczuwało się już w powietrzu rzeźkość nocy. Jedyne niebo, niskie i szare jak dym z komina, przesiąknięte wilgocią, przypominało o tym, że kilka godzin wcześniej na tę glinianą ziemię spadł deszcz. Z każdym krokiem Margiala, ubrana w grubą koszulę, czuła, jak pot spływa jej po plecach. Z nagrzanym słońcem kamiennych płyt, po których stąpała, buchało ciepło, które rozpalało jej policzki. Ale ona nie dawała tego po sobie poznać ani mężowi, ani nieznajomym.

Jakiś zgarbiony starzec ciągnął za sobą szary wózek, na który zbierał gnijące odpady. Na każdym oczyszczonym ze śmieci rogu wydawał z siebie chrząknięcie i wypluwał ślinę, którą zapewne chciał oczyścić daną część ulicy z jakiejś morowej zarazy.

Zielonkawe, śluzowate kleksy znaczyły szlak, którym przechodził. Od czasu do czasu na skrzyżowaniach dróg jakiś mężczyzna powłóczący nogami przechodził z jednej strony na drugą, przeklinając niebiosy i wygłaszając litanie, które raz brzmiały jak błagalne modlitwy, innym zaś razem jak groźby skierowane do przechodniów.

Ci włóczędzy z cynobrowymi nosami i przekrwionymi oczami szwendali się wszędzie, nieprzytomni, zataczając się niebezpiecznie. Czasem któryś z nich zatrzymywał się i patrzył Anicie w oczy. Ale jej przenikliwe spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że nie lękała się stawić czoła tym pijanym ślepiom – znosiła je tak samo dumnie i hardo jak spojrzenia kum.

– Są niegroźni – zapewnił Agostino. – To tylko rybacy, którzy zabijają czas między jednym połowem, a drugim.

Jej to jednak wcale nie obchodziło. Wbijiała wzrok w ich łachmany i brudne paznokcie, które już dawno temu nabrały koloru spalonych świec. Na widok tych obdartusów wzdrygała się gniewnie, na co oni pokornie spuszczaali wzrok.

Gdy wspominała tamte chwile, wzrok miała utkwiony w jednym punkcie, który obrała sobie gdzieś na obrusie. Nie przerywała. Było w tej historii coś magicznego i romantycznego zarazem. Nie opuszczało mnie jednak wrażenie, że opowiada ją bardziej samej sobie, chcąc sprawdzić swoją pamięć, przekonać się, czy jeszcze nad nią panuje.

Przez pewien czas słowa wydobywały się z jej ust jedno za drugim, objawiając jasność umysłu, jaka wydawała mi się w jej przypadku nie do pomyślenia.

– Ha, ha! – zaśmiała się w pewnym momencie. – Kiedy zobaczyła mnie kuma Nenna, poczuła się w obowiązku poinformować mnie, że przyśniło się jej moje przybycie. Ponoć czekali na kogoś takiego jak ja, kogoś, kto potrafi przepowiadać przyszłość i leczyć. Biedna kuma Nenna – dodała po

chwili, potrząsając głową – zawsze była trochę dziwna.

Potem nagle potok słów ustał, jakby przerwane wspomnienia ugrzęzły gdzieś w pamięci. Próbowała je jeszcze wydobyć, ale one już zatraciły się bezpowrotnie.

– Może lepiej zrobisz ciasto na focaccie – powiedziałam do niej spokojnym głosem, udając beztroskę. Skinęła tylko głową i zostawiłam ją tak, skupioną, skubiącą obrus, w poszukiwaniu resztki wspomnień.

Dzień, w którym Cornelia przysłała zaprosić Margialę na ślub swojej córki, na zawsze zapadł mi w pamięć. W ogrodzie unosił się wtedy mocny zapach cukru i lawendy, a grządki prezentowały się idealnie, eksplodując zielonkawymi cukiniami i soczystymi marchewkami.

Margiala unikała nas całe popołudnie. Siedziała w sypialni, narzekając na okropny ból głowy spowodowany duchtą. Wiedziałam doskonale, że była to tylko wymówka. Nie chciała po prostu, żeby zobaczono ją słabą, niepewną siebie, nieco zagubioną. Gdyby Cornelia albo Francesco ujrzeli ją w chwili słabości, byłby to dla niej cios mocniejszy od uderzenia pięścią, toteż uznała, że ból głowy będzie usprawiedliwieniem dla jej chęci odosobnienia.

Dzień był tak piękny, że postanowiłyśmy z Cornelią, że spędzimy go w ogrodzie. Napawałyśmy się rześkim popołudniowym powietrzem, zapachem drzewek cytrynowych, wdychałyśmy woń czerwonych goździków rosnących obok rzędów bukszpanu i róż.

– Pamiętasz, jak byłyśmy małymi dziewczynkami? – powiedziałam nagle, bo te niezwykle aromaty aż prosiły, by powrócić do czasów dzieciństwa.

– Małymi dziewczynkami? Co masz na myśli? – zapytała zdziwiona Cornelia.

Kołysałam się, siedząc w wiklinowym fotelu i zachwycając się tym niezwykłym spektaklem natury, a moje myśli błądziły gdzieś daleko, po krainie młodości. Tak, zdecydowanie byłam w bardzo melancholijnym nastroju.

– Kiedy biegałyśmy po ogrodzie, chcąc dogonić Tommasa, albo siadałyśmy na schodach i zajadałyśmy się smakołykami. Pamiętasz, jak spędzałyśmy całe godziny w kuchni, wykonując polecenia mamy?

Cornelia uśmiechnęła się na to wspomnienie.

– Pamiętam, zawsze była z nas niezadowolona. Zwłaszcza ze mnie. Wydawałam się jej zbyt delikatna – dodała, wciąż jednak się uśmiechając.

– Żadne z nas jej się nie podobało. Ile się namęczyła, żeby ujarzmić mój trudny charakter. Ile się zamartwiała o Francesca.

Rozejrzałam się dookoła. Oleandry znowu zakwitły i nasze wspomnienia nie wydały mi się aż tak odległe. A jednak wszystko się zmieniło – na zewnątrz i w naszych duszach. Ta myśl sprawiała, że chciało mi się płakać.

– Minęło dużo czasu, Cornelio.

– Dużo, Diamante. Bardzo dużo.

– Mama się postarzała. Już nie jest tak silną kobietą jak kiedyś. Potrzebuje pomocy – ciągnęłam dalej.

Cornelia zaśmiała się i zwinęła się w kłębek, przyciągając kolana do piersi. Wciąż nie przyjmowała do wiadomości, że mama nie sprawuje już pieczy nad całym domem, że nie wydaje rozkazów ani nie uprzykrza życia innym domownikom. Pewnie nigdy nie uwierzyłaby, gdybym jej powiedziała, jak krucha i słaba stała się Margiala.

Co ciekawe, choć ciało mamy słabło, jej umysł nigdy nie był bardziej jasny, poza tymi wyjątkami, w których jakby traciła przytomność. Może to stanowiło dla niej najgorsze cierpienie. Świadomość własnego umierania, odchodzenia ze świata z pewnością sprawiała jej ból.

Przez chwilę zapragnęłam powiedzieć o tym wszystkim Cornelii. Coś mnie jednak powstrzymało. Mama zapewne by tego nie chciała. Nigdy się na nic nie poskarżyła i nigdy nie poprosiła nikogo

o wsparcie. Gdyby się dowiedziała, że wygadałam Corneli, jak jest słaba, na pewno byłaby na mnie, mimo tej kruchości, wściekła. Choć lata czyniły ją coraz łagodniejszą, Margiala wciąż potrafiła zmrozić człowieka spojrzeniem.

– Wiesz – powiedziałam nagle do siostry, żeby zmienić temat – wczoraj mama opowiadała o tym, jak przyjechała tu z tatą.

Wzięłam głęboki oddech, czułam, że zaraz się rozplaczę, a nie chciałam do tego dopuścić. Miałam zbyt wiele powodów, by płakać. Zawsze jednak powstrzymywałam łzy, podobnie jak powstrzymywałam się od rozpamiętywania przeszłości i od snucia tęsknych wizji przyszłości, które raniły mnie jeszcze bardziej niż dawne żale.

– Robiłaś tak zawsze już wtedy, gdy byłaś mała – powiedziałam, chrząkając, bo mój głos zachrypl z emocji.

– Co takiego?

– Podciągałaś kolana do piersi, kiedy siedzieliśmy na łóżku i opowiadaliśmy sobie różne historie.

– Masz rację, już o tym zapomniałam – odparła.

Wspomnienie dzieciństwa miało przyjemny smak dżemu śliwkowego, było równie niewinne jak moje eskapady z Pietrem do wąwozu, pachniało nadejściem wiosny i rozbrzmiewało trzaskiem, jaki rozlegał się, gdy kum Umberto uderzał o stare drzewo figowe.

Obrazy przeszłości przesłoniły na chwilę terażniejszość. Poddalam się temu nurtowi, który poprowadził mnie aż do Antonia. Jego wspomnienie wciąż budziło we mnie ból, choć minęło tak wiele lat. Nigdy nie próbował się ze mną spotkać. Mimo to byłam ciekawa, co się z nim stało, jak żył, czy był szczęśliwy. Dobrze wiedziałam, że nie poznam nigdy odpowiedzi na te pytania, że to zamknięty rozdział mojego życia i nie ma sensu do niego wracać.

Z zamyślenia wyrwał mnie głęboki głos Francesca, który dobiegał zza naszych pleców.

– Co tak siedzicie jak dwie stare kумы?

Postarzał się tak samo jak my. Był coraz bardziej podobny do taty. Miał nawet takie same worki pod oczami, ten sam uśmiech.

– Wspominamy dzieciństwo.

– Ach, dawne czasy, niestety – odrzekł, wciąż stojąc za naszymi plecami.

– Mama była przekonana, że nic z ciebie nie będzie, że pozostaniesz złodziejaszkiem. Cóż, wcale się jej nie dziwiłam, że nie miała wielkich nadziei co do ciebie.

Zaśmiał się szczerze, ponieważ dobrze wiedział, ile przysporzył nam kłopotu.

– Oj, ograniczałem się do robienia zapasów owoców i warzyw, wiesz, na czarną godzinę.

Teraz, choć czasem trudno było w to uwierzyć, znając jego przeszłość, był już dojrzałym, rozsądnym człowiekiem. Miał łagodną i cichą żonę, która dała mu dwójkę dzieci.

– Poza tym odziedziczyłeś po mamie jej zrzędlawy charakter – wtrąciła Cornelia.

– Mimo to miło jest powspominać – powiedział ironicznie i przysunął sobie wiklinowy fotel.

Usiadł obok nas, rozglądając się po ogrodzie, ale myślami był już chyba zupełnie gdzie indziej. Pewnie w okresie swego szalonego dzieciństwa i problemów, jakich nam co dzień nastęczał.

Spędziliśmy tak może dwie godziny, napawając się widokiem, jaki mieliśmy przed sobą. Drzewko cytrynowe wciąż miało w zwyczaju obsypywać się owocami, idealnymi na przetwory, których Margiala nie była już w stanie robić sama, a oleander, jak zwykle, obficie zakwitał. Natura, jak co roku, popęłniła plagiat, zasypując nas swymi dobrami.

Nawet chwasty wyrastały zawsze w tych samych miejscach, odświeżając naszą pamięć tak, jakby wszystko mogło nagle zniknąć, zniszczone przez jakąś potężniejszą, złowrogą siłę. Mama próbowała jeszcze wyrwać je swoją motyczką, ale jej plecy zaokrągliły się tak, że nie mogła długo wytrzymać

w tej pozycji. Przy grządkach wyrosły cudowne stokrotki, ozdobne sadzonki cukinii i porów, i pachnące strączki zielonego groszku. Podobała mi się niebieska smuga fiołków biegnąca przy płocie i przy oleandrze.

– Idę do domu – powiedziała wreszcie zaspanym głosem Cornelia. Gdyby nie ona, zapewne siedzielibyśmy tam jeszcze wiele godzin.

– Ja też – dodał Francesco.

Pożegnałam ich szybkim gestem dłoni i zostałam w ogrodzie, siedząc i rozmyślając. Kiedy już odeszli, moja usta same złożyły się, by wypowiedzieć słowo: „dom”. Dla mojego rodzeństwa dom był teraz gdzie indziej, tak jak ich życie. Ja pozostałam zakotwiczona w moim dzieciństwie, w mojej przeszłości, w tych samych czterech ścianach.

Następnego ranka Margiala obudziła się z zamiarem posprzątania całej sypialni. Nagłość tej potrzeby rozdrażniła mnie tak bardzo, że nazwałam ją nawet starą wariatką. Natychmiast tego pożałowałam. W dawnych czasach za taką obrazę otrzymałabym mocny policzek. Mama, która miała już osiemdziesiąt dziewięć lat, ograniczyła się jednak do posłania mi surowego spojrzenia. Jej oczy straciły swój żywy kolor, zwęziły się, a okalające je zmarszczki nadawały jej spojrzeniu śpiący wyraz.

Nie miałam wyboru, musiałam jej pomóc, więc pospieszyłam otworzyć okiennice od strony patio.

– Nie waż się tego robić – rzekła kategorycznie.

Wciąż trudno mi było uwierzyć, że kobieta w jej wieku może mieć jeszcze taką charyzmę. Ale pewne rzeczy, jak widać, nigdy się nie zmieniały.

Raz jeszcze ogarnęła mnie ochota powiedzenia, co sądzę o jej pomysłe, ale powstrzymałam się. To i tak nie miało sensu, mama jak zwykle postawi na swoim.

Zostawiłam więc okiennice przymknięte tak, jak były – przepuszczające jedynie delikatną, świetlistą smugę, która padała na gładkie powierzchnie szafy i komody.

– Zrobimy tak, jak zechcesz – odpowiedziałam.

Margiala otworzyła tę część szafy, w której schowane były jeszcze ubrania taty. Powąchała je. Nie był to przyjemny zapach – aromat zepsutego tytoniu i starości. Ale ona zanurzyła w nich nos i wdychała ten zapach przez dłuższy czas. Patrzyłam na nią jak zahipnotyzowana.

– Co się gapisz? – rzuciła surowo. Chyba przeczuwała, że jej gest może wzbudzić we mnie czułość.

Poprawiłam sobie fartuch i zostawiłam ją w spokoju. Zaczęłam zdejmować wszystkie cenne przedmioty poustawiane na komodzie, łącznie ze szklanym kloszem mieszczącym w sobie figurkę świętego Antoniego, dziwiąc się, że pozwoliła mi go dotknąć. Położyłam wszystko na kwiecistej narzucie, którą przykryła łóżko, i przetarłam drewnianą powierzchnię szmatką nasączoną octem.

– Uważaj na szkło. Może się stłuc. I na grzebyk z kości słoniowej, żeby nie upadł, bo może się wyszczerbić.

Nadal nie zamierzała zrezygnować z pouczeń, najwyraźniej nie potrafiła już inaczej ze mną rozmawiać. W jej świecie właściwie nic się nie zmieniło, wciąż przecież byłam jej dzieckiem, które na wszelki wypadek należało strofować, bo niewiele wiedziało o życiu.

Nagle odwróciła się i spojrzała na mnie z dziwnym rozdrażnieniem w oczach. Sądziłam, że wspomnienie przeszłości wywoła w niej rozczulenie. Zapomniałam, że Margiala nie znała łez. Najwyraźniej uznawała je za bezużyteczne.

Nerwowo zamknęła drzwi szafy. Pomarszczone i przezroczyście dłonie zareagowały siłą na gorycz, która ją jednak zdominowała. Postanowiła zająć się drugą częścią szafy, rzędami szarych, czarnych sukienek i szali wykończonych ozdobnymi lamówkami. Wyrzuciła je zamaszystym ruchem na podłogę. W smudze światła, która przecięła powietrze, unosił się kurz. Pyłki tańczyły w promieniach i opadały na komodę, którą dopiero co wytarłam.

Westchnęłam, ponieważ nawet wtedy, gdy nie robiła tego celowo, Margiala potrafiła zawsze zniweczyć każdy mój wysiłek.

– Wszystko, wszystko. Trzeba uprać wszystko. I to szybko – zaczęła powtarzać, kręcąc się nerwowo.

Zebrałam jej ubrania i ułożyłam w wielki stos. Za chwilę miałam je wynieść na podwórko, a potem zamoczyć w dużej drewnianej balii, w której kąpałyśmy się, będąc dziećmi. Wzięłam popiół z piecyka węglowego – chociaż było lato, w nocy Margiala odczuwała chłód – i posypałam nim ubrania. Podniosłam pokrywę studni i wydobyłam z niej kilka litrów wody, którą napełniłam balię. Chciałam namoczyć ubrania przynajmniej przez jeden dzień.

Mama dołączyła do mnie po krótkim czasie, jak zwykle chcąc zarządzać pracą. W jej wzroku było coś, co budziło we mnie niepokój. Wyglądała tak, jakby miała jakiś doskonale obmyślony plan. W jej gestach nie dostrzegałam ani cienia przypadkowości. Nawet teraz, po tylu latach, jestem o tym przekonana.

Myślę, że Margiala rozpaczliwie starała się ożywić przeszłość. Być może miała nadzieję, że w ten sposób zatrzyma czas, a może zwyczajnie chciała się pożegnać z tym, co minęło.

W kolejnych dniach mama znowu stała się milcząca. W domu zapanował spokój. Był on jednak, jak nauczyło mnie doświadczenie, pozorny. Podświadomie wyczuwałam, że coś się wydarzy, i mój lęk cały czas narastał.

Któregoś z takich podobnych do siebie poranków stwierdziła, że zostaje w łóżku. Zdarzało się to jej od czasu do czasu, bo – czy tego chciała, czy nie – starość coraz bardziej dawała się jej we znaki. I nawet gdy odwiedziła ją córka kumy Nenny, została w łóżku, stwierdzając, iż wyjątkowo źle się czuje. Tego dnia nie wstała już z łóżka, mimo że kilka razy próbowałam ją namówić na spacer w ogrodzie.

– Nie mam ochoty – zbywała mnie.

Kiedy pojawiła się u nas Cornelia, by zaprosić ją na ślub swojej córki, mama miała jeden z tych dni, kiedy słabość ogarniała jej członki. Wymawiała się bólem głowy od rozmowy. Wiedziałam, że to dla niej trudne. Kiedy moja siostra próbowała naciskać, odpowiadała:

– Jeszcze nie zdecydowałam. Czy ten ślub naprawdę nie może się odbyć beze mnie?

Jej głos stawał się stanowczy. Atakowała, by nie dać swojej średniej córce szans na odpowiedź.

– Nie. Chodzi o to, że... po prostu byłoby nam miło. – Cornelia mówiła to głosem pełnym emocji, a jej prawa powieka zaczęła drgać. Chyba zapomniała już, jak trudno rozmawia się z Margialą.

Podczas gdy moja siostra próbowała przekonać mamę, ja zajęta byłam krojeniem marchewek i cukinii na zupę. Co jakiś czas tylko odwracałam się, aby na nie popatrzeć. Doskonale wiedziałam, o co tak naprawdę chodzi. Nie miałam jednak zamiaru wyjaśniać tego Cornelii.

Zresztą może mama miała rację. W gruncie rzeczy kogo obchodziła stara babka panny młodej? W gościach weselnych wzbudziłaby jedynie czułość swoim sędziwym wiekiem, małymi dłońmi, siatką zmarszczek, które pokrywały już każdy centymetr jej skóry. Margiala nie zniosłaby litościwych spojrzeń. Nigdy nie chciała współczucia.

– Jeszcze się zastanowię – spuentowała lakonicznie.

Cornelia spuściła głowę. Zrobiło mi się jej żal.

– Postaraj się ją zrozumieć – powiedziałam, gdy mama wyszła do sypialni. – Ona woli swoją samotność. Tutaj czuje się bezpiecznie.

– To absurd. Starsi ludzie powinni nienawidzić samotności – odpowiedziała. Chyba straciła nadzieję.

– Chodź, zjesz zupę. – Próbowałam zmienić temat.

– Nie chcę – odparła smutno i wyszła.

Usiadłam nad talerzem, ale nie miałam apetytu, mieszałam tylko łyżką w gorącej zupie. Mój wzrok przyciągnął ogród. Widok kwitnących kwiatów zawsze działał na mnie kojąco. Nagle wstałam, wylałam zupę i wyszłam przed dom, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Margiala wyszła ze swojego pokoju dopiero w porze kolacji. Przygotowałam omlet z porami. Zjadłyśmy go, przegryzając chlebem. Była milcząca, jakby nieobecna, jej zachowanie przestało mnie dziwić już dawno temu. Kilka razy miałam ochotę zapytać ją o decyzję w sprawie ślubu, nie odważyłam się jednak. Nie było sensu dłużej jej dręczyć. Teraz myślę, że w tamtych dniach jedyne, czego potrzebowała Margiala, to bliskie jej rzeczy. Mrok jej pokoju, dobrze znane, stare meble, ulubione przedmioty.

Tamtego wieczoru przystała jednak, budząc tym moje zdziwienie, na propozycję posiedzenia

w ogrodzie. Usiadła na poduszce w kwiatki, którą niedawno uszyła, z twarzą zwróconą w stronę oleandra. Ostatnimi laty zwykła powtarzać, że to jej ulubiona roślina. Jakby zapomniała, że kiedyś wyrwała go w szalonym ataku gniewu. A może właśnie dlatego tak go ceniła.

Siedziałyśmy w wiklinowych fotelach, nie spiesząc się do snu. Mama nie była zbyt gadatliwa, ale widać było, że cieszy się letnim wietrzykiem, aromatem kwiatów. Po kilku godzinach, gdy zrobiło się już naprawdę chłodno, odprowadziłam ją do pokoju. Pożegnała mnie, głaszcząc po głowie. W tym jednym geście skrywała się czułość nagromadzona przez całe życie. Jestem przekonana, że Margiala żegnała się ze mną, że robiła to świadomie. Tej nocy odeszła.

Rankiem na próżno czekałam, aż się obudzi. Gdy weszłam do jej pokoju, aby nakrzyczeć na nią, że śpi tak długo, zobaczyłam ją skuloną, leżącą na boku, maleńką.

Nie musiałam podchodzić, by zrozumieć, że umarła. Przypuszczam, że spędziła tę noc, wspominając swoje życie, żegnając się ze światem, z nami, z domem, ze swoim ogrodem i kwitnącym w nim oleandrem.

Wzruszyłam się, choć przecież nie byłam tą śmiercią zaskoczona. Rozejrzałam się po pokoju. Od wielu lat nic się w nim nie zmieniło. Wciąż stał tu ołtarzyk ze zdjęciem taty i babci. Na łóżku leżała haftowana narzuta, poduszki pachniały lawendą i jak zawsze paliła się świeczka. Szklany klosz i grzebyk z kości słoniowej stały w dobrze widocznym miejscu. I szafa wypełniona ubraniami z czasów młodości, których Margiala już nigdy nie włożyła, bo nie przestała nosić żałoby.

Zbliżyłam się do łóżka. Nogi miałam jak z waty. Wiedziałam oczywiście, że ten moment kiedyś nadejdzie, zawsze jednak wyobrażałam go sobie w inny sposób. Nigdy nie przestałam myśleć, że Margiala była nieśmiertelna, że przeżyje nas wszystkich. Dotknęłam jej sękatą, małą dłoń. Była zimna, mimo że w pokoju panował zaduch. Długie i rzadkie włosy układały się wzdłuż pleców, aż po pośladki, tworząc szary płaszcz; usta miała otwarte. Zamknęłam je delikatnie i pocałowałam ją w czoło.

– Miłej podróży, mamó – rzekłam, nie roniąc nawet łzy. Nie były konieczne. Nie złagodziłyby bólu. Prawdopodobnie dawno temu, kiedy umarł tata, Margiala doszła do takiego samego wniosku. Tyle że ja zrozumiałam to dopiero po wielu, wielu latach.

Usiadłam przy niej i zapytałam:

– Czy ty mnie kochałaś, mamó?

Dobrze wiedziałam, jaka jest odpowiedź.

Miałam wrażenie, że coś w moim gardle, męcząca gula, która tkwiła w nim prawie czterdzieści lat, powoli się rozpływała. Teraz wszystko miało wrócić na swoje miejsce, Margiala w końcu mogła odnaleźć spokój. Chyba dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że mnie opuściła; że moja matka, towarzysząca życia, surowa strażniczka, która czuwała nade mną przez te wszystkie lata, odeszła na zawsze.

CZĘŚĆ X
ODKUPIENIE

Margiala znowu postawiła na swoim. Zostawiła nas samych i na zawsze odwlokła podjęcie decyzji o swej obecności na ślubie. Przez tydzień nie dotykałam niczego w jej sypialni. Unikałam nawet wchodzenia tam, skupiając się na pogrzebie i na rozmowach z tymi, którzy przychodzili się z nią pożegnać. Nie było ich wielu. Większość osób, które wypełniały popołudnia mojego dzieciństwa, odeszła. Kuma Antonietta umarła w jedną z mroźnych nocy, w momencie, gdy błyskawica oświetliła jej pokój, rozdzierając ciemności. Wreszcie, po długiej i bolesnej chorobie, doznała ulgi. Odeszła również kuma Nannina, podobnie jak jej syn, który wyjechał do Turynu za chlebem i zginął w fabryce przygnieciony ciężkim ładunkiem zawieszonym na stalowej linie.

Pogrzeb mamy był niezwykle uroczysty. Gdy nadszedł moment zamknięcia trumny, przytuliłam się do swych sióstr. Niedaleko stali Francesco i Giuseppe. Obaj mieli wzrok wbity w ziemię. W tej ich powściągliwości krył się sens wielkiej rodziny matriarchalnej, którą Margiala utrzymywała na własnych barkach, sprowadzając mężczyzn do roli statystów.

Rosetta nie potrafiła powstrzymać łez. Zawodziła tak głośno, że sama z trudem powstrzymałam się od płaczu. Może ona również, tak jak ja, żyła w przekonaniu, że mama jest nieśmiertelna, a może zwyczajnie było jej żal, że ostatnie lata spędziła, niemal się z nami nie kontaktując.

Na pogrzeb Margiali przyszły całe rzesze ludzi. Więcej chyba niż na pogrzeb Agostina, który cieszył się ogromnym poważaniem, a może to moja pamięć już zawodziła. Kiedy ksiądz błogosławił trumnę, Cornelia uściśnęła mocno moją dłoń. Ja z kolei tuliłam do siebie zrozpaczoną Rosettę. Tymczasem znajome i nieznanne twarze tłoczyły się wokół nas, by pożegnać mamę.

Gdy tydzień później otworzyłam okiennice jej sypialni, intensywna jasność dnia opanowała pokój. Chciałam, aby półmrok panujący tam od lat, otaczający wszystko makabryczną atmosferą świętości, w końcu zniknął. Uświadomiłam sobie, że mogłabym teraz zamienić się na pokoje, osiąść w sypialni mamy, jak w swojej. Na razie jednak zabrakło mi odwagi. Tak się zamyśliłam nad tym, że nie zauważyłam, iż zgasła świeca. Gdy to w końcu do mnie dotarło, natychmiast udałam się na targ, żeby kupić nową. Mama przewróciłaby się w grobie, gdyby świeca się nie paliła.

Tego dnia Cornelia próbowała namówić mnie na spacer nad morze.

– Chodź z nami – powiedziała. – Morskie powietrze dobrze ci zrobi.

Wiedziała, że to ja poniosłam największą stratę, że mnie było najciężej. Ona miała swoje życie, córkę, która wkrótce miała wyjść za mąż, i kochającego ją Lorenza.

– Dobrze – przytaknęłam, chociaż myśl spotkania się z morzem, po tylu latach, trochę mnie niepokoiła.

Po drodze zatrzymaliśmy się w restauracji, w której miało odbyć się przyjęcie weselne mojej siostrzenicy. Cornelia i Lorenzo chcieli jeszcze ustalić ostatnie szczegóły. „Grotta Regina” była luksusowym miejscem, idealnym dla nowobogackich kochających srebrne sztucce i wykwintne jedzenie.

Mnie bardziej jednak niż minimalistyczne wnętrza czy menu ciekawiła moja siostra. Mimo upływających lat prawie się nie zestarzała. Była piękna. Nic dziwnego, że Lorenzo wciąż był w niej szaleńczo zakochany.

W końcu jednak zostawiłam ich rozmawiających z szefem kuchni o potrawach weselnych, a sama udałam się nad morze. Odetchnęłam głęboko. Zapach tego miejsca wcale się nie zmienił. Za to

wszystko dookoła już tak. Rzędy szarych bloków przekształciły wygląd krajobrazu, pozbawiając go charakterystycznej dzikości, którą tak lubiłam. To już nie było to samo miejsce.

Wzdłuż brzegu wybudowano falochrony zapobiegające zalewaniu ulicy przez fale morskie. Musiałam przejść przez stojące w korku samochody, by przyjrzeć się wodzie z bliska. Była mętna i ciemna, jakby było jej z jakiegoś powodu przykro. Moje stopy zaczęły podążać szlakiem myśli, których nigdy nie zapomniałam. Krok po kroku, bezwolnie kierowały się w jednym kierunku.

Łódki wciąż były przycumowane w porcie, jak wiele lat temu, leniwe i falujące, z brzuchami pełnymi ryb i sieci. Rybacy, jak zwykle, zaczepiali przechodzące obok dziewczyny, mając nadzieję, że któraś choć uśmiechnie się do nich. Ich skóra była szorstka od słońca, a oczy zmęczone.

Zamek Svevo nadal górował nad okolicą. Wydawał się niezmienny. Także uliczki starego Bari nie poddały się upływowi czasu, jedynie kamienne płyty, którymi były wyłożone, nabrały nowych, szarawych odcieni. Wszystko sprawiło jednak na mnie wrażenie przyblakłego, upadłego piękna.

Gdzieniedzie siedzieli leniwi staruszkowie, wygrzewający się na słońcu, w wiklinowych fotelach ustawionych dookoła stołów nakrytych obrusami w kratkę. Butelka piwa zastąpiła kieliszki z winem, ale karty wciąż pozostawały w grze.

– Dzień dobry – zwrócili się do mnie uprzejmie, gdy przechodziłam obok. Chciało mi się śmiać, ponieważ spojrzenia, jakie rzucano mi wiele lat temu, gdy przedzierałam się ukradkiem przez te obłoki dymu i opary wina, były zgoła inne. Teraz stały się zwykłym pozdrowieniem.

Suchy piasek drapał mnie w gardło i uniemożliwiał mi przelknięcie, a serce biło szybciej na wspomnienie przeszłości. Czułam smak rzeczy nieśmiertelnych, najbardziej czystych uczuć, których ani czas, ani kurz, ani żal nie są w stanie zniszczyć. Poczucie krzywdy i gniewu wciąż było we mnie żywe, ale wiedziałam już, że inne rzeczy były w moim życiu ważne. Uświadomiła mi to śmierć Margiali.

Zatrzymałam się na przystani, na tym samym skrawku plaży, gdzie wiele lat wcześniej spotkałam Antonia. Zamknęłam oczy, wspomnienia odżyły. Bolało mnie serce. Moja myśl ponownie pobiegła do Margiali. Przypomniał mi się chłód, z jakim potraktowała śmierć ojca, surowość, z jaką nas wychowała. Oparłam się o wystający fragment skały i czubkami palców dotknęłam pulsującej skroni.

Nie. Jeszcze nie byłam gotowa.

Następnego dnia postanowiłam jednak przenieść swoje rzeczy do sypialni mamy. Przy okazji zrobiłam porządek we własnej szafie. Sukienki w kwiatki, których nigdy nie lubiłam, zamierzałam oddać Cornelii. Zdecydowałam się zostawić tylko te czarne oraz białe koszule i szary płaszcz, który dotąd wkładałam tylko na specjalne okazje.

Przy okazji pozbyłam się dziwnych kreacji, które pamiętały jeszcze czasy ślubu Cornelii.

„Ślub” – powiedziałam głośno do siebie. Musiał odbyć się mimo śmierci mamy. Został tylko przełożony o miesiąc.

Zaczęłam przebierać energicznie wśród nowszych ubrań, szukając czegoś odpowiedniego na tę okazję. Nic jednak mi nie odpowiadało. Nie czułam się sobą w tych wszystkich sukienkach, które sprawiały, że wyglądałam staro. Staro i ponuro.

W kartonowym, pośliskim pudle miałam jeszcze ubrania z czasów młodości. Przechowywałam je przez te lata tak, jak przechowuje się skarby. Wyciągnęłam czarną, dopasowaną sukienkę. Przymierzyłam ją przepelniona taką samą ciekawością, z jaką młode dziewczyny przeglądają się sobie w lustrze, wkładając nowe ubrania. Wyglądziłam dłońmi materiał na biodrach i stanęłam bokiem, aby przyjrzeć się krągłościom, jakie rysowały się pod sukienką.

– Nie jest źle – wyszeptałam zadowolonym tonem.

Potem włożyłam wszystko z powrotem do pudła i zaniiosłam je do sypialni mamy. Miałam zamiar opróżnić wszystkie jej szafy, ale nie po to, żeby pozbyć się jej ubrań – nie mogłabym tego uczynić. Chciałam jedynie zrobić trochę miejsca na swoje.

Nagle usłyszałam mocny stukot pięści o drzwi oraz wzburzony, ochrypnięty głos wołający imię mojej matki. W głosie wyczuwało się niebezpieczny niepokój.

– Do licha! – krzyknęłam.

Ludzie nie mieli za grosz taktu i nie potrafili uszanować czyjejś żałoby. W drzwiach ujrzałam młodą kobietę. Miała około dwudziestu lat, długie, czarne włosy i turkusowe oczy. Przypominała moją siostrę Rosettę.

– Pani jest córką Margiali, prawda?

Spojrzałam jej w oczy, w napięciu oczekujące na moją odpowiedź, po czym opuściłam wzrok na zniszczoną posadzkę. Pomyślałam, że przyszła, aby złożyć mi kondolencje, więc zaprosiłam ją do środka.

– Nie, proszę pani. Nie ma czasu, chodzi o moją siostrę. Powinna niedługo zacząć rodzić, ale dzieje się coś złego. Bardzo krwawi. Pani musi nam pomóc.

Patrzyłam na nią zdumiona jeszcze przez chwilę. Podniosłam brwi, szukając odpowiednich słów. Ja przecież nie byłam Margialą. Nie oddziedziczyłam jej talentu, choć kobieta dopatrywała się we mnie umiejętności mamy. Dla niej było oczywiste, że skoro jestem jej córką, muszę robić to, co ona.

„Może sobie poradzę – myślałam – przecież wiele razy widziałam, jak mama pomaga rodzącym kobietom”.

– Proszę dać mi chwilę – powiedziałam przejęta.

Zostawiłam ją przy wejściu obok amarantowej szafki, a sama pobiegłam do pokoju i stanęłam przed lustrem wiszącym nad komodą. Oparłam ręce na gładkiej, drewnianej powierzchni mebla pomiędzy szklanym kloszem i grzebykiem z kości słoniowej. Przez chwilę przyglądałam się odbiciu mojej twarzy w lustrze. Chyba szukałam czegoś, co upodabniało mnie do niej. Nie dopatrzyłam się

jednak nawet śladu mamy w moim odbiciu. Nie byłam Margialą. Świadomość, że ludzie mogą oczekiwać ode mnie, że ją zastąpię, odebrała mi oddech.

Wróciłam do kobiety, która wciąż czekała na mnie w wielkim napięciu.

– Pójdę z panią, ale po lekarza. Tutaj niedaleko mieszka doktor Iacobellis. Jest dobrym ginekologiem. Jestem pewna, że nie odmówi pani pomocy.

– Ale ja... – zaczęła tonem pełnym rozpaczy – ale pani....

– Nie ma czasu, moja droga. Pani siostra jest ważniejsza. – Gdy wypowiedziałam to zdanie, coś się w niej poruszyło i zerwała się jak za pociągnięciem sprężyny.

Szliśmy żwawym krokiem do placu, przy którym mieszkał doktor Iacobellis. Był to mężczyzna przy kości, z czerwonym nosem i pulchnymi policzkami. Kiedy usłyszał, że jest potrzebny, nie zastanawiał się długo, chwycił torbę i wybiegł za nami.

Starł się dotrzymać nam kroku, choć widać było, że jest zmęczony upałem. Kiedy dotarliśmy do żółtego domu położonego przy kościele Najświętszej Matki Boskiej, poczułam się dziwnie. Przychodziłam tu z mamą i siostrami, gdy byłyśmy małe. Zapalałyśmy świeczkę przy ołtarzu Matki Boskiej i Margiala kazała nam wtedy modlić się za dusze zmarłych.

Drzwi otworzyła nam kobieta mniej więcej w moim wieku. Zapewne matka rodzącej. Była spocona, jej szyję spowijały różowawe plamy. Gdy nas ujrzała, na jej twarzy pojawiła się konsternacja, a może rozczarowanie. Raczej nie spodziewała się w swym domu lekarza. Nie spodziewała się również tego, że córka Margiali może odmówić pomocy. Margiala nigdy by tego nie zrobiła.

Nim jednak zdążyła coś powiedzieć, machnęłam groźnie ręką, by nie dopuścić jej do głosu. Moje zdecydowanie od razu podziałało, bo natychmiast wpuściła nas do środka.

– Z drogi, z drogi – powiedziała, nakłaniając zebrane w pokoju kumy do odsunięcia się. – Przepuście lekarza. – Kumy posłusznie przysunęły się do ściany, umożliwiając nam przejście do sypialni, w której jakaś biedaczka rodziła w wielkich bólach.

Na twarzach wszystkich tych kobiet malowało się wielkie zdziwienie. Pierwsze z powodu obecności lekarza, ale też dlatego, że nie podjęłam się odebrania porodu, że nie poszłam w ślady mamy. Pewnie myślały, że jestem tchórzem. Stałam przy wejściu, wpatrując się w ten rój kobiet, które, jak sądziłam, miały nadzieję, że doszukają się w moich oczach jakiejś odpowiedzi.

Ja jej jednak nie miałam. Wiedziałam tylko, że nie jestem margialą.

Pożegnałam się skinieniem głowy i poszłam do znajdującego się obok kościoła. Musiałam pomodlić się za dusze zmarłych, za duszę mamy... i za swoją!

Tamtego wieczora Rosetta przyszła do mnie na kolację. Powietrze było jeszcze gorące, ale oddychało się już wrześnieową rzeźkością. Śmierć mamy zbliżyła nas do siebie, sprawiła, że znów byliśmy siostrami.

Wyrywałam właśnie chwasty w ogrodzie, gdy się pojawiła.

– Pomożesz mi? – zapytałam wesoło, dobrze wiedząc, że nie lubi takich prac.

– Nie widzisz, jak jestem ubrana? – odpowiedziała nieco oburzona.

– No tak. Jak zwykle piękna.

– Mama wyrywała je motyczką.

– A ja rękoma.

Wytarłam ręce w fartuch i podeszłam do niej.

– Czuć zapach wilgotnej ziemi – powiedziała, wdychając powietrze.

– Dopiero co podlewałam. Ciekawa jestem – zmieniłam temat – z jakiej to okazji tak się wystroiłaś?

Wzruszyła ramionami, ale nic nie odpowiedziała. Dla Rosetty elegancja zawsze stanowiła ważną kwestię.

Wydawała się bardzo zadowolona, że mnie widzi.

– Chodźmy do kuchni – zaprosiłam ją.

Ugotowałam braciole z sosem, który tak lubiła, w taki sam sposób, jak robiłyśmy to wiele lat wcześniej, z szalwią i serem pecorino. Niektóre rzeczy po prostu nie mogły ulec zmianie. Patrzyłam na Rosettę z prawdziwą czułością i rozrzewnieniem. Tak nie pasowała do tej kuchni, pełnej brudnych naczyń, kuchennych noży, garnków, chochli i unoszącej się pary.

– Powinnaś tu trochę posprzątać – powiedziała, rozglądając się dookoła.

– Tak. Powinnam – potwierdziłam. Wciąż nie docierało do mnie, że nie muszę już czekać na rozporządzenia Margiali, że ten dom był teraz tylko mój.

– Sos jest przepyszny. Jesteś zdolniejsza ode mnie.

Zaśmiałyśmy się, przypominając sobie czasy, w których Margiala nie dopuszczała mnie do ważnych zajęć w kuchni. Dla mnie i Corneli z zarezerwowane były prace typowe dla „niewykwalifikowanej siły roboczej”.

– Zawsze cię faworyzowała – wymamrotałam, połykając dużą kluskę wypełnioną sosem, ale gdy się śmiałam, moje oczy robiły się coraz bardziej wilgotne. Wypełniły się łzami, choć usta wciąż próbowały się uśmiechać.

– Brakuje ci jej?

– Chyba tak – wykrztusiłam, rozkładając bezradnie ręce, ponieważ coś w środku mówiło mi, że mój ból, moje poczucie straty było spowodowane jeszcze czymś innym.

– Wiesz, jutro wyjeżdżam. Jadę do Vincenza, do Mediolanu. Zatrzymam się u niego na trochę.

Jej syn został adwokatem i od wielu lat mieszkał w wielkim mieście. Rzadko wracał w te strony i nigdy nie zatrzymywał się dłużej niż parę dni.

– Więc wystroiłaś się, bo jedziesz do miasta?

– Wystroiłam się dla siebie samej – odpowiedziała z uśmiechem.

Znałam ją tak długo, a mimo to wciąż zaskakiwała mnie swoją postawą. Moja siostra sprawiła, że coś się we mnie otworzyło. Jej słowa zaczęły brzęczeć mi w głowie jak pszczeli rój. „Dla siebie

samej”.

Skończyłyśmy jeść i Rosetta pomogła mi zmyć naczynia. Przez dłuższą chwilę stałyśmy razem przy zlewie, śmiejąc się, jakbyśmy znowu były małymi dziewczynkami. Potem usiadłyśmy na tarasie, ciesząc się zielenią naszego ogrodu. Ona zajęła fotel z poduszką w kwiatki, ten sam, na którym lubiła siadać mama, ja usiadłam tuż obok, na drugim fotelu zdobionym poduszką w kratkę.

– To był jej ulubiony fotel – powiedziałam, przysuwając się w jej stronę.

– Jak tu przyjemnie o tej porze roku – westchnęła. Chyba wolą już nie rozmawiać o mamie.

Chciałam powiedzieć Rosetce, że zazdrościłam jej, że zawsze podążyła za głosem serca. Ja, natomiast, uważana za buntowniczkę, tak naprawdę byłam tą, która najbardziej dała się ujarzmić. I chyba Margiala nie miała z tym nic wspólnego. To chodziło tylko o mnie.

Rosetta zaczęła się bujać w fotelu. Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, ciesząc się swą bliskością.

– Jutro będzie piękny dzień – powiedziała, wskazując palcem na cirrusy rozrzucone nieregularnie na niebie.

Spojrzałam w górę, szukając potwierdzenia jej słów.

Znów zaczęłyśmy się śmiać. Śmiałyśmy się długo, nie wiedząc nawet, z jakiego powodu. To był prosty i szczery śmiech, który zbliżył nas do siebie bardziej niż dziesiątki słów. Śmiałyśmy się z przeszłości, z teraźniejszości i z przyszłości. Wiedziała, że w tym moim śmiechu było coś więcej.

Powoli przygotowywałam się na zmianę. Nie miała ona jeszcze zarysowanych kształtów, ale pulsowała już wewnątrz mnie jak krew w żyłach, gotowała się jak sos w garnku. Oczekiwała na mnie, tak jak jesień oczekuje lata.

Tamtego wieczoru ja i Rosetta byłyśmy bardzo szczęśliwe razem.

– Udanej podróży – powiedziałam, gdy wstała, by się pożegnać.

– Dziękuję – odrzekła.

Podobnie jak moja siostra ja również wybierałam się w drogę. Tyle że w moim przypadku to była podróż wewnętrzna, do siebie samej. Mogłam nazwać ją wyprawą w poszukiwaniu straconego szczęścia. To słowo niemal parzyło moją skórę, odbierało dech w piersiach, sprawiało, że pod powiekami gromadziły się łzy.

Pomyślałam o Rosetce. O jej wymuszonym małżeństwie. Czy mojej siostrze dane było kochać? Dawno temu Domenico jej to uniemożliwił, dlatego zaczęła szukać swego przeznaczenia gdzie indziej. Wiedziałam już, że nie można jej potępiać. Ona po prostu podążyła za głosem swego serca.

Tymczasem ja zrzekłam się samej siebie, miłości, rezygnując z delikatnego dotyku rąk zakochanego mężczyzny na swojej skórze, z możliwości przeżycia chwil, gdy w brzuchu rośnie maleńka fasolka. „Do diabła” – powiedziałam głośno do siebie i poczułam znów ten tupet i siłę, które towarzyszyły mi, gdy byłam małą Diamante.

„Przyszła pora ją wskrzesić” – postanowiłam.

Ledwie nastał świt, wybrałam się na targ. I choć noc miałam niespokojną, na pół bezsenną, mimo to moje oczy lśniły blaskiem. Myślałam o Antoniu. Oczywiście, spodziewałam się, że mógł się ożenić. Mógł nawet nie żyć. Ale tej ostatniej myśli mój umysł nie dopuszczał do siebie.

Miałam wrażenie, że na nowo odkrywam w sobie radość życia. A śmierć nie mogła mieć z nią nic wspólnego, podobnie jak niewiele ma wspólnego z dzieciństwem. Byłam tego pewna, choć to, co przytrafiło się Pietrowi i mojemu ojcu, powinno skłaniać mnie do innego zdania.

Gdy tak rozmyślałam nad sobą, swoją przeszłością i przyszłością, natknęłam się na córkę kumy Nenny i wnuczkę kumy Antonietty. Obserwowałam je kątem oka trochę przerażona, jakby złapana na gorącym uczynku. „Czy domyślają się, co się ze mną dzieje?”

Byłam pewna, że gdyby Margiala jeszcze żyła, na pewno od razu dostrzegłaby moją przemianę. Nic nie umykało jej uwadze. – „Oby tylko zostawiły mnie w spokoju” – szeptałam pod nosem, nie mając ochoty na pogaduchy. Spodziewałam się zresztą, że już wzięły mnie na języki, nie trzeba było dawać im specjalnego powodu. Wystarczyło się po prostu uśmiechać do siebie, by zostać nazwaną starą wariatką. Nie zamierzałam się jednak niczym takim przejmować. W moim sercu narastał bunt, który gdzieś dawno temu utraciłam. „Niech pozwolą mi żyć” – myślałam, kierując się w stronę straganów.

Stoiska z owocami przepelnione były gwarem. Co chwilę przed oczami migwały mi zwinne ręce wychwytyjące co soczystsze jabłka i najdelikatniejsze gruszki. Nagle zza pleców dobiegł mnie głos córki kumy Nenny.

– Jak się czujesz?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– Słucham? – odpowiedziałam pytająco, zasłaniając dłonią oczy przed rażącymi promieniami słońca.

– Jak leci? – podniosła głos, myśląc, że paplanina w tle uniemożliwiała mi dosłyszenie jej słów. Oczywiście dobrze ją słyszałam, tyle że w tamtym momencie miałam wrażenie, jakbyśmy mówiły dwoma różnymi językami.

– Pewnie czujesz się samotnie w tym wielkim domu. – Raczej stwierdziła, niż zapytała.

Tak. Nasze myśli i nasze języki dostroili się do siebie. Teraz jej słowa miały dla mnie jakieś znaczenie, ponieważ dotykały głębi mojego bólu. Pewnie, że brakowało mi Margiali, w dziwny i wyjątkowy sposób, w jaki może brakować kogoś takiego, jak ona.

Musiało minąć dobrych parę minut, nim zdecydowałam się udzielić jakiejś odpowiedzi. Moja rozmówczyni opuściła wzrok i chyba starała się wsłuchać w moje myśli, może naprawdę miała dobre zamiary i chciała zrozumieć moje milczenie.

– Diamante, dobrze się czujesz? – Głośniejsz od jej słów dochodziła mnie plątanina słów, śmiechów, dreptanina kroków, piski dzieci i nawoływania sprzedawców. Poczulałam ogromną chęć pognać wzdłuż wąwozu, zatrzymać się na samym brzegu i poczuć to cudowne mrowienie, jakie cofające się fale pozostawiają na stopach. Tak, chciałam uciec.

To uczucie było tak silne, że pożegnałam kumę skinieniem głowy i odeszłam. Czulałam, że cała drzę, jakby niecierpliwość, chęć nadrobienia straconego czasu wzięła górę nad wszystkim innym. W tej jednej, krótkiej chwili rozumiałam, że nadszedł wreszcie właściwy moment, by zmienić swe życie.

Gdy przedzierałam się przez tłum, przyciskając do piersi moją czarną torebkę, co chwilę dostrzegałam znajome twarze. Nie zatrzymałam się jednak, z nikim nie zamieniłam nawet słowa, bojąc się, że stracę choć sekundę.

Witałam się więc tylko skinieniem głowy, gorączkowo, w pośpiechu. Miałam wrażenie, że asfalt płonie pod moimi stopami. Był promienny ranek jednego z ostatnich dni lata i nic nie zapowiadało jesiennej aury, jaka w przeciągu kilku tygodni miała ogarnąć całą przyrodę. Drzewa pełne były liści, gałęzie uginały się od nadmiaru owoców. Patrzyłam na nie, myśląc gorączkowo, że tak bardzo nie chcę tracić już dni. Dlatego, mimo iż moja decyzja była szalona, postanowiłam odnaleźć Antonia.

Biegłam coraz szybciej i szybciej. Przed oczami stawały mi obrazy chwil przeżytych wiele lat wcześniej. Ochrypły, głęboki głos, który sprawił, że czułam się tak bezbronna i szczęśliwa. Szorstkie i podrapane trudem życia ręce. Skóra spalona słońcem. Nawet ból, zniewaga, upokorzenie wydawały się nic nieznaczącymi szczegółami. Rozmyślałam o przeszłości. O mnie. O nim. Moje nogi poruszały się zwawo, nie odczuwały żadnego zmęczenia. Choć powinny. Diamante nie była już przecież małą dziewczynką. Diamante była dorosłą kobietą. Prawie staruszką.

Zostawiłam wąż za moimi plecami podobnie jak przystań. Minęłam zamek Svevo i nagle znalazłam się na wprost starszych mężczyzn, którzy jak zwykle w tym miejscu grali w karty. Pozdrowili mnie tak jak ostatnio. Uśmiechnęłam się do nich i poszłam dalej. Zatrzymałam się dopiero, gdy znalazłam, się pod znajomym mi domem z odrapanymi ścianami.

Mój oddech stał się teraz ciężki, nie mogłam zapanować nad kołataniem serca. Nie zważałam jednak na nic, nad niczym się nie zastanawiałam. Nim się spostrzegłam, już pukałam do drzwi. Kiedyś wydawały mi się znacznie większe, ale może to mój wiek sprawiał, że widziałam teraz wszystko w mniejszej skali. Ciche i niepewne uderzenie, przytłumione strachem, który powoli dawał o sobie znać. Nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Powinien otworzyć mężczyzna koło sześćdziesiątki... A może jego żona lub któreś z dzieci?

„Do diabła” – powiedziałam do siebie i zapukałam ponownie, tym razem uderzając z większym zdecydowaniem. Nie miałam zamiaru przeżyć reszty swego życia, czekając. Musiałam to wreszcie zrobić.

Usłyszałam kroki, lekkie, dochodzące z daleka. Czułam bicie serca, głowa rozbolała mnie w kilku miejscach naraz. Wbijałam wzrok w ziemię, aż usłyszałam szcęk otwieranego zardzewiałego zamku w drzwiach.

– Dzień dobry – wyjąkałam, decydując się w końcu na podniesienie oczu i zatrzymując go na mężczyźnie, który otworzył mi drzwi. Jego spojrzenie przeszło mnie, szybkie jak światło świecy, które pada na twarz i zmienia jej rysy, przekształcając je w senne marzenia.

Nieznajomy ujrzał przed sobą kobietę, która przekroczyła już wiek średni. Włosy miała pokolorowane mahoniową farbą, lekko rozczochrane przez wiatr. Jej twarz była rumiana, raczej pulchna, barczyste ramiona z biegiem lat stały się jeszcze szersze. Zobaczył też dziesiątki zmarszczek wyłobionych w skórze wokół oczu i tworzących dwie ciemne głębokie rysy po obu stronach ust. Kobieta ta miała jednak gładką szyję, którą dumnie prezentowała światu, jak ostatni bastion podupadłej fortecy.

– Szuka pani kogoś? – zapytał leniwie, jakbym przerwała mu któryś z jego ulubionych momentów dnia.

– Tak. Kogoś, kto tu kiedyś mieszkał – powiedziałam, sama nie wierząc własnym uszom.

Obserwował mnie w milczeniu. Po chwili przechylił nieco głowę, czekając pewnie na dalsze informacje.

– Przychodziłam tu kiedyś często.

Stał wciąż nieruchomo, opierając się ręką o framugę, cały ciężar jego ciała spoczywał wtedy na drzwiach.

– Proszę mówić dalej – powiedział słabym głosem.

– Ten ktoś, kogo szukam, zdaje się, że kochał pewną dziewczynę. Poznali się nad morzem...

Małe i zaspane oczy wypełniły się białą, wilgotną mgiełką. Jego prawa powieka zaczęła widocznie drgać.

– Jak miała na imię? Ta dziewczyna.

– Już nie pamiętam... Minęło tyle czasu...

Przełknął ślinę. Trudno pomyśleć, że ten stary już mężczyzna mógł zachowywać się jak małe dziecko i z trudem znajdować słowa. Potrząsnął jedynie głową, co mogło być zarówno potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

– Ona go bardzo kochała i wierzyła, że jest mężczyzną jej życia, że będzie ją zawsze kochał. Tylko ją. Ale cóż, była wtedy taka młoda, a gdy jest się młodym, wierzy się w wiele różnych rzeczy.

W tym momencie już płakałam, wpatrując się w jego czarne oczy, które otoczone były miriadami zmarszczek tworzących tyle szlaków, ile promieni słońca padło w ciągu życia na tę skórę.

– Ja też ją kochałem – powiedział w końcu, przełamując ciszę.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez dobrych parę minut, w duchu zadając sobie milczące pytanie, co takiego się stało, że nam nie wyszło.

– Może wejdziesz, Diamante? – wydusił z siebie wreszcie, zdejmując rękę z framugi. Byłam bliska odwrócenia się w drugą stronę i odejścia, ale coś mnie powstrzymało. Już nie chciałam uciekać.

Nigdy więcej.

Doskonale pamiętałam jego pokój, tak jakby od ostatniego razu minęło zaledwie kilka chwil, a nie pół mojego życia. Było w nim kilka przyblakłych już teraz mebli i różnokolorowe kwiaty ozdabiające parapet.

Wskazał mi miejsce przy stoliku.

– Widzę, że wciąż podoba ci się prostota – powiedziałam, uśmiechając się, gdy częstował mnie herbatnikami prosto z opakowania.

– Wybacz mi, nie jestem przyzwyczajony do przyjmowania gości.

Usiadł na przeciwko mnie, a gdy jego ciało opadło na krzesło, wydał z siebie delikatny jęk. Jego włosy wciąż były gęste jak kiedyś, choć już bardzo siwe. Zjadłam ciastko i spojrzałam za okno.

– Wciąż widać morze. Przynajmniej tutaj nie wyrósł żaden betonowy potwór.

On również odwrócił się i spoglądał na morze. Z daleka wydawało się tak łagodne i przejrzyste.

– Wygląda na spokojne – powiedziałam, wskazując ręką odległy punkt na horyzoncie.

– Tak, dziś jest bardzo spokojne – odpowiedział i położył swoją dłoń na mojej. Była szorstka, zniszczona. Podobnie jak moja. Wpatrywałam się w tę dłoń, potem w jego twarz oświetloną jasnym światłem wpadającym przez okno.

– Ciągłe jesteś przystojny – powiedziałam.

– Długo czekaliśmy, prawda? – wyszeptał. Zdawało się, że zadawał to pytanie bardziej samemu sobie niż mnie.

– Nigdy nie próbowałaś się ze mną spotkać.

Nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową i powstrzymywał łzy, które sprawiły, że wydał mi się niezwykle kruchy. Wzięłam głęboki oddech. Powinnam powiedzieć, że tęskniłam za nim przez wszystkie te lata, i przede wszystkim, że mu przebaczyłam. Że może byliśmy już za starzy, by próbować zacząć wszystko od nowa, ale na przekór całemu światu, na złość starości, która zapanowała nad naszym życiem, chcę dać mu szansę.

Myśli kotłowały się w mojej głowie, sprawiając, że odczuwałam zawroty. Antonio podniósł się i stanął za mną. Poczułam jego ciepłe dłonie na mojej szyi, na włosach, i wyczułam, że jego głowa przechylała się delikatnie, by mnie powąchać. Odwróciłam się, bo ja też chciałam poczuć jego skórę

pachnącą morzem.

– Może nie jest za późno – wyszeptał, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, jakby czytał w moich myślach.

Pochylił się, żeby mnie pocałować. To był czuły i łagodny pocałunek, pocałunek dwóch starszych ludzi, którzy wiele stracili, ale mieli w oczach jeszcze mnóstwo nadziei. Ten dotyk wystarczył, by wstrząsnąć mną w ten sam sposób, jaki wiele lat wcześniej.

– Jestem za stara – powiedziałam, może jedynie po to, by usłyszeć jego zaprzeczenie.

– Oczywiście, że nie jesteś – wyszeptał, całując mnie dalej, sprawiając, że czułam się, jakbym z sekundy na sekundę była coraz młodsza.

– Mam duży dom i piękny ogród – wyszeptałam – ze wspaniałymi kwitnącymi oleandrami, drzewkami owocowymi i ziołami, które wyrzucają w powietrze cudowne zapachy. I jestem samiutka wśród tych czterech wielkich ścian.

– Pamiętam twój dom. Jakbym widział go wczoraj.

– Jest w nim miejsce dla dwóch osób, ale....

– Ale? – spojrzał na mnie zadziornym wzrokiem.

– Nie będziesz mógł widzieć morza z okna.

Ponownie zaczął mnie całować, w czoło, w oczy, w kąciuki ust.

– To nic.

Pierwszego wieczoru spędzonego wspólnie w naszym domu poczęstowałam go likierem cytrynowym, podanym w amarantowych kieliszkach, które trzymałam w kredensie, w tym samym miejscu, w którym przez lata przechowywała je mama. Cała papryczka, wrzucona do likieru w trakcie jego przygotowywania, nadała mu intensywnego smaku.

Oprócz likieru podałam również słone focaccine, które upiekłam, zwracając baczną uwagę, by nie przypalić brzegów. Dodałam do ciasta szczyptę proszku do pieczenia, by ładnie wyrosło. Zjedliśmy kolację na zewnątrz, na tarasie pod daszkiem przy świetle księżyca, zachwycając się wspaniałymi światłocieniami, układającymi się na trawniku we wciąż zmieniające się kształty. Delikatne światło padało na wapienny murek oddzielający naszą działkę od działki kumy Nanniny – a właściwie teraz już działki jej wnuków.

Po posiłku Antonio pomógł mi posprzątać ze stołu. W jego oczach tlił się płomień oczekiwania. Wzięłam go za rękę i zaprowadziłam do sypialni. Moje ciało drżało tak, jakbym była nastolatką przeżywającą swoje pierwsze zauroczenie.

Gdy rozkoszowaliśmy się sobą nawzajem na wielkim łożu, które przez całe życie należało do mamy, nie mogłam powstrzymać łez. Wiedziałam, że mężczyzna pochylający się teraz nade mną odebrał mi wiele rzeczy. Może radosną przyszłość z mężem i gromadką dzieci. Ale nie czułam już żalu. Byłam przepelniona tym, co mi dał, i tym, co jeszcze mógł mi ofiarować.

Kiedy zasnął, przytulając się do moich pleców, czułam za sobą jego przyspieszony oddech, zapach dojrzałej skóry. Przymknęłam oczy i moje myśli powędrowały do Diamante sprzed wielu lat. Do tej czarnej i głębokiej otchłani, jaka kryła się w środku niej. Próbowałam odnaleźć ją na dnie mojego serca, ale czułam tam teraz jedynie ogromne ciepło. Gdy otworzyłam oczy, mój wzrok zatrzymał się od razu na zdjęciu Margiali, które postawiłam kilka dni temu na ołtarzyku.

Była taka młoda i piękna. Jej oczy lśniły blaskiem radości, a na ustach malował się uśmiech. Ja też się uśmiechnęłam. Myślałam o tym, co się stało w moim życiu. Te zmiany były tak widoczne, że kumy zaczęły nazywać mnie Anitą Diamante. Nie Margialą. Miało to dla mnie niezwykle głębokie znaczenie, ponieważ imię Anita zawierało w sobie to wszystko, co było najlepsze w mamie, kryło

w sobie jej młodość.

Oczywiście nie mogłam pozbyć się ot tak całego cierpienia, poczucia straty i żalu, jakie towarzyszyły mi przez całe życie. One pozostawały wszczepione w moją skórę, jak niektóre z tych ran, które od czasu do czasu, przy złej pogodzie, dają o sobie znać.

Tamtego wieczora jednak niebo było przejrzyste i usypane milionem gwiazd. Księżyc wyglądał niczym ogromny, srebrny rogal fascynujący w swej niewzruszoności. Mój kochany spał obok mnie, jego oddech uspokajał się powoli.

Margiala patrzyła na nas i uśmiechała się. Patrzył na nas też Agostino i nawet babcia Diamante. Wreszcie nastąpiło pojednanie. Zasnęłam kołysana tymi przyjemnymi myślami. Wiedziałam, że gdy się obudzę, czeka mnie piękny, słoneczny dzień.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję mojej córce, Gai, za to, że jako pierwsza wysłuchiwała opowieści o małej Diamante i wzruszała się nią razem ze mną. Dziękuję mojemu mężowi, Michele, ponieważ to jego pomysłem było stworzenie historii składającej się z odległych i słodkich wspomnień z dzieciństwa.

Muszę podziękować również małemu Daniele, najmłodszemu członkowi mojej rodziny, ponieważ on również, choć zapewne nieświadomie, przyczynił się do powstania książki, zmuszając mnie do zamknięcia się w domu w czasie ciąży. Pozwoliło mi to poświęcić się wyłącznie pisaniu. Szczególne podziękowania należą się mojej fantastycznej redaktorce, Alessandrze Pennie, za jej niesamowitą wrażliwość i za dostrzeżenie moich słabości. Ale przede wszystkim za to, że uwierzyła w Diamante!

Dziękuję gorąco mojej agentce, Marii Cristinie Guerra oraz Serenie Di Battista. Bez ich pracy i zaufania to wszystko nie byłoby możliwe. Pozostanę im na zawsze wdzięczna! Dziękuję Raffaellowi Avanzini i całemu wspianiałemu zespołowi Newton Compton.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

Dziękuję mojej przyjaciółce Orietcie za to, że zawsze we mnie wierzyła, nawet wtedy, gdy ja sama miałam wątpliwości.

Dziękuję wszystkim kobietom mojego dzieciństwa... a szczególnie dziękuję mojej babci, Margiali – to dzięki jej życiu mogła powstać ta powieść!

- 1** *Pane degli Angeli* – włoska marka produktów spożywczych przeznaczonych do pieczenia ciast (przyp. tłum.).
- 2** *Oswaldo Valenti* – popularny włoski aktor (1906-1945); zagrał w 56 filmach (przyp. red.).
- 3** *Pecorino* – rodzaj włoskiego sera otrzymywanego z mleka owczego (przyp. tłum.).
- 4** *Orecchiette* – rodzaj włoskiego makaronu przypominającego uszka (przyp. tłum.).
- 5** *Zeppole* – włoskie pączki, podobne do ptysi. Ciastka tradycyjnie wypiekane we Włoszech w dniu 19 marca (Dzień Ojca i święto patrona św. Józefa). Poszczególne regiony Italii mają swoje przepisy na te kaloryczne przysmaki (przyp. red.).
- 6** *Sanguinaccio* – wyrób wędliniarski, podobny do polskiej kaszanki, którego składnikiem jest między innymi świńska krew (przyp. tłum.).
- 7** *Friselle* i *taralli* to typowe przysmaki południowych Włoch, szczególnie Apulii; to słone kruche precle, często z dodatkiem cebuli albo nasion kopru włoskiego (przyp. tłum.).
- 8** *Claudette Colbert*, właśc. *Lily Chauchoin* – amerykańsko-francuska aktorka, laureatka Oscara za rolę w filmie *Ich noce* (przyp. red.).
- 9** *Miejsce przynależące do kościoła*, wydzielone na zajęcia kulturalne, szczególnie dla dzieci i młodzieży (przyp. tłum.).
- 10** *Betty Boop* to postać czarnowłosej, krótko ostrzyżonej, dziewczyny z kreskówki, która powstała w 1931 roku w Stanach Zjednoczonych w pracowni braci *Fleisher*, twórców wielu filmów animowanych, w tym również takich znanych jak *Popeye* czy *Superman* (przyp. red.).
- 11** *Tradycyjny apulski placek z ciasta chlebowego z dodatkiem gotowanych ziemniaków, najczęściej z pomidorkami i oliwkami, czasem z papryką lub cebulą, jedzony jako przekąska albo zamiast chleba, a czasem jako pełen posiłek, wtedy często jest przekrajany na pół i faszerowany mozzarellą i mortadellą* (przyp. tłum.).